

Grzegorz Sobaszek



MUSZĘ KOŃCZYĆ, UMIERAM

Komedia kryminalna





Grzegorz Sobaszek



MUSZĘ KOŃCZYĆ, UMIERAM

Komedia kryminalna



Spis treści
Karta redakcyjna
O Autorze
Dedykacja
Rozdział pierwszy
Rozdział drugi
Rozdział trzeci
Rozdział czwarty
Rozdział piąty
Rozdział szósty
Rozdział szósty i pół
Rozdział siódmy
Rozdział ósmy
Rozdział dziewiąty
Rozdział dziesiąty
Rozdział jedenasty
Rozdział dwunasty
Rozdział trzynasty
Rozdział czternasty
Rozdział piętnasty
Rozdział szesnasty
Rozdział siedemnasty
Rozdział osiemnasty
Rozdział dziewiętnasty
Rozdział dwudziesty
Rozdział dwudziesty pierwszy
Rozdział dwudziesty drugi
Rozdział dwudziesty trzeci
Rozdział dwudziesty czwarty
Rozdział dwudziesty piąty
Rozdział dwudziesty szósty
Rozdział dwudziesty siódmy
Rozdział dwudziesty ósmy
Rozdział dwudziesty dziewiąty
Rozdział trzydziesty
Rozdział trzydziesty pierwszy
Rozdział trzydziesty drugi
Rozdział trzydziesty trzeci
Rozdział trzydziesty czwarty
Rozdział trzydziesty piąty

Rozdział trzydziesty szósty
Rozdział trzydziesty siódmy
Rozdział trzydziesty ósmy
Rozdział trzydziesty dziewiąty

Projekt okładki: MAGDALENA MAMAJEK-MICH Zdjęcie autora: ALENA
WAWRZEWSKA Redakcja: EWA KORCZEWSKA Copyright © 2010
Grzegorz Sobaszek

Copyright © 2010 Wydawnictwo Szafa

All rights reserved ISBN 978-83-88141-19-5 WYDAWNICTWO SZAFA

www.wydawnictwoszafa.pl Konwersja: eLitera s.c.

O Autorze

Grzegorz Sobaszek (ur. 1972), pracował jako redaktor w prasie codziennej („Polska The Times”, „Dziennik”) i niecodziennej (m.in. „Newsweek”). Pisał o gwiazdach w dwutygodniku „Na Żywo” i o teatrze w miesięczniku „Foyer”.

Wcześniej machał motyką na niemieckich polach, naprawiał maszyny do pisania i sprzedawał artykuły biurowe, uczył dykcji w studium teatralnym i wróżył z gwiazd w firmie audioteksovej (0-700). W tej samej firmie został wkrótce zawodowym erotomanem: najpierw flirtował przez telefon (4,44 zł za minutę plus VAT) ze spragnionymi fizycznej bliskości kobietami, potem pisał opowiadania erotyczne dla Katarzyny Figury.

Debiutował tomikiem wierszy (*Nadmiar krwi*, 1992). Od tamtej pory pracuje nad drugim zbiorem poetyckim. O ile dobrze pamięta, są to Bardzo Poważne Wiersze o cierpieniu, życiu, miłości i śmierci itd.

Prywatnie zajmuje się kolekcjonowaniem fobii (ma już – w porządku alfabetycznym – agorafobię, astrafobię, demofobię, hemofobię, klaustrofobię, ofidiofobię i tafefobię). Jest specjalistą od lęku napadowego oraz innych lęków. Niektóre z nich zostały wymienione w powieści *Muszę kończyć, umieram*, debiucie prozatorskim autora.



Trzem siostram: Barbarze, Krystynie i Urszuli
oraz wszystkim, którzy się boją bardziej,
niż to konieczne.

. Chciałbym podziękować:
Anecie, Anicie, Agnieszce, Magdzie, Marcie, Monice, Natalii, Hubertowi,
Markowi i Przemkowi za liczne uwagi i sugestie
Alicji Mikulskiej i Tadeuszowi Olszewskiemu, którzy pokazali mi słowa
Annie Kosewskiej-Brykczyńskiej i doktorowi Wiktorowi Chmielarczykowi
za mądrość i dobroć
moim kuzynom, Pawłowi i Tommy'emu, oraz ciotce Anneliese i wujowi
Heinzowi
Ewie za wiarę, wielkie poświęcenie i nieocenioną pomoc
Alenie za nieustające wsparcie. Za wszystko

Rozdział pierwszy

Maksymilian postanowił odejść od żony. Postanowił odejść od żony ponad czternaście lat temu, zanim jeszcze została jego żoną, ale dopiero teraz zdobył się na odwagę, żeby jej o tym powiedzieć. Nadarzyła się znakomita okazja, ponieważ Adam, bohater ulubionego serialu żony Maksymiliana, powiedział właśnie do ekranowej małżonki: „Odchodzę”, więc Maksymilian, leżąc nieruchomo obok kobiety, której nie kochał od co najmniej 5223 dni, zdobył się wreszcie na odwagę i powiedział najciszej, jak potrafił: „I ja też”.

Zdziwił się, że przyszło mu to z taką łatwością. Poczuł ulgę, ale równocześnie żal, no bo skoro przyszło mu to z taką łatwością, równie dobrze mógł to powiedzieć czternaście lat temu.

Pochłonięta serialem żona nie zareagowała, więc Maksymilian powtórzył pod nosem: „I ja też”. Znów nie odpowiedziała. Jak tu odpowiedzieć, gdy ma się ściśnięte gardło, jak tu nie mieć ściśniętego gardła, gdy Adam, najpiękniejszy mężczyzna, jaki kiedykolwiek chodził po Ziemi, mówi właśnie do żony: „Odchodzę”? I choć jego życie nie jest prawdziwe, żona Maksymiliana przecież naprawdę czuje, że go kocha, na pewno bardziej kocha nieprawdziwego Adama niż prawdziwego Maksymiliana, który mamrocze coś pod nosem, gdy ona akurat wyobraża sobie, że Adam zostawia żonę właśnie dla niej i że jadą czerwonym kabrioletem po zalanym słońcem Monte Carlo albo przynajmniej po Jastarni, wiatr rozwiewa im włosy i nic nie zakłóca bezbrzeżnego szczęścia, jakie czuje całą sobą. Na samą myśl o tym głęboko westchnęła.

Maksymilian też głęboko westchnął, choć z zupełnie innego powodu. Chciał mianowicie dać żonie do zrozumienia, że jest mu co najmniej przykro, że jest mu przykro od czternastu lat, że jest mu cholernie przykro również w tej chwili, ale jego westchnienie miało taką samą siłę rażenia, jak dwukrotnie wymamrotane: „I ja też”. Mógłby teraz wstać z łóżka i napisać zielonym sprejem na ścianie, że odchodzi, a jego żona nawet nie mrugnęłaby powieką. Postanowił więc, że poczeka do napisów końcowych, zbierze się w sobie i gdy tylko żona oderwie się od telewizora, powie to tak, żeby wreszcie do niej dotarło.

Ale nie powiedział, bo gdy pojawiły się napisy końcowe, żona Maksymiliana zniknęła w łazience. Serial, w przeciwieństwie do Maksymiliana, wzruszał ją, bawił i zaskakiwał, więc napisy końcowe za każdym razem sprawiały jej niewysłowioną przykrość. Żeby się jakoś pozbierać, spryskała twarz wodą termalną w aerozolu, uśmiechnęła się do zmęczonej życiem, ale wciąż atrakcyjnej kobiety, którą zobaczyła w lustrze, po raz trzeci tego wieczoru umyła zęby i niechętnie ruszyła w stronę sypialni.

Kiedy Maksymilian usłyszał szuranie kapci, poczuł, że wreszcie nadeszła odpowiednia chwila. Otworzył usta, żeby powiedzieć głośno i wyraźnie to, co miał

ochotę powiedzieć już czternaście lat temu, ale żona popatrzyła na niego z takim politowaniem, że musiał poprzestać na otworzeniu ust. Jak tu nie patrzeć z politowaniem na kogoś, kto po raz trzeci w tym tygodniu siedzi na poduszce z przystawionym do skroni pistoletem, kto nie potrafi uruchomić wiertarki, a udaje, że byłby się w stanie zastrzelić?, pomyślała.

– Tylko trupy mają coś sensownego do powiedzenia – oznajmił Maksymilian, gdy naciągała na siebie kołdrę. Postanowił powiedzieć, że odchodzi, ale kiedy spojrzała na niego z politowaniem, znów poczuł, że łatwiej byłoby mu ją zabić, niż powiedzieć, że odchodzi, więc powiedział, co mu ślina na język przyniosła. Był szczęśliwy, że przy tak rozszalałym tętnie w ogóle coś udało mu się powiedzieć. Poza tym, pomyślał z zadowoleniem, było to całkiem efektowne zdanie. Ale nawet ono nie zrobiło na jego żonie najmniejszego wrażenia.

– Tylko trupy mają coś sensownego do powiedzenia – powtórzył głośniej. Wreszcie podziałało.

– Mam dość tych cytatów z Dostojewskiego. Skoro się już do mnie odzywasz, może wreszcie powiedziałabyś coś od siebie? I odłóż ten pistolet, bo poplamisz olejem kołdrę – odpowiedziała zniecierpliwiona. Odpowiedziała, choć wcale nie miała ochoty odpowiadać. Doskonale wiedziała – zawsze wszystko wie doskonale – że jeśli zareaguje, Maksymilian nie odpuści i odpowie, więc ona też odpowie, więc potem on odpowie, a potem ona, potem znowu on, i ona, i tak dalej, i wścieknie się, że się dała sprowokować, więc tuż przed snem znów jej się obniży nastrój, a rano będzie miała worki pod oczami. Większe i ciemniejsze niż zwykle.

– To nie z Dostojewskiego – odpowiedział Maksymilian, tym razem mierząc z pistoletu przed siebie. Wracał do formy. Serce powoli wyrównywało kurs. – A poza tym to nie olej, tylko oliwa techniczna. Olej to można mieć w głowie, choć akurat niewielu ludzi może się tym pochwalić – dodał.

– No ty to na pewno nie. Poza tym może być też olej techniczny, założę się.

– Może i tak, ale do konserwacji Walthera używam oliwy technicznej, a nie oleju.

– Co za różnica?

– Jeśli nie rozumiesz, że niuanse mają znaczenie, usmaż sobie frytki na oliwie. Najlepiej technicznej. Smacznego.

– Sam się usmaż. Idę spać.

– Jak możesz iść spać, skoro już leżysz? – zapytał i wykrzywił twarz. Musiał wykrzywić twarz, żeby porządnie zamknąć lewe oko. Niektórzy ludzie nie muszą wykrzywiać twarzy, żeby zamknąć oko, ale Maksymilian akurat się do nich nie zalicza, więc wykrzywił twarz, żeby zamknąć lewe oko, żeby zobaczyć prawym okiem dokładnie skorelowany ciąg następujących obrazów: szczerbinka – muszka – kot Szwarzwald. Agresywny i wyjątkowo gnuśny kastrat rasy syjamskiej został ochrzczony Szwarzwaldem na cześć ulubionego serialu teściowej Maksymiliana.

Teściowa od wielu lat kochała się w doktorze Brinkmannie z *Kliniki w Szwarzwaldzie*. Nie bez powodu – przedstawiciel niemieckiej służby zdrowia był najpiękniejszym mężczyzną, jaki kiedykolwiek chodził po Ziemi. Tak w każdym razie uważała teściowa.

Maksymilian zamknął lewe oko, żeby dokładnie wycelować w kota, do którego miało wreszcie dotrzeć, że jest niemile widziany w sypialni. Szwarzwald przyglądał się z lekceważeniem swojemu panu, który był jego panem tylko z nazwy, bo w sypialni od niepamiętnych czasów obowiązywała określona hierarchia: najpierw żona Maksymiliana, potem kot, potem Maksymilian.

– Możesz powiedzieć, że zasypiasz albo że nie chce ci się dłużej gadać, ale przecież nie możesz powiedzieć „idę”, skoro już leżysz – wyjaśnił uprzejmie.

– Nie wymądrzaj się, bardzo cię proszę. Przecież tak się mówi, mówi się: „Idę spać”. „Idę spać”, czyli zasypiam – powiedziała. – Ale po co mam mówić, że zasypiam, skoro i tak nie dasz mi spać, bo przecież nie powstrzymasz się, żeby czegoś nie powiedzieć. Mówiąc, że idę spać, chcę powiedzieć, żebyś się wreszcie zamknął, intelektualisto od siedmiu boleści.

Maksymilianowi pękały żyłki w oczach, kiedy używała wciąż tych samych związków frazeologicznych: od siedmiu boleści, to był strzał w dziesiątkę, rozchodzą się jak świeże bułeczki, rosną jak grzyby po deszczu, zamienia w złoto wszystko, czego dotknie. Król Midas. Gdy Maksymilian słyszał pięć razy dziennie pozornie niewinną frazę typu zakręcony jak chiński termos, za szóstym razem marzył już tylko o tubce butaprenu, którym mógłby zakleić sobie uszy.

– Już to powiedziałaś. Powiedziałaś, że idziesz spać, nie musisz tego powtarzać – obruszył się Maksymilian i znów przyłożył lufę do skroni. Mógł wreszcie otworzyć lewe oko, które zdążyło mu nieco ściernąć.

– Jesteś zakręcony jak chiński termos. Ale kocham cię jak wierna chińska gejsza, przecież wiesz – powiedziała to tak przekonująco, że niemal sama w to uwierzyła.

– A ja ciebie jak fiński torreador – odpowiedział, gładząc palcem cyngiel.

– Jak fiński torreador? Przecież Fińczycy, yyy... Finowie nie walczą z bykami – syknęła z wyrzutem.

– No pewnie, że walczą. Podobnie jak chińskie gejsze z termosami.

– Gbur.

– Chińska gejsza.

– Fiut.

– Fiutowa.

– Staralam się być miła, ale ty chyba naprawdę jesteś dysfunkcyjny – rzuciła z rozżaleniem, chowając głowę pod kołdrę.

– Śpij słodko, moja piękna Finko. Kolorowych snów – powiedział Maksymilian, przyciskając mocniej lufę do prawej skroni, choć najchętniej

wybrałby lewą skroń swojej trzydziestosiedmioletniej, wciąż jeszcze w miarę ładnej, choć zupełnie bezużytecznej żony.

- Dobranoc – powiedziała spod kołdry, żeby mieć ostatnie słowo.
- Dobranoc – odpowiedział znad kołdry, żeby mieć ostatnie słowo.
- Dobranoc.
- Dobranoc. Dobranoc.
- Dobranoc.
- Dobranoc.
- Dobranoc – odpowiedziała.

W końcu postanowił odpuścić. Jednak gdy tylko usłyszał, że porządnie zaciągnęła się powietrzem, świszcząc wniebogłosy, powiedział słodko:

- A właśnie, że dobranoc.

I choć cieszył się jak dziecko, że to do niego należało ostatnie słowo, nie czuł triumfu. Również 5223 dnia nie udało mu się powiedzieć, że odchodzi. Jeszcze raz westchnął i zrezygnowany spojrzął na srebrnego Walthera, z którego wciąż nie potrafił zrobić użytku.

Kupił go żonie na trzydzieste szóste urodziny. Doskonale wiedział, że żona powie mu, że chyba go pokręciło, że zamiast flaszki Chanel Allure, którą kupił jej na trzydzieste piąte urodziny, flaszki Gucci Rush 2, którą kupił na trzydzieste czwarte urodziny, flaszki Dior Poison, którą kupił na trzydzieste trzecie urodziny, na trzydzieste szóste urodziny kupił jej srebrnego Walthera.

– Kup jej na urodziny Walthera – powiedział ojciec, do którego Maksymilian czuł nieodpartą niechęć co najmniej od ćwierćwiecza. – Nie będzie zachwycona, ale co za różnica? Przecież nigdy nie jest – stwierdził, gdy Maksymilian zapytał go, co kupić żonie na urodziny. Do tej pory w kwestii prezentów dla żony zwracał się o radę do matki, do której również czuł nieodpartą niechęć co najmniej od ćwierćwiecza, ale akurat na tydzień przed trzydziestymi szóstymi urodzinami jego żony matka wyjechała do siostry w Berlinie, starej, grubej i bezdziejnej skneruski – jak mówiła o niej matka Maksymiliana, stara, chuda i dzieciata skneruska.

Matka Maksymiliana nie znosiła swojej siostry, więc z dziką rozkoszą raz w roku jechała pod Bramę Brandenburską, żeby odświeżyć więdnące uczucie i odpocząć od ojca Maksymiliana, którego nie znosiła jeszcze bardziej niż siostry, choć nie znosiła go nieco krócej, bo dopiero od czterdziestu lat. Odpoczywająca w Berlinie matka Maksymiliana zabroniła mu dzwonić, żeby nie wydawał pieniędzy na gadki szmatki, za które trzeba płacić jak za zboże.

– Pieniądze nie leżą na ulicy – powtarzała. – Twój ojciec żyje tak, jakby leżały na ulicy, więc wcześniej czy później sam wyląduje na ulicy, ciągnąc za sobą w rynsztok całą rodzinę. Byłam głupia, że nie podpisałam intercyzy. Ty też jesteś głupi, skoro odziedziczyłeś po mnie niepodpisanie intercyzy. Z twoim brakiem

polotu szanse masz mizerne, ale a nuż kiedyś nieoczekiwanie się wzbogacisz i co wtedy? Dasz przepuć fortunę tej szerokiej w biodrach, leniwej cwaniaczce? Z pieniędzmi nigdy nic nie wiadomo. Poza tym, że nie leżą na ulicy.

– Z Walthera przynajmniej sobie postrzelasz – powiedział ojciec w słuchawce. – Rozładujesz się. Stres trzeba rozładowywać. Ładujesz spluwę, a potem rozładowujesz stres, rozumiesz, ha, ha, ha!

– Dokumentnie cię pokręciło – powiedziała żona Maksymiliana, gdy otworzyła pudełko, w którym spodziewała się kolejnej butelki wody toaletowej. A że pudełko było większe i cięższe niż zwykle, liczyła na zestaw woda toaletowa plus balsam do ciała, ewentualnie plus żel pod prysznic. Obstawiała Hugo Bossa albo Givenchy. – Ale dziękuję, że pamiętałeś. To bardzo miłe z twojej strony. O, i jeszcze róże! Co prawda moje ulubione czerwone róże pachną intensywniej, ale to nic. Liczą się przecież dobre chęci.

Maksymilian kupił herbaciane róże, chociaż były droższe od czerwonych, ale uznał, że warto zapłacić więcej, żeby zobaczyć rozczarowanie i wściekłość w jej oczach.

Jak po czternastu latach wciąż miałbym kochać kobietę, której ulubione kwiaty to czerwone róże?, pomyślał, masując srebrnym Waltherem prawą skroń. Pod lufą wyczuł niemrawo pulsującą tętnicę.

W tej samej chwili jego żona rozkosznie westchnęła. Zapadała się właśnie w sen o tężni solankowej w Konstancinie, do której Maksymilian zabrał ją na jedną z ich pierwszych randek. Oczywiście, w jej śnie nie było Maksymiliana. Zamiast męża leczniczymi oparami solanki delectował się z nią Filip Holzgraber, czarujący, blondwłosy, przystojny student stosunków międzynarodowych, syn znanej prezenterki telewizyjnej, w którym się kochała, kiedy jeszcze Adam, najpiękniejszy mężczyzna, jaki kiedykolwiek chodził po Ziemi, nie istniał nawet w wyobraźni serialowego scenarzysty.

Zanim w wyniku niepojętej do dziś emocjonalno-intelektualnej zapaści zdecydowała się zniszczyć sobie życie, wybierając Maksymiliana, poznała bliżej kilku pozbawionych wyobraźni i nutki szaleństwa przystojniaków, ale żaden z nich nie był nawet znajomym syna prezenterki telewizyjnej. Filip Holzgraber również był pozbawiony wyobraźni, to fakt, ale w przeciwieństwie do Maksymiliana umiał i lubił się całować.

Ona też myślała, że umie, ale tylko lubiła, tak przynajmniej uważał Maksymilian, który ostatni raz całował się z żoną czternaście lat temu. Innego zdania musiał być Filip Holzgraber, który całował ją właśnie na wilgotnej ławeczce w tężni solankowej. Najpierw muskał ustami jej kark, następnie lekko odkryte ramię, potem wdzięcznie rozchyłone wargi, aż wreszcie powoli, delikatnie wsunął lewą dłoń między fałdy jej purpurowej sukni. Co za suknia! Co za sen! Co za dłoń! Co za pocałunki! Nie dość, że Filip Holzgraber umiał i lubił się całować, to jeszcze

wiedział, czego pragnie prawdziwa kobieta. I dlatego na randkę przyniósł bukiet krwistoczerwonych róż.

– No cóż, gdy kobieta zbyt długo przebiera, psuje jej się cera i bierze ją cholera, bo w niepojętej emocjonalno-intelektualnej zapaści rzuca się na jakieś zakompleksione, dysfunkcjonalne nie wiadomo co – powiedziała szalona staruszka z mocno przerzedzonymi zębami, która przysiadła się do nich niepostrzeżenie.

– Co za jędza! A poza tym mówi się: dysfunkcyjne – syknęła z wściekłością żona Maksymiliana, odrywając wargi od ust Filipa Holzgrabera.

Z oczu kochanka polały się łzy niewypowiedzianego smutku. To były również jej łzy. Tak to czuła we śnie o tężni solankowej w Konstancinie, ach i och!

Na szczęście, kiedy się obudzi, nie będzie rozzalona. Nigdy nie pamięta swoich snów. Tym – i prawdę mówiąc, tylko tym – ujęła ojca Maksymiliana, któremu nigdy w życiu, powtarzał to z dumą przy każdej okazji, nigdy w życiu nic się nie przyśniło. W jego mniemaniu brak marzeń sennych jest głównym przejawem harmonijnie ukształtowanej osobowości.

– To porządna dziewczyna – powiedział ojciec, gdy Maksymilian zaprezentował ją rodzicom i gdy powiedziała przy stole, mniej więcej między tłustym rosołem a kotлетem mielonym, że nigdy nie pamięta swoich snów. Ojciec wziął Maksymiliana na balkon, żeby wypalić po camelu. – Ożeń się z nią. Nie jest brzydka. A jeśli nie pamięta snów, to znaczy, że jest w miarę, no wiesz, normalna, w sensie, że nieskomplikowana. Nie masz się nad czym zastanawiać. Gdybym ja się dłużej zastanawiał, byłbym dziś może szczęśliwszym człowiekiem, ale czym jest szczęście, jak nie masz kobiety, której mógłbyś z całego serca nienawidzić? – zakończył swoją przemowę ojciec.

– Nienawidzić, tato. Mówi się nienawidzić – jęknął Maksymilian.

– Co za różnica? I tak wiesz, o co biega – powiedział ojciec, po czym strzelił niedopałkiem w czarną alfę sąsiada z parteru i nerwowo zachichotał. – Ma się jeszcze to oko, co?

Maksymilian spojrział na żonę z nienawiścią. Nie powinienem tego dłużej ciągnąć, pomyślał, wkładając lufę srebrnego Walthera w usta.

– Chcesz się zabić? – zapytała Zofia, która nagle stanęła w drzwiach sypialni.

– E ogę odpowieec, o am ufę w ustag – odpowiedział Maksymilian.

– Co? – zapytała Zofia.

– Nie mówi ę tso, ylko łoszę – upomniał ją Maksymilian.

– Co? – powtórzyła.

– Dlaczego jeszcze nie śpisz? – zapytał, wycierając oślinioną lufę w kołdrę żony. – Nie mówi się co, tylko proszę.

– Nie odpowiada się pytaniem na pytanie – odpowiedziała Zofia. – Ale kurewsko zimna podłoga. Chcesz się zabić?

- Nie przeklinaj. Kto cię tego nauczył?
- Czego?
- Że nie odpowiada się pytaniem na pytanie.
- Nie wiem.

– Skąd ci przyszło do głowy, że nie odpowiada się pytaniem na pytanie? To bzdura. Jeśli ktoś cię o coś pyta, to znaczy, że nie wie, więc jest głupi, a skoro jest głupi, nie warto się z nim zadawać. Najlepsze, co możesz zrobić, gdy ktoś cię o coś pyta, to nie odpowiadać. Jeśli już nie możesz nie odpowiedzieć, odpowiedz pytaniem na pytanie. To najlepsze, co możesz odpowiedzieć, jeśli nie możesz nie odpowiedzieć – powiedział Maksymilian.

- To dlaczego chcesz się zabić?
- No a dlaczego jeszcze nie śpisz?
- Czy nie możesz mi wreszcie odpowiedzieć?
- Czy nie możesz przestać pytać?
- Nie mogę.

– Niedobrze. Mówiłem ci, że jeśli już nie możesz nie odpowiedzieć, odpowiadaj pytaniem na pytanie. Jedzenie po dwudziestej jest niezdrowe. Nie uważasz, że to głupie?

- Co?
- Czy nie masz dość?
- Czego?
- Nie wiesz czego?

– A ty wiesz? – zapytała rozjuszona Zofia, niecierpliwie przestępując z nogi na nogę.

– Czy nie zauważyłaś, że większość rozmów, jakie ludzie ze sobą prowadzą, nie ma sensu? – zapytał Maksymilian.

- Dlaczego?
- Zacznijmy jeszcze raz – powiedział, ciężko wzdychając.

– Przegrałeś, przegrałeś, nie zadałeś pytania, pobite gary! – zarżała ze szczęścia Zofia, wskakując do łóżka między Maksymiliana a jego żonę. Szwarcwald się zjeżył, prychnął, po czym dostojnie opuścił sypialnię, żeby skubnąć odrobinę aromatycznej karmy Sheba o smaku królika. Wyrwana ze snu żona Maksymiliana wymamrotała przez sen: „Oddawaj róże, stara wariatko”, po czym zniknęła z powrotem pod zaślinioną na brzegu kołdrą.

– Przegrałem, bo taki był mój zamiar. Jeśli nie możesz nie odpowiedzieć i jeśli nie udaje ci się odpowiedzieć pytaniem na pytanie, zmieniaj wątek. Kiedy ktoś pyta cię o godzinę, odpowiadaj, że nie wiesz, dlaczego każdy Rumun przypomina hrabiego Draculę, a każda Francuzka marzy o romansie z polskim hydraulikiem, rozumiesz?

- Ale po co? Dlaczego nie można po prostu odpowiedzieć?

– Ty znowu swoje. Czy zdarzyło ci się kiedyś z kimś sensownie porozmawiać? – zapytał Maksymilian.

– Czy nie pamiętasz już, dlaczego tutaj przyszedłam?

– Jesteś głodna?

– ???

– Wiesz, że ona nie pozwala ci jeść po dwudziestej, prawda?

– Czy ona przypadkiem nie śpi? – zapytała z bezczelnym uśmiechem Zofia.

Maksymilian wsunął srebrnego Walthera pod poduszkę, włożył praktyczne kapcie w norweski wzór, które dostał od teściowej na trzydzieste ósme urodziny, i podniósł się z łóżka tak szybko, że poczuł na wysokości krzyża porządne łupnięcie. Jeszcze dwa lata i zupełnie się rozsypię, pomyślał. Może jogging?

To wyśmienity pomysł. Dopóki, oczywiście, pozostanie jedynie pomysłem. Maksymilian nie jest na tyle głupi, żeby dać się zabić podczas porannego biegania. Jeden z jego znajomych z pracy po dziesięciu latach siedzenia przed komputerem któregoś dnia ewidentnie oszalał i zapragnął zerwać z niezdrowym trybem życia, więc kupił sobie kask, obcisłe gatki i rower z włókna węglowego. Pojechał na wycieczkę krajoznawczą po Dolinie Służewieckiej i po kwadransie pedałowania był trupem. Maksymilian wolał nie ryzykować śmierci w obcisłych gatkach, więc tylko jęknął, pomasował się po plecach i powiedział do córki, żeby nie ufała nikomu po trzydziestce. Zofia wyskoczyła za nim z łóżka, postawiła stopy na jego kapciach, a on chwycił ją za dłonie i szurając, ruszyli w stronę lodówki.

Zofia była krytyczna. To jedna z niewielu cech, jakie po nim odziedziczyła. Gdyby nie kilka fizycznych podobieństw (oczy z mongolską fałdą, ekstremalnie wąskie stopy i wystające łokcie), podejrzewałby, że Zofia jest podrzutkiem autorstwa Filipa Holzgrabera. Maksymilian podejrzewał Holzgrabera tylko dlatego, że Zofia zbyt często zadawała mu pytanie: „Dlaczego nie jesteś prezenterem telewizyjnym?”. Wykluczył Holzgrabera, gdy przypomniał sobie, że były kochanek jego żony nie był prezenterem telewizyjnym, a jedynie synem prezenterki telewizyjnej. Odetchnął z ulgą. Cenił żelazną logikę, która rządziła jego życiem i imponującymi konstrukcjami myślowymi.

Ale gdy porzucił podejrzenia względem Holzgrabera, dopadły go nowe wątpliwości. Uświadomił sobie, że Zofia cierpi na sygmatyzm właściwy, a dokładniej rzecz ujmując, na seplenienie świszczące. Zofia sepleni, no a żona Maksymiliana i on sam nie seplenią. Sepleni za to dentysta, do którego chodzi moja żona i do którego również chodzi Zofia, pomyślał. Zanim jednak umówił się na wizytę u rodzinnego stomatologa, żeby mu dyskretnie wyrwać włos, który wysle na testy DNA, doznał objawienia. Któregoś wieczoru wybrał się z Zofią na proszoną kolację do rodziców. Gdy prowadzący teleturniej *Jeden z dziesięciu* zadał pytanie: „W jakiej miejscowości brzmi chrząszcz w trzcinnie?”, Romuald i Zofia krzyknęli

razem: „W Szczebrzeszynie”. Wówczas Maksymilian wreszcie zrozumiał, że szeleszczące spółgłoski nieszczęsna potomkini Maksymiliana odziedziczyła po świszczącym dziadku Romualdzie, miszczu świata w seplenieniu.

Już jako dziecię Maksymilian pojął, co oznacza stwierdzenie – forma zabija treść. Każde wyseplenione przez Romualda słowo bolało Maksymiliana o wiele bardziej niż powtarzana przez żonę Maksymiliana fraza typu grzyby po deszczu. Chyba że frazę typu grzyby po deszczu artykułował Romuald. U Zofii jakoś to tolerował – mogła sobie seplenić, ile wlezie. Ze świstaniem Romualda nigdy się nie pogodził. Może dlatego, że Romuald nigdy w życiu nie powiedział czegoś, co warto by uwiecznić choćby w kiblu na Dworcu Wileńskim, gdzie Maksymilian, jako otumaniony hormonami trzynastolatek, przeczytał wiekopomną deklarację: „Za pięć złoty połknę twą sperme”, a pod nią dopisek: „Za takie piniendze połknij se swoją”. Kiedy zobaczył tę wymianę zdań niedoszłych kochanków, poczuł, jak treść żołądka błyskawicznie przenosi się w okolice migdałków. Błędy ortograficzne doprowadzały go do mdłości, więc zamazał flamastrem ohydne komunikaty, a nad nimi wykaligrafował ich poprawne wersje, po czym obiecał sobie, że zrobi wszystko, by już nigdy więcej nie korzystać z miejskich toalet.

I nie jadać na mieście. Jednak to nie było takie łatwe. Bo choć Maksymilian odziedziczył po matce nie tylko niepodpisanie intercyzy, ale również talent kulinarny, to od trzech lat go nie rozwijał. Pewnego dnia, po lekturze książki *W poszukiwaniu prawdziwej męskości*, którą dostał od żony na trzydzieste szóste urodziny, poinformował żonę i córkę, że nie ugotuje nic, dopóki żona lub córka (tak naprawdę miał na myśli tylko żonę) same nie staną do garów, że zaczną znowu gotować, jeśli choć raz po powrocie z roboty dostanie cholerny obiad. Niech to szlag! Bo najwyższy czas, co powtórzył bez przekonania za autorem książki *W poszukiwaniu prawdziwej męskości*, powrócić do patriarchatu. Kupując tego wydawniczego gniota, żona Maksymiliana nie przypuszczała, że płaci 29,90 za seksistowski manifest jakiegoś frustrata z Nowej Anglii. Wydawało jej się, że książka *W poszukiwaniu prawdziwej męskości* to poradnik w stylu *Jak zostać Priapem w weekend*. Po zainwestowaniu prawie trzech dych miała prawo oczekiwać, że Maksymilian wreszcie ujrzy w swojej sikawce coś w rodzaju narzędzia do sprawiania rozkoszy.

Żona Maksymiliana nie lubiła gotować. Wystarczyło, że uwielbiała kuchnię. Oglądała programy kulinarne (Jamie Oliver, Nigella Lawson, Martha Stewart itd.), kupowała w hurtowych ilościach portugalskie talerze, włoskie otwieracze do konserw, niezawodne preparaty do czyszczenia lodówek made in USA oraz dziesiątki pięknych i praktycznych drobiazgów, którymi dekorowała kuchnię w stylu rustykalno-postindustrialnym. Najbardziej dumna była z beżowej lodówki Smeg. To właśnie przed nią na pięknych i praktycznych kapciach Maksymiliana stała Zofia, wypatrując jakiejś wysokoenergetycznej bomby węglowodanowej.

- Może po prostu napiję się coli? – zapytała.
- A może po prostu zjesz banana? – odpowiedział pytaniem Maksymilian, wrywając córce dwulitrową butelkę.
- Dlaczego wszyscy rodzice są tacy sami? – spytała, wbijając pięty w stopy Maksymiliana.
- Nie pamiętasz, że wszystkie szczęśliwe rodziny są szczęśliwe w ten sam sposób, a każda nieszczęśliwa rodzina jest nieszczęśliwa po swojemu?
- To z Dostojewskiego?
- Coście się uparli na tego Dostojewskiego? To *Anna Karenina*.
- Jakaś znajoma mamy?
- Może jednak banan? Cola wypłukuje wapń, magnez i chyba żelazo, nie pamiętam, a banany mają mnóstwo tryptofanu. *Anna Karenina* nie jest znajomą twojej mamy. Czy wydaje ci się, że twoja matka ma chociaż jedną koleżankę, która byłaby w stanie utworzyć zdanie wielokrotnie złożone?
- Nie chcę banana.
- W takim razie pošlę cię na odwyk.
- Nie pošlesz, jesteś miękką frytą.
- Że co?
- Nie masz jaj. No nie patrz tak! Powtarzam tylko to, co mówi mama. A rodziców trzeba słuchać, prawda?
- Niech cię Bóg broni. Jeśli chcesz zachować resztki zdrowia psychicznego, nigdy nie słuchaj rodziców.
- A kogo?
- Nikogo.
- Naprawdę chcesz się zabić?
- Tak samo jak ty. Tylko że ja raz a dobrze, a ty na raty, żłopiąc to świństwo hektolitrami.
- Strasznie przynudzasz. Kaznodziej się z ciebie zrobił na stare lata.
- Kaznodzieja, jeśli już. I nie na stare lata. Jestem stosunkowo młody.
- Nawet mój nauczyciel od etyki, który też przynudza jak nawiedzony, jest od ciebie młodszy.
- Ale sama powiedziałaś, że to kretyn.
- A od kiedy ty słuchasz innych?
- Jesteś stanowczo zbyt wyszczekana jak na trzynastolatkę. Do łóżka, ale już!
- Myślisz, że możesz mi rozkazywać, bo masz spluwę?
- To nie moja spluwa. Pożyczam ją tylko od twojej matki.
- Tym bardziej.
- Niemniej jednak dobranoc.
- Dobranoc.

- Dobranoc.
- Dobranoc. Chcesz się ze mną przekomarzać jak z mamusią?
- Nie chcę. *Bonne nuit.*
- Nie popisuj się. Przecież wszyscy wiedzą, że nie znasz francuskiego. *Gute Nacht*, ha, ha, ha!

Maksymilian zamknął sobie usta na niewidoczny zamek błyskawiczny i wskazał Zofii palcem drzwi do jej pokoju. Chciał jak najszybciej wrócić do łóżka, żeby wsadzić dłoń pod poduszkę i poczuć kojący chłód srebrnego Walthera. Choć w porównaniu z żoną Maksymiliana, srebrny Walther był gorący jak płynna stal.

Rozdział drugi

Przed wiekami stał tutaj gęsty las. Między kołyszącymi się dostojnie klonami, na dywanach z wrzosów i mchu, krzepkie dziewczki dawały się wytarosić napalonym parobkom. Jeszcze nawet dwadzieścia lat temu sterczało tu coś w rodzaju zarośli. Późną wiosną i wczesną jesienią, przy ładnej pogodzie, mieszkające w pobliskich akademikach studentki Wydziału Nauk o Żywieniu Człowieka i Konsumpcji wyruszały w plener, by w okolicznych chaszczach wyskoczyć z majtek przed studentami Wydziału Technologii Drewna.

Jednak na początku milenium w krzakach rozpanoszyły się buldożery, żeby potomkowie dziewczek o rumianych policzkach i napalonych parobków mieli się gdzie skryć przed gwałtem i grabieżą. I tak wyrosło tu kilkadziesiąt nowych osiedli strzeżonych, a wśród nich oddzielona od reszty świata wysokim na trzy i pół metra murem oaza spokoju, którą upatrzyła sobie żona Maksymiliana, prapraprawnuczka jednej z najbardziej chwackich dziewczek w okolicy.

Na środku wyłożonego kostką Bauma placu, pomiędzy sześcioma blokami w kolorze lilaróż, robotnicy wydlubali dziurę w ziemi, po czym zalali ją kranówką. Tak powstało urocze oczko wodne, wokół którego na ławeczkach przysiadają nianie, żeby umilić sobie czas typową dla tej grupy zawodowej paplaniną. Narzekają na zimnokrwistych i aroganckich rodziców, którzy z roku na rok produkują coraz bardziej upierdliwe bachory. Wymieniają się trickami wychowawczymi. Perswazje, negocjacje, łagodny przymus bezpośredni względem rozwydrzonych gówniarzy – to wiodące tematy wielogodzinnych nasiadówek. Gdy nianie są szczególnie zniechęcone, rozmawiają o piraniach. Wierzą, że pewnego dnia ktoś wpuści do oczka wodnego parę rybek, które na pierwszy rzut oka nie różnią się od płotek czy glonojadów, no bo kto w dzisiejszych czasach jest na tyle spostrzegawczy, żeby znaleźć trzy szczegóły, którymi różni się pirania od glonojada: to ryba i to ryba, to lubi pływać i to lubi pływać, glonojad lubi glony, a pirania dzieci. Nianie wierzą, że pewnego dnia ktoś wpuści do oczka wodnego piranie, które zjedzą wszystkie osiedlowe bachory, dzięki czemu nianie nie będą już musiały użerać się z aroganckimi rodzicami, zaczną nowe życie i kto wie, może nawet zrobią karierę biurową lub telewizyjną.

Maksymilian nienawidził tych spiskujących półanalfabetek, które uczyły dzieci sąsiadów, że trzeba włanczać, kontynuować dalej, cofać się do tyłu i nienawidzić. One też go nienawidziły, zwłaszcza gdy krzyczał do nich z balkonu, że mu leci z uszu krew, gdy słyszy wiaść. A od 12 kwietnia, gdy o 22.05 wymalował na śmietniku zielonym sprejem hasło „Nienawidzę głupich cip”, dostał przydomek Pojeb z Czwartego.

W sprawie pierwszego w dziejach osiedla Lazur III aktu wandalizmu ruszyło śledztwo. Do ustalenia i ukarania sprawcy wzięła się pani Marta, szara eminencja

osiedlowej administracji. Osiedlowa panna Marple zaatakowała mieszkanie żony Maksymiliana, jej córki Zofii, kota Szwarzwalda i Maksymiliana w piątek, 13 kwietnia, o godzinie 7.45 rano. Jednak dla żony Maksymiliana, która nie musiała pracować, był to środek nocy. Idąc w stronę drzwi, rozmawiała wciąż z serialowym Adamem, który nadal jej się śnił. Kiedy stanęła w przedpokoju, była już w miarę przytomna, więc pomyślała, że zwyzywa idiotę, który wyrywa ją z tak pięknego snu, ale chwytając słuchawkę domofonu przypomniała sobie, że przecież to piątek trzynastego, więc licho nie śpi, dlatego na wszelki wypadek zachowa ostrożność i będzie tak miła, jak tylko potrafi o tak wczesnej porze. Namiętnym głosem, jakby ogłaszała odjazd pociągu ze stacji Kutno do stacji Nowy Jork, powiedziała:

– Tak, proszę?

– Pewna niania, oczywiście nie mogę powiedzieć która, powiedziała, że widziała przy śmietniku kogoś podobnego do pani męża – usłyszała w słuchawce. – Wpuści mnie pani czy mam mówić przy wszystkich?

Jak to przy wszystkich? Gdyby słuchawkę podniósł Maksymilian, obok kobiety z administracji oczami wyobraźni zobaczyłby tuzin przedstawicielek Związku Niań Polskich, jak zwykle podpitych ochroniarzy z osiedla Lazurowe, wspomaganą przez drużynę policjantów z Wydziału do Zwalczania Przemocności Zorganizowanej i nauczycielkę rosyjskiego, która często powtarzała: „Maksymilian, mam ja dla ciebie maksymę, która brzmi: Maksymilian, źle skończysz”. Ale że w przeciwieństwie do Maksymiliana jego żona była właściwie pozbawiona wyobraźni (w zupełności wystarczały jej horoskopy), odpowiedziała pannie Marple:

– Proszę, proszę.

I poszła włączyć ekspres. Wiedziała, że zanim stukilowe monstrum z administracji wdrapie się na czwarte piętro, zdąży zaparzyć sobie kawę, a może nawet wziąć prysznic.

– Kawy? – zapytała, patrząc na zasapaną kobietę w jasnym prochowcu, która resztką sił opadła na fotel w salonie.

– Nie, kawa by mnie zabiła, mam teraz tętno ze dwieście.

– To może herbaty? Polecam darjeeling, przepyszna. Albo nie, zrobię pani zieloną. Wypłukuje toksyny.

– Herbata wysusza, ale może być mięta, na zgagę dobra.

– Nie używam mięty, bo nie miewam zgagi.

– Ale w końcu można też pić dla smaku i zapobiegawczo. Niech będzie woda, byle bez gazu.

– No to tylko ta z czajnika, bo my pijemy wyłącznie gazowaną.

– A przefiltrowana? Bo jak nie, to już lepiej niech będzie ta z gazem, postoi chwilę i się odgazuje. Ja, widzi pani, to niefiltrowanej nie piję, o nerki się boję. Co to tam się zdąży odłożyć przez całe życie, to wolę nawet nie myśleć. Ale się

umęczyłam. Nie dla mnie czwarte piętro, no naprawdę.

– Dzwoniłam do państwa wczoraj, że się winda popsowała, ale do dziś nikt nie raczył przyjść.

– Raczył, raczył. Byli tu już z serwisu i powiedzieli, że silnik się popsuł, nawalił, przepalił, trzeba wymienić. To tak z dnia na dzień się nie da. Zamówili. Ma być w poniedziałek. Co za wstyd!

– No cóż, w końcu to jeszcze tylko trzy dni. Dobrze nam zrobi na pośladki, ha, ha. – Żeby żart na pewno dotarł do adresatki, żona Maksymiliana porozumiewawczo mrugnęła okiem.

– Ja nie o windzie, proszę panią. Winda to nie wstyd, ale to, co zrobił pani mąż ja mówię.

– Może mi pani przypomnieć, bo rano jestem zakręcona jak chiński termos i nie pamiętam, co pani mówiła przez domofon?

– Niania, której dla dobra śledztwa tutaj nie wymienię z nazwiska, powiedziała, że zauważyła przy śmietniku kogoś podobnego do pani męża, kiedy ten napis się pojawił.

– Jaki napis?

– Wiedziałam, że pani zapyta. Aż wstyd powtarzać, no naprawdę. Zrozumiałabym, gdyby to jakiś dzieciak, ale dorosły mężczyzna? I to na własnym osiedlu...

– Co on takiego napisał?

– Mówiłam już. Aż wstyd powtarzać.

– Napisał: „Aż wstyd powtarzać”?

– Niech się pani nie wygłupia, no naprawdę. Wstyd powtarzać, co napisał, i tyle. Nienawidzę głupich cip.

– Słuchaaam?

– No ile razy mam powtarzać, daj pani spokój. Tak właśnie napisał tym sprejem.

– Jakim znowu sprejem?

– Zielonym.

– Niemożliwe.

– Możliwe, możliwe.

– Mój mąż nie używa zielonego spreju.

– To ciekawe. A co to pani tak obstaje przy swoim? Myśli pani, że on nie ma przed panią tajemnic?

– Nie tylko nie myślę, ale nawet jestem pewna. O wszystkim sobie mówimy.

– Proszę panią, chyba pani mężczyzn nie zna, no naprawdę. Oni zawsze mają jakieś tajemnice. Może nie tyle co my, ale jednak.

– Kiedy to się stało?

– Wczorek około dziesiątej wieczór. Ta niania, która mi powiedziała, że

widziała pani męża przy śmietniku, widziała go tak mniej więcej pięć po dziesiątej, plus minus dziesięć minut.

– Niemożliwe. Byłam wtedy z mężem.

– Przy tym śmietniku?

– W domu. W mieszkaniu, w łóżku... Oglądaliśmy film.

– Jaki film?

– Serial.

– W publicznej, czy w komercyjnej z reklamami?

– A jakie to ma znaczenie?

– To ja tutaj zadaję pytania i ja decyduję, co ma znaczenie – powiedziała stanowczo panna Marple.

– Nie wierzę. Nie wierzę, że mówi to pani serio. Co to za śledztwo? Pani sobie żartuje, prawda? Jest pani z administracji, czy z CIA? Jeśli mamy jakieś niedopłaty, proszę powiedzieć, ile. – Żona Maksymiliana podniosła głos o ćwierć oktawy.

– Nie żartuję. W publicznej czy z reklamami?

– Dwieście, trzysta? Proszę powiedzieć, jeszcze dziś zapłacę i po sprawie, agentko Mulder.

– Obawiam się, że dużo więcej. Usunięcie tego ohydneho napisu będzie państwa kosztowało dużo więcej.

– Już pani powiedziałam, że mój mąż nie ma z tym nic wspólnego. Oglądaliśmy serial, więc to nie on, to wszystko.

– Może była przerwa na reklamy i wtedy się wymknął i zasprejował śmietnik tym napisem?

– Nie było żadnej przerwy na reklamy. Nie było żadnego zasprejowania.

– Było.

– Pani Magdo...

– Marto.

– Przepraszam, pani Marto, jesteście dorosłymi ludźmi. Musi pani wiedzieć, że mój mąż jest najbardziej leniwym człowiekiem, jaki szura nogami po tej ziemi. Nawet kiedy rozwiąże mu się sznurówka, nie zada sobie trudu, żeby ją zawiązać. Woli wyróżnąć twarzą o bruk, niż się schylić.

– Może powinna mu pani kupywać mokasyny?

– To tylko taki przykład z tymi sznurówkami. Mój małżonek jest zbyt leniwy, żeby pójść do sklepu po jakiś sprej. Nawet gdyby poszedł, straciłby cały dzień i wróciłby z niczym, znam go. Najpierw by się tygodniami zastanawiał, jaki sprej wybrać, potem wytypowałby najtańsze sklepy w okolicy i zaczął objeżdżać wszystkie supermarkety, żeby porównać ceny, bo nie znosi przepłacać, a w internecie nie kupuje, bo jest z natury nieufny. W końcu wróciłby do sklepu, w którym sprzedają najtańsze spreje na świecie, ale to też nie byłby jeszcze koniec.

Już go widzę, jak stoi przed półką ze sprejami i zaczyna się zastanawiać, jaki wybrać kolor: żółty czy niebieski? Żółty czy niebieski? Żółty czy niebieski? I tak godzinami. Bo może jednak żółty, a może jednak niebieski, rozumie pani?

– Ale w końcu wybrał zielony.

– No dobrze, jeśli mi pani nie wierzy, zejdźmy na dół, popatrzę na ten napis i powiem pani, czy to jego charakter pisma.

– Może jeszcze grafologa sprowadzimy, a najlepiej dwóch, żeby nie było podejrzeń co do niezawisłości? Ha, ha, ha! Bez żartów, no naprawdę. Poza tym tego napisu już od dawna nie ma. Kazałam go zamalować mojemu szwagrowi, który jest u nas na osiedlu złotą rączką, jak pewno pani dobrze wie. Zna pani męża mojej siostry bliźniaczki, prawda? No więc kazałam Tomkowi, mojemu szwagrowi, to zamalować. Czy wyobraża sobie pani, że ja bym pozwoliła, iżby taki świński, chamski napis kłuł od samego rana w oczy mieszkańców, zwłaszcza małych? Napis zniknął ponad półtora godziny temu. Muszę dbać o przyzwoitość i dobre samopoczucie. To porządne osiedle, że przypomnę.

– Skoro nie ma już tego napisu, to po kłopotcie.

– O nie! Ktoś musi zapłacić za zmycie farby. Niech się mąż przyzna i wtedy to dopiero będzie po kłopotcie.

– Nie ma pani dowodów, że to mój mąż.

– Ale mam świadka.

– Mój mąż też ma świadka. Ufa pani bardziej jakiejś niani niż mi, mnie? Jak się mówi, mi czy mnie w takiej sytuacji? Dobrze pani wie, jakie są nianie. I zdaje sobie pani sprawę, że nienawidzą mojego męża, bo on im zwraca uwagę na niewłaściwe zachowanie. Poza tym już pani powiedziałam, że oglądaliśmy serial w tym czasie, w którym rzekomo ta niania, swoją drogą chciałabym się dowiedzieć, która to, widziała tego kogoś...

– Pani męża. Mówi, iż widziała pani męża, że przypomnę. Dobra ta woda. Niby gazowana, a dobra. Nie powinniście państwo pić gazowanej, strasznie szkodzi na jelita – zmieniła temat kobieta z administracji, odstawiając szklanę. – I proszę przypomnieć mężowi, żeby nie wrzucał puszek do kontenera ze szkłem. Nie raz, nie dwa zwróciłam mu już uwagę, ale nie pomogło. A to są kary, proszę panią, to są koszty. Dodatkowe koszty, które wszyscy musimy ponosić. Nie mówiąc już o ekologii. I to dopiero jest, jak się pani wyraziła, niewłaściwe zachowanie. Mogę się trochę rozejrzeć po mieszkaniu?

– Wolałabym nie. Chyba że ma pani nakaz, ha, ha! A co do śmieci – mój mąż je segreguje. I na pewno nie pisze głupot sprejem.

– To się jeszcze okaże, kiedy wszystko wyjdzie na jaw. A propos: czy to prawda, że pani mąż chodzi po domu z pistoletem na wierzchu?

Rozdział trzeci

W tej samej chwili, w której osiedlowa panna Marple dopija drugą szklanekę wody, unosimy się nad osiedlem Lazur III. Szybując nad miastem w kierunku północnym (prędkość wiatru cztery metry na sekundę, temperatura dwadzieścia stopni Celsjusza, wilgotność powietrza siedemdziesiąt siedem procent, więc śmiało rozwińmy skrzydła), dotrzemy nad Starówkę. Możemy zawisnąć nad dachami jak wrona, anioł, satelita szpiegowski albo cholerny wszechwiedzący narrator i obserwować wszystko z góry, ale lepiej wylądować na skrzyżowaniu Miodowej i Długiej, usiąść na ławce pod kościołem, zapalić papierosa i spokojnie się przyglądać.

Oto sam środek Wielkiego Dziania Się.

Na postoju naprzeciwko kościoła trzej taksówkarze oparci o zdezelowaną toyotę avensis w kolorze buraka pastewnego wymieniają uwagi o dominantach przestrzennych telewizyjnej pogodynki.

– Za chuda jest, żeby były prawdziwe, mówię wam, raz ją wzięłem, ze dwa lata temu, wtedy miała mniejsze – mówi Brzuchaty.

– To nie dziwota, dzisiaj jak chcesz pracować w telewizji, musisz se zrobić silikon – zauważa roztropnie Kurdupel w kamizelce wędkarza.

Brzuchaty przeczesuje kilka ostatnich włosów.

– Wszystko po to, żebyś się nie gapił na te popieprzone mapki, temperatury i ciśnienia, tylko na te jej balony. Wtedy nie pamiętasz, jaka ma być jutro pogoda, bo myślisz o cycach, i wtedy taka jedna cizia z drugą może ci podać prognozę dla Egiptu, a ty się i tak nie połapiesz – mówi.

– No – przytakuje Kurdupel. – To by się zgadzało. Tylko że czasami pogodę zapowiada facet.

Brzuchaty długo się nie namyśla:

– Prawdziwy facet z krwi i kości nie może robić jako pogodynka. Ale nawet jak już jakiś robi, to też go przeszkolą, jak zachachmęcić. Włoży taki czapkę Mikołaja albo kombinezon kosmonauty, żeby oglądalność była, i też już nic nie pamiętasz, tylko ten kombinezon.

Kurdupel na to:

– No.

A Brzuchaty:

– Wczorek też mówiła, że będzie padało, a tu słońeczko jak malowane, ja pierdolę. I miało być dwanaście stopni, a jest dwadzieścia. Myśli, że jak ma balony jak arbuzy, to może kłamać, ile wlezie.

Kurdupel udaje, że się zastanawia.

– Ja to kupuję. Pogoda tak się popieprzyła przez ten ozon w niebie, że nawet sam Einstein by się nie połapał. Wszystko się popieprzyło – mówi.

Trzeci taksówkarz patrzy na nich niemalże badawczo. Wciąż się zbiera, żeby coś powiedzieć, ale jakoś nie za bardzo wie co. Jego kumple też nie wiedzą, jednak zupełnie im to nie przeszkadza. A nawet wręcz przeciwnie.

W chwili, gdy zaczynają nowy wątek, pod kościołem zatrzymuje się stado otumanionych tutejszą egzotyką japońskich turystów. Jeden z nich, emerytowany kucharz Kazunari Nakayashi z Jokohamy, pokazuje palcem zdezelowaną toyotę avensis w kolorze buraka pastewnego, przy której taksówkarze rozprawiają właśnie o wyższości franka szwajcarskiego nad euro.

– To dzisiaj trzydziesta czwarta toyota avensis – mówi Kazunari, który przyjechał tutaj, żeby objąć serce Chopina. Kazunari jest niezwykle rad, że ziomkowie jego ukochanego Fryderyka tak chętnie kupują japońskie samochody. – Trzydziesta piąta! – krzyczy z przejęciem Kazunari i pokazuje kumplom zaparkowaną pod kościołem białą toyotę avensis kombi z poszarpaną felgą w lewym przednim kole.

Kazunari przez ułamek sekundy przygląda się siedzącemu w środku facetowi, który oparł się czołem o kierownicę. Z wielką ochotą pogadałby z nim o potędze japońskiej motoryzacji albo o mazurkach Chopina, a przynajmniej strzeliłby mu fotkę, ale niezmordowana przewodniczka ciągnie wycieczkę w stronę kolejnych atrakcji.

– To ulica, na której w tysiąc osiemset dwudziestym dziewiątym roku po raz pierwszy młody Fryderyk Franciszek Chopin wzdycha na widok urodziwej Konstancji Gładkowskiej – mówi przewodniczka.

Japońscy turyści próbują wymówić i zapamiętać nazwisko Gładkowska. Banał. Brzmi prawie tak samo jak harakiri.

Tuż obok przewodniczki zatrzymuje się ubrany w szary płaszcz dwumetrowy menel, który szuka w rozporoku fiuta, żeby zaznaczyć swoje terytorium.

– O kurwa żeż jebana w dupę mać, ale Sajgon – woła zawadiacko w stronę wycieczki.

Wyrozumieli japońscy turyści uprzejmie się do niego uśmiechają. W końcu to rodak ich ukochanego Fryderyka Franciszka Chopina.

A kierowca białej toyoty avensis przez otwarte okno słyszy, jak Kazunari krzyczy: „Trzydziesta piąta!”. I choć jako chłopiec oglądał serial *Shogun*, a przez siedem lat ćwiczył karate kyokushin i nauczył się japońskich liczebników (od jeden do dwadzieścia), nic nie rozumie. Kiedy Kazunari krzyczy: „Trzydziesta piąta!”, kierowca toyoty czuje, że za chwilę ktoś straci głowę. I że najprawdopodobniej będzie to jego głowa.

Ale na razie opiera czoło o kierownicę, na której mocno zacisnął ręce. Jest godzina 8.05. Miała być 7.45, ale jest 8.05. Już wie, że się spóźnił. Do 7.45 wszystko szło zgodnie z planem.

Wsiadają do samochodu (jest 7.01), mijają bramę (7.02), ustawiają się w kolejce do pierwszych świateł (7.04), po dwóch kilometrach jak zwykle wpadają w korek (7.07–7.21), wypadają na trzypasmówkę, dojeżdżają do Starówki (7.42), a na skrzyżowaniu Długiej i Miodowej są dokładnie o 7.44. Gdyby nie to, że zbyt gwałtownie wjechał na chodnik i uszkodził felgę, wszystko byłoby idealnie. Ona wysiada. On też. Sprawdza felgę. Da się jechać. Patrzy na zegarek. 7.45.

– Parszywego dnia! – Ona macha do niego i znika za rogiem.

– Parszywego! – woła za nią.

Wsiada do samochodu. Spojrzeć w lusterko, wrzucić wsteczny, kierunkowskaz, rura! Znow patrzy na zegarek. 7.46. Ma czternaście minut (plus piętnaście na niespodziewane komplikacje drogowe). Przeciskać się przez miasto czy zjechać na Wisłostradę? Miasto będzie zatkane, Wisłostrada będzie zatkana. Co będzie bardziej zatkane? Miasto. Wisłostrada. Chyba jednak miasto.

Dziś wyjątkowo nie może się spóźnić. Wisłostrada. Nie może się spóźnić drugi raz z rzędu. Ludzie w tym kraju nie są na tyle wyrozumiali, by uwierzyć, że teść czasami umiera dwukrotnie. Miasto. No tak, ale jeśli znów utknie na wiadukcie? Wisłostrada. Jazda! 7.47. Spokojnie. Jeszcze trzynaście minut plus piętnaście. Może jednak miasto? Gorąco. Wszystko się popieprzyło – dwadzieścia stopni w kwietniu przed ósmą! Czuje, że się spocił pod prawą pachą. Zawsze najpierw poci się pod prawą pachą. Ciekawe, czy to ma związek z tym, że jest praworęczny? No pewnie, że tak.

7.48. Niedobrze mu. Może rzeczywiście przed wyjściem z domu niegłupio jest zjeść porządne śniadanie?

Zaczyna się. Odetchnie głęboko kilka razy i mu przejdzie. Wisłostrada. Wczoraj wzgardził Wisłostradą i się doigrał. Teść nie umiera dwukrotnie, bomba nie spada po raz drugi w to samo miejsce. Lepiej zaufać bombardierom. Dlatego miasto, przez które wczoraj się spóźnił. Miasto, postanowione.

Ta cholerna japońska wycieczka zużyła całe powietrze w okolicy. Dusi się. Nie dzieje się nic złego, to tylko chwilowe drżenie rąk. Nie dzisiaj, tylko nie dzisiaj, kochany święty Krzysztofie, patronie kierowców, żeglarzy, flisaków i przewoźników, czy nie można by tej drżączki przełożyć na przyszły tydzień?

Jest przepracowany, przepalony i głodny. To normalne, że się trzęsie. 7.51. Niech to szlag! Ręce na kierownicę. Jeśli uspokoi drżenie rąk, ten spokój rozleje się po całym ciele. W końcu to tylko durne, nic nieznaczące spotkanie. Pieprzyć bombardierów. Kto by ufał kolesiom, których jedyną pasją jest wrzucanie ludziom ładunków wybuchowych do talerza? Trzeba pojechać Wisłostradą.

Jeśli się nie uspokoi, za chwilę zrobi coś naprawdę głupiego. Wyjdzie z samochodu i zacznie tarzać się po kocich łbach. Ogłosi, że jest Napoleonem albo lajkonikiem. Taksówkarze będą mieli uciechę. Oddychać. Głęboko i powoli oddychać. Wisłostrada. 7.53, 7.54, 7.55. Miasto. 7.56, 7.57, a jeśli to zawał? 7.58,

7.59, 8.00. Wiadomości. Jak podała telewizja CNN, wczoraj w Bagdadzie w wyniku dwóch samobójczych zamachów zginęło osiemnaście osób. Dziesięć osób poniosło śmierć na zniszczonym moście al-Sarafiya, a kolejnych osiem – w kawiarence w strefie irackiego parlamentu. Co najmniej czterdzieści sześć osób odniosło rany. 8.01. Tu nikomu nie chce się odpalać bomb, lenie śmierdzące. Wszystko będzie dobrze. Ma jeszcze kwadrans zapasu. Dojedzie. Musi się tylko zdecydować. 8.02. Miasto. Wisłostrada. Miasto.

8.03.

8.04.

8.05. Opiera czoło o kierownicę. Słyszy jakiegoś Japończyka, który na pewno chce mu odciąć głowę samurajskim mieczem. Nawet jeśli mu nie utnie, i tak straci głowę. On, nie Japończyk. Żeby wszystko było jasne. Ale nie jest, cholernie bardzo nie jest. Czuje, że zdrętwiały mu ręce. Przynajmniej już nie drżą. Zawsze coś. Zaczyna za to drzeć mu biodro. Jeszcze chwila, a zatańczy jak Elvis. Dlaczego akurat biodro? No tak, to tylko telefon. TO AŻ CHOLERNY TELEFON! Już dzwonią, żeby się dowiedzieć, gdzie jest, a przede wszystkim, żeby się dowiedzieć, dlaczego jeszcze nie ma go tam, gdzie być powinien. Niech to szlag! Odbierze.

Trzeba się konfrontować.

Nie wolno uciekać przed odpowiedzialnością.

To jedyny sposób, żeby pokonać słabość. Wszelkie słabości.

Skąd mu do głowy przychodzą takie durne zdania? Tak, to rzeczywiście bardzo interesujące pytanie. Znów chętnie by się pozastanawiał, gdzie dokładnie rodzą się myśli i czy żyją własnym życiem, czy też można jakoś nad nimi zapanować, podobno tak, choć jemu nigdy to się jeszcze nie udało, chętnie by poświęcił myślom więcej czasu, ale jest zajęty zupełnie innymi myślami, niech to szlag. Zesztywniała ręką sięga do prawej kieszeni spodni. To nie oni.

– No co tam? – pyta, dysząc w słuchawkę.

– Siedzi u mnie pani Magda, przepraszam, tak, tak, pani Marta z administracji. Pyta, czy zasprejowałaś śmietnik. Czy to ty jesteś autorem hasła: „nienawidzę głupich cip”?

– Tak – odpowiada Maksymilian. – Jak to jakim sprejem? Zielonym. Muszę kończyć, umieram.

Rozdział czwarty

Śmierć może się przytrafić każdemu. Porządny pogrzeb niekoniecznie. Warto o tym zawczasu pomyśleć. Maksymilian myślał codziennie, od kiedy w ogóle zaczął myśleć, czyli mniej więcej od trzydziestych urodzin, dzięki czemu świetnie zaplanował własny pochówek. Nawiasem mówiąc, to była jedna z dwóch rzeczy, jakie z zimną krwią udało mu się zaplanować.

Leży sobie wygodnie w czarnej trumnie. Zawsze marzył mu się czarny samochód, ale za każdym razem, gdy o tym wspomniał, żona robiła mu wykład, który litościwie można by streścić mniej więcej tak: „Czarne samochody są niebezpieczne, bo słabo je widać na drodze, a poza tym zbyt łatwo się nagrzewają”.

Kupowali więc białe, w których czuł się jak przedstawiciel handlowy mleczarni z Puław, ale które widać było na drodze z dziesięciu kilometrów. No i białe się nie nagrzewały, a w każdym razie nie tak, jak czarne.

Tak więc przynajmniej z trumną mu się udało. Całe szczęście, że ludzie najczęściej umierają osobno, a nawet jeśli odchodzą z tego świata grupowo, chowani są zazwyczaj w oddzielnych trumnach. Maksymilian leży sobie wygodnie w czarnej trumnie i nawet jego żona słyszy, jak spada mu kamień z serca, że nie zjedzie pod ziemię w dwuosobowej, dostojnej, nienagrzewającej się białej trumnie. I jest mu rozkosznie, bo choć to kwiecień, słońce daje do wiwatu, więc szykowny pojazd, w którym przejeżdża właśnie na tamten świat, zdążył się przyjemnie nagrzać (w lodówce, gdzie trzymali go przez ostatnich pięć dni, niezłe dostał w kość).

Dwaj grabarze, którzy specjalnie dla Maksymiliana wykopali przytulną dziurę w ziemi, są bardzo zadowoleni. Pod rozdartą sosną piją zdrowie nieboszczyka, a zamiast pogrzebowych smętów słuchają motywu przewodniego z *Mostu na rzece Kwai*. Nogi same rwą się do marszu, bo to dziarski kawalek, więc grabarze kończą połówkę czystej i ruszają do monopolowego po następną flaszkę, pogwizdując pod nosem coś, co według nich przypomina motyw przewodni z *Mostu na rzece Kwai*. Na szczęście wspomaga ich Orkiestra Dęta Kopalni Węgla Kamiennego Murcki, która powstała równo sto lat temu. Górnicy w czerwonych pióropuszkach wydychają z trąb motyw przewodni z filmu, który powstał równo pięćdziesiąt lat temu. Co za urocza jubileuszowa zbieżność – Maksymilian jest w siódmym niebie. Choć oczywiście wolałby być w setnym, pięćdziesiątym, a przynajmniej w dziesiątym, bo bardzo lubi okrągłe liczby. Umiera z niecierpliwości, żeby się przekonać, ile właściwie jest tych nieb. Pisząc *Boską komedię*, Dante miał z góry cynk, że jest niebo Księżycy, niebo Merkurego, Wenus, Słońca, Marsa, Jowisza, Saturna, niebo gwiazd stałych, Primum Mobile, a potem Empireum i apartament Pana Boga w kształcie białej róży. No ale Dante nie wspomina nic o niebie Urana i Plutona. Pał sześć Plutona, który został

zdegradowany i przestał być planetą, ale Uran? OK, Uran został odkryty dopiero 460 lat po tym, jak Dante spotkał się osobiście z bohaterami swojego dzieła, ale czy to oznacza, że skoro nie miał pojęcia o Uranie, to niebo Urana nie istnieje? Zaraz się okaże.

Zgodnie z ostatnią wolą Maksymiliana, podczas pogrzebu nikt się nie mazgai. Zofia zamiast beczeć albo pluć sobie w brodę, że ostatnie słowa, jakie wypowiedziała do ojca, brzmiały: „Parszywego dnia!”, ale przecież zawsze tak do siebie mówili, żeby nie zapeszyć, więc zamiast się mazgaić, Zofia gwizdże motyw przewodni z *Mostu na rzece Kwai*.

Gdy Zofia gwizdże, żona Maksymiliana spod czarnej woalki dyskretnie puszcza oko do Filipa Holzgrabera. Niech wreszcie ma coś z życia, biedaczka. Romuald mierzy ją wzrokiem, ale się nie odzywa. Zgodnie z ostatnią wolą Maksymiliana, podczas ceremonii nikt się nie mazgai, a Romuald milczy. W dniu jego pogrzebu nikt nie będzie seplenił.

Nad trumną stoją też właścicielki cipek, które w życiu widział. Siedem sztuk (nie licząc żony). Wszystkie skubią pączki tulipanów. To dla Maksymiliana niezwykle istotne, bo od pierwszej polucji nocnej pączki tulipanów kojarzą mu się z cipkami (kiedy przyjrzy się uważnie pączkom tulipanów, przekonacie się, że nie jest to wcale od rzeczy), więc czuje do tulipanów zrozumiałą słabość, dlatego poprosił właścicielki cipek w przedśmiertnym liściku, żeby pomachały mu nimi nad trumną. Machają i sru!, wyrzucają kwiaty w górę, po czym na trzy cztery wyciągają z kieszeni cytryny i, zgodnie ze scenariuszem Maksymiliana, zaczynają je gryźć. Maksymilian zawsze chciał sprawdzić, czy to prawda, że jeśli przy trębaczach zacznie się gryźć cytryny, ślinianki trębaczy wyprodukują tyle śliny, że trębacze totalnie się zaplują, co uniemożliwi im dalsze trąbienie. I gdy siedem dziewczyn Maksymiliana zaczyna gryźć cytryny, trębacze z Orkiestry Dętej Kopalni Węgla Kamiennego Murcki zaplują się doszczętnie, a temat przewodni z *Mostu na rzece Kwai* zamienia się w najbardziej zajadłą kakofonię, jaką sobie można wyobrazić. Urzeczony Maksymilian bije brawo.

Wieje ciepły, ale zadziorny wiatr z południowego zachodu. Jest na tyle wścibski, że dziewczyny Maksymiliana co chwila przytrzymują spódnice i wdowie kapelusze z czarnymi woalkami. Szkoda. W ostatnim liście do ludzkości, w podpunkcie skierowanym do byłych kobiet, napisał przecież wersalikami: „STĄNCIE NAGO NAD TRUMNĄ!”, jednak najwyraźniej żona Maksymiliana dołączyła cholerną erratę. Gdyby stały tutaj jak je Pan Bóg stworzył, pożegnanie z tym światem byłoby o wiele przyjemniejsze. I nikt by się nie obruszył z powodu nagości, w końcu to świecki pogrzeb.

Bo choć Maksymilian, leżąc w swojej czarnej trumnie, wciąż rozważa, ile tak naprawdę jest nieb i czy jest chociaż jedno, w którym ma szansę na wygodną miejscówkę (w każdym razie nie wyklucza takiej możliwości), na ostatnią imprezę

nie zaprosił ani księdza, ani rabina, ani żadnego przedstawiciela jednej z ponad stu zarejestrowanych w Polsce grup wyznaniowych.

Nieobdarzeni łaską wiary rodzice Maksymiliana nie ochrzczili syna. Doszli do wniosku, że świat się od tego nie zawali, a oni oszczędzą parę groszy na księdzu i wódce dla rodziców chrzestnych. Gdy Maksymilian zapytał ich później, dlaczego go nie ochrzczili, przemilczeli temat finansów. Opowiedzieli mu za to o pięknej, polskiej, rodzimej, naszej, tutejszej wielowiekowej tradycji poszanowania swobód wyznaniowych, którą oni, rodzice Maksymiliana, starali się pielęgnować w imię tolerancji i miłości do tej ziemi, historii, ojczyzny, do syna wreszcie. Chcieli, jak wyseplenił Romuald, by kiedy dorośnie, sam zdecydował, do którego kościoła ma zamiar należeć. Maksymilian nigdy nie zdecydował.

Bał się. No bo jeżeli na przykład świat został stworzony nie przez katolickiego Boga, a przez Boga baptystów albo Boga, w którego wierzą Żydzi? Maksymilianowi wydawało się, że po śmierci łatwiej dogada się z Bogiem jako wolny strzelec, niż gdyby startował do pogawędki ze straconej pozycji poganina.

Maksymilian nie wykluczał również, że Bóg, podobnie jak miłość, to jedynie wymysł, dzięki któremu łatwiej opchnąć wyrzutnie rakiet, świece, wino i literaturę. Może świat rzeczywiście powstał przypadkiem, a może nawet, jak uważają wyznawcy dżinizmu, nigdy nie powstał i nigdy się nie skończy.

Dżinizm byłby naprawdę pociągający, jego wyznawcy mają przecież zajebiste ciuszki i rewelacyjne żarcie. Chętnie by do nich przystał, gdyby nie reinkarnacja, długodystansowa karna rundka przez kolejne wcielenia. Katolik odwiedzi parę razy konfesjonał i ma piekło z głowy, gdy tymczasem dżinista, który nie może liczyć na boskie miłosierdzie, błąka się po świecie w cokolwiek przydługim łańcuszku wcieleń.

Pięć zasad i nie ma zmiłuj. Nie przestrzegasz, w następnym akcie istnienia jesteś tuńczykiem. Pięć zasad, wszystkie na a, na czele z ahimsą i aparigrahą. Aparigrahę, czyli powstrzymywanie się od posiadania zbędnych rzeczy, jakoś by sprytnie obszedł. W końcu nawet kupienie siódmego otwieracza do konserw made in Italy da się wytłumaczyć: „Był niezbędny, bym zrozumiał nędzę swojej konsumpcyjnej egzystencji”. Ale ahimsa? Jak można przeżyć życie, nie zadając cierpienia istotom czującym?

Cztery lata temu, kiedy jechał z Zofią i żoną nad morze, rozjechał dzikiego królika. Królik nie oddał swojego życia tanio – Maksymilian musiał zapłacić tysiąc osiemset złotych za wymianę zderzaka. Ale czymże jest tysiąc osiemset złotych w obliczu groźby zostania kotem? Jeśli istnieje coś takiego jak reinkarnacja, niebawem o wejściu w skórę Szwarcwalda Maksymilian będzie mógł jedynie pomarzyć. Znając swoje szczęście, wcieli się w komarzycę uzależnioną od krwi grupy 0Rh-, poleci na osiedle Lazur III, zapoluje na zadek eksmałżonki i padnie trupem z ręki uzbrojonej w gazetę telewizyjną.

W nagrodę za śmierć na polu chwały być może awansuje w hierarchii bytów i zostanie kanarkiem w holenderskim burdelu. Spędzi dziesięć lat w klatce, śpiewając okrutnemu, lecz wrażliwemu na muzykę alfonsowi, który pod wpływem jego tęsknych treli przeżyje wewnętrzną przemianę, puści swoje kurwy samopas, a Maksymilian znów awansuje i zostanie chartem. Przez kolejne dziesięć lat będzie biegać z wywalonym jęzorem, da zarobić paru szczęściarzom na wyścigach, a w nagrodę być może znów skoczy o oczko wyżej. W ten sposób, jeśli dobrze pójdzie, za kilka tysięcy lat odzyska mowę, sny erotyczne i będzie mógł się porządnie zaciągnąć gitanesem. Wtedy spróbuje żyć zgodnie z ahimsą, zostanie lewitującym ascetą, a po pięciu dekadach spędzonych na medytacjach w jaskini osiągnie mokszę, czyli dżinijską nirwanę, rozplywając się wreszcie w miarę komfortowym nieistnieniu. Stanowczo za dużo zachodu jak na to, żeby po prostu zniknąć. Ateiści lepiej to sobie obmyślili.

Maksymilian leży w trumnie. Grabarze wrócili właśnie z drugą flaszką. Matka! Zapomniał o matce. Zaplanował każdy szczegół, orkiestrę, przemówienie inkrustowane cytatami z *Człowieka bez właściwości*, *Ćwiczeń duchowych* św. Ignacego Loyoli i *Pamiętników Tatusia Muminka*. W końcu jest efekciarzem, więc zażyczył sobie, by wyryć na wieku jego trumny pierwsze zdanie z *Daodejing*:

道可道非常道

czyli: „Dao ke dao fei chang dao” („Droga, którą da się opisać, nie jest prawdziwą drogą”). Pomyślał o testamencie, cytrynach i tulipanach, ale zapomniał o matce. Na następnej sesji musi o tym koniecznie porozmawiać ze swoim psychoterapeutą.

Rozdział piąty

Koniecznienie porozmawiaj ze swoim psychoterapeutą. Niech ci przepisze lepsze pigułki – powiedziała żona Maksymiliana. – Przecież nie możesz co dwa tygodnie lądować w szpitalu.

– Mój psychoterapeuta nie jest od przepisywania pigułek, tylko od psychoterapii. Pigułki przepisuje psychiatra – zauważył Maksymilian.

– Widzę, że mimo osłabienia jesteś w formie. Nawet teraz potrafisz się wyklócać.

– Nie jestem w formie. I wcale się nie wyklócam.

– Wyklócasz się.

– Nie wyklócam.

– Wyklócasz.

– Nie.

– Tak. No przecież chyba sam słyszysz, że się wyklócasz. Cały czas stajesz okoniem jak uparty osioł. Wystarczy, że powiem tak, ty mówisz nie.

– Okoń? Osioł? Marzysz o pracy w zoo? Powinnaś wcześniej włączać kierunkowskaz. Włączanie go, kiedy jesteś na pasie, który zmieniłaś pięć minut temu, jest bez sensu.

– Nie pouczaj mnie. Tysiąc razy mówiliśmy o tym, że nie rozmawiamy o prowadzeniu w czasie prowadzenia, tylko po prowadzeniu. Wiesz, że to niebezpieczne, i wiesz, jak to na mnie działa.

Wiedział, ale nie mógł się powstrzymać. Zawsze, kiedy to ona siedziała za kierownicą, Maksymilian chciał zamknąć oczy i otworzyć je dopiero, gdy dojadą, ale nigdy mu się to nie udało. Wierzył, że gdy patrzy, ma większą kontrolę nad rzeczywistością i że dzięki temu uchroni ich przed nagłym *tête-à-tête* z tirem albo z drzewem. Jak powszechnie wiadomo, drzewa są nieprzewidywalne zupełnie jak dzikie króliki i w każdej chwili mogą zniemacka wyskoczyć na środek jezdni, zwłaszcza kiedy mknie po niej żona Maksymiliana, wyciągając na prostej w niezabudowanym nawet siedemdziesiąt na godzinę.

Tym razem dęby i kasztanowce, które mijali w drodze do domu, zachowywały się jak należy, jedynie od czasu do czasu pochylając się groźnie nad szosą. Żonie Maksymiliana wydawało się, że robią przy tym złośliwe „buuu!”, jakby chciały ją przestraszyć. Byłam zaledwie chwilę w psychiatryku, ale to wystarczyło, żeby się zarazić, pomyślała.

Maksymilian zapadł się w fotelu i patrzył przed siebie zupełnie rozluźniony. Nareszcie poczuł się bosko. Lekko i błogo. Zawdzięczał to ampułce lewomepromazyny, która zdążyła się już rozlać po najodleglejszych prowincjach jego ciała. Wstrzyknęła mu ją w przedramię wysuszona pielęgniarka z karetki, którą na róg Miodowej i Długiej wezwali taksówkarze.

Lewomepromazyną wygładza się zazwyczaj wzburzone fale mózgowe schizofreników, ale sprawdza się też znakomicie jako ambrozja dla tych, których dopadł atak lęku.

O 8.06, kiedy skończył z żoną telefoniczną pogawędkę o zdewastowanym śmietniku, i miał wreszcie zdecydować, czy pojechać przez miasto, czy może jednak Wisłostradą, Maksymilian poczuł, jak drętwieją mu usta. Był pewien, że słowo „umieram”, które padło w czasie rozmowy z żoną, nie jest najlepszym ostatnim słowem, jakie można wypowiedzieć przed śmiercią. Przyszły nieboszczyk postanowił krzyknąć coś wzniosłego, jak choćby: „Więcej światła!”, „*Amor vincit omnia*” albo przynajmniej „Legia pany!”, dlatego wyjrzał przez okno toyoty i odwrócił się w stronę taksówkarzy. Ostatkiem sił otworzył usta, by ofiarować trzem przedstawicielom ludzkości ostatnią frazę swojego życia, ale nieoczekiwanie zamarł w katatonicznym stuporze. Poczuł w głowie obezwładniającą pustkę. Nagle dotarło do niego, że nie może zlepić do kupy choćby dwóch najprostszych słów. Do akcji wkroczyły hormony, dzięki którym został odcięty dopływ paliwa do skołowanej głowy, i Maksymilian zemdłał.

– Przygrzało mu. Raz widziałem czarnego pudła, którego jakiś debil zostawił w aucie na upale, i wyglądał tak jak ten tutaj, tylko tamten pudel miał język na prawą stronę wywrócony, a nie na lewą – powiedział Kurdupel w wędkarskiej kamizelce.

Brzuchaty taksówkarz postanowił działać.

– Zadzwońcie po pogotowie, wyciągnijcie go z toyotki i rachuciachu pierwsza pomoc.

Kurdupel spojrział z wyrzutem na Brzuchatego.

– Ty jesteś większy, sam se go wyciągnij, ja się brzydzę tego wywalonego jężora. A jak sobie odgryzie, kiedy go będziemy wyciągali? Jeszcze zrobi nam proces.

– Nie robi, nie robi, pewno już dawno wykitował – powiedział Brzuchaty, po czym otworzył drzwi i wyciągnął Maksymiliana na chodnik. – Jest jakaś taka pozycja, kolankowo-jakaś tam, że się kładzie delikwenta w czasie wypadku, kurwa, nie pamiętam – sapnął pochylony nad Maksymilianem. – Ale mu wali z paszczy fajkami. – Brzuchaty wykrzywił się z obrzydzeniem, po czym zwrócił się do trzeciego taksówkarza: – Prawie tak jak tobie, Kręcioła. Dlatego ty mu zrobisz usta-usta – zarżał, dumny ze swojego pomysłu.

Kręcioła, który miał z nich trzech najbardziej wykręcony licznik, dzięki czemu brał za kurs niemal podwójną stawkę, nie zareagował.

– Za to ty masz słoniowe płuca, jak go nadmuchasz, to odleci – powiedział do Brzuchatego Kurdupel, jednocześnie tłumacząc dyspozytorce pogotowia, że facet, który leży nieprzytomny pod kościołem, wygląda jak czarny pudel, tylko że język ma wywrócony na drugą stronę. – No czego nie rozumiesz, kobieto? Na

lewą, nie na prawą.

– Jakby to była ta cycatka od pogody, to bym ją tak nadmuchał, że odleciałyby w siną dal, a ja za nią. Ale tego tu nie będę dmuchał. Niech go Kręcioła dmucha, on jest jakiś taki homo niewiadomo – powiedział Brzuchaty.

Kręcioła tylko wzruszył ramionami. Jednak po chwili coś go tknęło i postanowił udowodnić swoją męskość, więc z całej siły kopnął Brzuchatego w szerokie dupsko. Brzuchaty padł na Maksymiliana, ale Maksymilian ani drgnął. Podochocony pierwszym sukcesem Kręcioła rzucił się na Brzuchatego i zaczął go okładać pięściami po nerkach. Kurdupel chwycił Kręciołę za przepoconą koszulę, żeby go odciągnąć, ale potknął się o krawężnik i padł obok nich, zdzierając sobie łokcie.

Jeden z gapiów, którzy zebrali się wokół, zawołał strażników miejskich. Strażnicy miejscy byli nieopodal, bo akurat w sześciu szamotali się z dwumetrowym menelem, który chciał obsikać japońskich turystów i wyzywał ich od cholernych pachółków Wietkongu. Gdy tylko rzucili skutego lumpa na maskę peugeota, czterech z nich, naładowanych po uszy adrenaliną, ruszyło w stronę taksówkarzy.

Brzuchaty i Kręcioła stawili zacięty, acz krótkotrwały opór. Zanim strażnicy ściągnęli ich z Maksymiliana, pierwszy oberwał od Brzuchatego łokciem w nos, z którego natychmiast połała się krew, a drugi dostał dostał fangę od Kręcioły. Kręcioła celował akurat w lewe oko Brzuchatego, ale w trajektorię lotu jego pięści wdarło się krocze barczystego strażnika, który stanął nad Kręciołą, Brzuchatym i Maksymilianem, żeby ich rozdzielić. Wynik na korzyść straży miejskiej rozstrzygnął wychudzony rudzielec. Nie wdając się w niuanse, poczęstował Brzuchatego i Kręciołę solidną porcją gazu pieprzowego. Brzuchaty jęknął, a Kręcioła nazwał strażnika chujem zbolałym, więc dostał obfitą dokładkę.

Kiedy na miejscu zjawiono się pogotowie, lekko chwiejący się na nogach lekarz nie wiedział, kim zająć się najpierw.

– W zgłoszeniu mam jednego poszkodowanego – burknął z wyrzutem i zapalił papierosa, rozglądając się bezradnie po kameralnym Waterloo.

Strażnik, który dostał w nos, siedział z zakrwawioną chustką, opierając się plecami o toyotę Maksymiliana. Ten, który oberwał po jajach, wciąż skakał na piętach. Brzuchaty i Kręcioła płakali rzewnymi łzami, leżąc skuci na chodniku. Obok nich siedział Kurdupel, który powtarzał jednostajne „aua” i masował sobie obolały kark.

– Ci trzej napadli na tego, co leży z wywieszonym jęzorem – powiedział najwyższy stopniem strażnik.

– Chyba nie żyje – dorzucił Zbolałe Jaja, gdy lekarz zainteresował się, dlaczego strażnicy nie udzielili temu z jęzorem pierwszej pomocy.

– Nie wiedzieliśmy jak – wyjaśnił szef strażników.

Lekarz powiedział, że napisze o tym w specjalnym raporcie.

– A właściwie to nie – dodał, gdy strażnicy postraszyli go alkomatem. Ktoś w końcu musiał się zająć poszkodowanym z wywieszonym jęzorem.

– I miej tu człowieku dobre serce, i nieś pomoc – wystękał Brzuchaty. – Już nigdy nie dam się nabrać na takie prowokacje, nawet jeśli padnie przede mną cywatka od pogody.

Maksymilian odzyskał przytomność w karetce. Czuł potężny ból w okolicach mostka, więc kiedy uśmiechnięta pielęgniarka zapytała, jak się miewa, powiedział, że ma zawał. Elektrokardiogram mówił co innego, ale Maksymilian obstawał przy swoim. Trzęsąc się, opowiadał o zdrętwiałych ustach, rękach, nogach, włosach i paznokciach, więc lekarz, zaciągając się kolejnym papierosem, rzucił krótko:

– Lewomepromazyna.

Chwilę później, gdy pielęgniarka wstrzyknęła mu w prawe przedramię neuroleptyk, Maksymilian poczuł rozkosz.

– Dlaczego, skoro to się nazywa lewocośtam, wkłuła się pani w prawą rękę? – zapytał zalotnie.

– Ha, ha, ha – zaśmiała się rozkosznie pielęgniarka.

– Widzę, że pacjent odzyskuje poczucie humoru, więc właściwie możemy go już wyrzucić z karetki i nieść pomoc naprawdę potrzebującym – powiedział ze śmiertelną powagą lekarz. – Ha, ha, ha – dodał, mrugając do Maksymiliana.

– Ha, ha, ha – zawtórowała mu pielęgniarka.

– Ha, ha, ha – dołączył do nich kierowca karetki.

Po krótkiej przejażdżce przez rozpalone miasto, w czasie której pielęgniarka wyjaśniła mu, że ból w mostku to pamiątka po leżących na nim taksówkarzach, a nie żaden zawał, ani nawet załóżek zawału, Maksymilian trafił do psychiatryka przy Nowowiejskiej. Spędził tam dwie godziny, a gdy wychodził w towarzystwie poirytowanej żony, która musiała odwołać wizytę u kosmetyczki, pojechać śmierzdzącą taksówką po toyotę na róg Miodowej i Długiej, a potem przeciskać się przez korki na Nowowiejską, lekarka dyżurna wręczyła im na pożegnanie receptę opiewającą na pół kilograma benzodiazepin. Żona Maksymiliana na pożegnanie rzuciła pani doktor porozumiewawcze spojrzenie i uśmiechnęła się promiennie. Aż nieszczęsnej lekarce, która w końcu niejedno w życiu widziała, po plecach przeszły ciarki.

– Dzwoniłeś do pracy? – zapytała żona Maksymiliana, gdy dojeżdżali do osiedla Lazur III, oazy szczęścia, wytchnienia i hipotecznej miłości, obliczonej na piętnaście do trzydziestu lat (Maksymilian zarabiał całkiem nieźle, więc trwałość jego uczucia była wyliczona na całkiem znośne dwadzieścia lat, z których do spłacenia zostało mu jeszcze czternaście).

– Dzwoniłem – odpowiedział grzecznie Maksymilian. Gdyby nie

lewomepromazyna, po pytaniu żony umarłby z przerażenia.

– I co powiedzieli?
– Że tym razem naprawdę przegiąłem.
– Zawsze tak mówią. Przecież i tak cię nie wyleją.
– Wyleją. Powiedzieli mi to.
– Zawsze tak mówią, przecież przed chwilą to powiedziałam. Nie mogą cię wylać. Gdyby cię wylali, straciliby połowę klientów – powiedziała żona Maksymiliana, walcząc z pilotem do podziemnego garażu.

– Spróbuj wcisnąć lewy przycisk.
– Przecież wciskam.
– Kit wciskasz. Widzę, że wciskasz prawy.
– Daj mi spokój. Chyba bateria wysiadła. A właściwie, to dlaczego powiedziałaś, że zdewastowałeś ten śmietnik, do cholery? – zapytała, gdy wreszcie brama podniosła się z chrzęstem.

– A co miałem powiedzieć?
– Że go nie zdewastowałeś.
– Nie zdewastowałem go.
– No więc po co powiedziałaś, że zdewastowałeś?
– Bo chciałaś usłyszeć, że nie zdewastowałem. Masz papierosy? Moje musiały mi wypaść w karetkę.

– Nie zmieniaj tematu.
– Nie zmieniam. Po prostu strasznie mi się chce palić. A tobie nie?
– Przecież nie palę. O ile sobie przypominam, nigdy nie paliłam.
– Nic straconego. Zawsze możesz zacząć.
– Czy ty sobie wyobrażasz, co ja musiałam przejść z tą kobietą z administracji? Broniałam cię przed nią jak lwica.

– Jestem bezgranicznie wzruszony i wdzięczny, dziękuję.
– Wiesz, że ona zaczęła węszyć po całym mieszkaniu? I zapytała, czy to prawda, że chodzisz ze srebrnym Waltherem po domu. Niezłe, co?

– Niezłe. Powiedziałbym nawet, że wstrząsające – zgodził się Maksymilian, niezdarnie gramoląc się z samochodu.

Gdy zatrzasnął drzwiczki, ziemia zakołysała się pod nim jak wzburzony ocean.

– Nie dam rady wdrapać się na czwarte piętro! – zaskamlał żałośnie i spojrział wyczekująco na żonę.

– Z przyjemnością bym cię wniosła, ale nie dalej jak wczoraj nadwyrężyłam sobie lewą łydkę.

– Nadwyrężyłam! Naucz się wreszcie, że nie mogę znieść tego twojego nadwyrężyć!

– Nadwyrężyłam? Czy ty nie słyszysz, jak to okropnie brzmi? –

odpowiedziała naburmuszona.

Gdy weszli na górę, nie odezwali się już do siebie ani słowem. Żona Maksymiliana rozłożyła się przed telewizorem w salonie, a Maksymilian postanowił się zdrzemnąć. Wcześniej, ostatkiem sił, zaparzył żonie kawę, do której podał dietetyczne owsiane herbatniki, przyprószone wiórkami kokosowymi. Zapalił nawet jej ulubione świece aromatyczne o zapachu waniliowym, by wyrazić wdzięczność za odebranie go z Nowowiejskiej. Ale żona wciąż nie mogła mu darować uwagi na temat nadwyreżania, udała więc, że bez reszty pochłonął ją program kulinarny Marthy Stewart.

Zanim Maksymilian zajął miejscówkę w sypialni, stoczył krótką bitwę ze Szwarwaldem, który nie chciał zejść z jego poduszki. Sierściuch ustąpił, kiedy Maksymilian cisnął w niego przepoconą marynarką. Maksymilian przeszukał szafkę nocną, w której trzymał papierosy na czarną godzinę, ale znalazł tylko bibułki i cztery zapalniczki na czarną godzinę. Nie zdejmując koszuli i spodni, rzucił się na łóżko i momentalnie zasnął.

Śniło mu się, że jest na rogu Długiej i Miodowej. Żegna się z Zofią czułym: „Parszywego dnia!”, rusza z piskiem opon spod kościoła i przemyka przez miasto jak Bullitt, śmigając między samochodami. Zamiast avensisa ma zachrypnięte od potężnej mocy bmw 6 w kolorze śliwki węgierki. Pod firmę zajżdża siedem minut przed czasem. Wysiada z samochodu i włącza pilota. W tej samej chwili willa, w której zainstalowała się jego firma, wylatuje w powietrze.

Maksymilian czuje bezmiar szczęścia. Nareszcie jest wolny. Jedzie na lotnisko. Nie musi kupować biletu. Nic nie musi. Ma bilet, ma pieniądze, ma wszystko. Pielęgniarka z karetki jest teraz stewardesą w granatowym mundurku i białych podkolanówkach. Bierze go pod rękę i prowadzi do samolotu. Wyładniała jakoś.

– Może się pobzykamy? – proponuje Maksymilian, kiedy siadają obok siebie w wygodnych fotelach klasy biznes.

– Dopiero w Kobe, teraz mam jeszcze kutasa – odpowiada stewardesa, kładąc głowę na ramieniu Maksymiliana.

– Po co ci on? – dopytuje się Maksymilian, patrząc na jej drżące kolana.

– Łatwiej się odlać, kochany – szepce mu prosto do ucha stewardesa.

No tak, to zrozumiałe, myśli Maksymilian.

– Ale właściwie dlaczego lecimy do Kobe? Tylko tam możesz pozbyć się kutasa? – pyta.

– Już niebawem się przekonasz – mówi rozpromieniona stewardesa, podając mu cygaro wielkości dorodnej cukinii, po czym dodaje: – Ja też wolę rozmawiać z trupami.

– No i nie dowiem się, dlaczego Kobe – zamruczał pod nosem Maksymilian, siadając na brzegu łóżka. Za oknem było już zupełnie ciemno. Żona Maksymiliana,

która tymczasem zdążyła się przenieść z salonu do sypialni, chrapała w najlepsze. Telewizor ryczał. Zofia dusiła koleżankę – na to przynajmniej wskazywały odgłosy z jej pokoju.

– Zaraz cię zastrzelę, złośliwy skurwielu – powiedział Maksymilian do Szwarcwalda, który grzał się w stopach żony Maksymiliana, łypiąc na niego z pogardą. Ale pod poduszką nie było srebrnego Walthera. Nie było go też w szufladzie biurka, gdzie zazwyczaj był, kiedy go nie było pod poduszką. Maksymilian poczuł bezgraniczną rozpacz.

Rozdział szósty

Czy pańska żona miała jakichś wrogów?

– No pewnie – odpowiedział Maksymilian. – Każdy ma jakichś wrogów. Pan nie ma?

– Niech pan wymieni.

– Co mam wymienić? – zapytał Maksymilian.

– Tych wrogów.

– Czyich wrogów?

– Żony wrogów.

– Człowiek, który nie lubi i nie umie przebaczać, jest największym wrogiem samego siebie. Wie pan, kto to powiedział?

– Wiem, że nic nie wiem. Stawiam, że to powiedział ten sam, co powiedział, że wie, że nic nie wie. Trafiłem?

– Nie.

– No to nie wiem.

– Prymas Wyszyński.

– Aha. Fantastycznie. Sugeruje pan, że pańska żona się zabiła?

– Dlaczego?

– No bo powiedział pan, że największym wrogiem samego siebie jest on sam.

– Jeśli nie umie przebaczać. A mojej żonie przychodziło to z trudem – odpowiedział Maksymilian.

– No dobrze, czy miała innych wrogów?

– Pewnie, że tak. Rak szyjki macicy, nadciśnienie, przepasażowana choroba Creutzfeldta-Jacoba, dur brzuszny...

– Dosyć! Niech się pan przestanie wygłupiać. Poważnie pytam.

– Staram się być poważny, naprawdę.

– Ktoś jej groził?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Nie sędzę.

– Często się kłóciliście?

– Czy co najmniej trzy razy dziennie to często?

– Czyli co najmniej trzy razy dziennie?

– Co najmniej.

– W czasie tych kłótni dochodziło do rękoczynów?

– Aż tak źle to nie było, nigdy mnie nie uderzyła.

– Chyba coś mają – powiedział krępy rozczochaniec, który z wigorem otworzył drzwi do zastawionego segregatorami pokoju. – Chodź, rzuć okiem, Halik.

– Zaraz wracam. W międzyczasie niech pan sobie przypomni te rękoczyny.

To bardzo ważne – powiedział Halik, jakby to rzeczywiście było bardzo ważne i zniknął z rozczochańcem za brązowymi, lekko skrzypiącymi drzwiami.

Maksymilian zaczął się rozglądać. Na biurku stały trzy brudne kubki. Ten, z którego pił mocno przesłodzoną kawę, uśmiechał się do Maksymiliana szeroko i zapraszał do zwiedzania Warmii i Mazur. Wcale nie są tacy biedni, pomyślał Maksymilian, patrząc na nowe komputery Della.

– Od dawna w policji? – zapytał siedzącego przy drzwiach gówniarza w skórzanej czarnej kurtce, który rzetelnie udawał, że jest zapracowany, ale, jak przypuszczał Maksymilian, zapewne grał w pasjansa albo oglądał dupy w internecie. Gówniarz nie odpowiedział. Serpico z Sochaczewa, pomyślał o nim Maksymilian.

Na uginającym się od sterty papierów biurku gówniarza co chwila pipczał telefon. Serpico miał to w dupie. Był wyluzowany, był twardy, był supermęski, był szaleńczo ubawiony tym, co widział przed sobą. Był też, niestety, niedomyty, co starał się zamaskować wyjątkowo nieudaną podróbką pierwszego Hugo Bossa. Służba nie druźba. Maksymilian czuł tę służbę nie druźbę z co najmniej pięciu metrów, jakie dzieliły go od Serpica.

– I co, rzeczywiście coś mają? – zapytał Serpico, gdy Halik wszedł do pokoju z urwaną klamką w dłoni.

– Pieprzona tandeta. Coś tam mają – odpowiedział Halik. – Refleks! – krzyknął i rzucił klamkę w stronę gówniarza. Gówniarz nie złapał, więc oberwał w szczękę. – Zajmij się tym. Zawezwij ciecia albo sam to napraw. Chociaż nie. Lepiej zawezwij ciecia.

– Przecież nie mamy ciecia – odpowiedział Serpico.

– No to zadzwoń po antyterrorystów.

– Mają coś? – zapytał Maksymilian.

Halik usiadł za biurkiem, założył ręce za głowę i zaczął oglądać sufit. Maksymilian razem z nim. Dokładnie nad głową Halika wisiał strzep złuszczonej białej farby. Sufit był spocony i pokryty żółtobrązowymi plamami.

– Największa z nich przypomina kształtem Mongolię. Był pan kiedyś w Mongolii? – zapytał Halik. Oficjalnie podinspektor Robert Neuman, jak przeczytał Maksymilian na wizytówce, którą zdążył już wymiętosić i zwinąć w rurkę.

– Nie, nie byłem.

– A lubi pan podróże?

– Do podróży mam stosunek raczej Kantowski.

– To znaczy?

– Nie podróżuję. Niechętnie ruszam się z miasta.

– Aha. A ja przez Mongolię zostałem policjantem.

– Jak to?

– Tak to. Chciałem zostać podróżnikiem, żeby się coś działo. Wie pan, akcja. Byli tacy dwaj pisarze, jak byłem dzieciakiem, przeczytałem ich książki, Giżyccy, Jerzy i Kamil, przypadkowa zbieżność nazwisk. Zna pan Giżyckich? Nie? No ale Tony’ego Halika pan kojarzy? No nieważne, Giżyccy jeździli po Mongolii i Afryce, pisali wspomnienia, jeden z nich był nawet kierowcą Rockefellera, niech sobie pan poczyta. Ale mi się akurat nie udało zostać podróżnikiem, więc wstąpiłem do policji, bo pomyślałem, że tutaj też się będzie działo. Adrenalina i tak dalej, rozumie pan. I teraz, zamiast pisać wspomnienia z podróży, wypisuję tysiące protokołów. Zeznania, skargi, wnioski, podania o premie i podwyżkę. Kurwa biurwa, pieprzona kurwa biurwa. Ale właściwie to może i dobrze – powiedział podinspektor Neuman. – Źle znoszę upały, wariuję od nich. A pan?

– Ja też. Niedawno byłem na pustyni Mojave w Kalifornii. Myślałem, że wykorkuję od gorąca.

– Przed chwilą pan powiedział, że nie lubi pan podróży, a teraz wyjeżdża pan z tą Kalifornią. Coś pan kręci.

– Nie kręcę. Po prostu miałem wizję. Wie pan, jak mistyk albo prorok. Widziałem pustynię Mojave. A wracając do tego, co pan powiedział wchodząc, macie coś?

– Mamy, mamy. I to całkiem sporo, tyle że w zupełnie innej sprawie. Co do pańskiej żony... No właśnie. Lał ją pan czy nie? Ja się przed panem otworzyłem jak ministrant przed księdzem prałatem, to niech mi się pan tu teraz ładnie odwdzięczy. Raz dwa i po bólu. Tylko bez tej mistyki, od mistyki to dostaję czkawki.

– Już mówiłem, że nie.

– Mówił pan, że żona pana nie biła, o ile dobrze pamiętam. A pan? Nigdy jej pan nie przyłoił?

– Nie.

– No dobrze, to jeszcze raz od początku, po kolei. Budzi się pan w piątek po całym przespanym dniu, żona śpi obok, telewizor gra, jest dwudziesta druga. Córka znajduje się w swoim pokoju. Co dalej?

– Nic. Tak jak mówiłem, od czasu do czasu wychodzę na balkon, żeby zapalić. Wracam do łóżka, gapię się w telewizor, próbuję czytać. Kładę się około czwartej, ale nie mogę zasnąć, więc wypijam litr herbaty z melisy i biorę xanax, zwykłą dawkę, czyli pół miligrama i gdzieś koło piątej zasypiam. Budzę się mniej więcej o pierwszej po południu, żony nie ma, więc myślę sobie, że poszła do kosmetyczki, bo dzień wcześniej, czyli w piątek, miała zaplanowaną wizytę, z której musiała zrezygnować, żeby odebrać mnie ze szpitala, ale kiedy o czwartej po południu wciąż jej nie ma, dzwonię. Włącza się poczta.

– A córka?

– Zofia i Aleksandra wstały też mniej więcej o pierwszej.

– Aleksandra to kto?

- Koleżanka córki.
- Nic nie zauważyły?
- A co miały zauważyć?
- Coś szczególnego.
- Nie.
- Coś zginęło?
- Nie, chyba nic. Aha, zniknął jej laptop.
- Spróbujemy namierzyć żonę, gdy włączy komórkę albo podepnie się do internetu. A poza laptopem?
- Nic – skłamał Maksymilian.
- Jakież drobiazgi, dokumenty, ubrania?
- Nie mam pojęcia. Próbowałem się zorientować, ale to niełatwe. Moja żona należy do kobiet, które wymieniają całą zawartość garderoby raz na pół roku. Nowy sezon, nowe ciuchy. Taki przymus.
- Sąsiedzi też nic nie widzieli?
- Zupełnie nic.
- A rodzina? Ktoś się odzywał?
- Teściowa. Też nic nie wie. Moi rodzice też nie.
- Żona miała kogoś na boku?
- Nigdy mi to nie przyszło do głowy. Nie wiem. Chyba nie.
- A polisę na życie?
- Tak.
- Na ile?
- Na dwieście tysięcy.
- To by było na tyle. Niech pan tu podpisze i jak coś będę wiedział, to się odezwę – powiedział podinspektor Neuman.

Maksymilian oderwał się od lepkiego krzesła i kiedy wstał, poczuł, że kołysze się pod nim podłoga. Porządnie zakręciło mu się w głowie, ale zdołał utrzymać pozycję pionową.

Z Mongolii spadła kropla wody i uderzyła go w lewy policzek. Maksymilian nadstawił prawy. Nadaremnie.

Rozdział szósty i pół

Prędej zabije cię mortadela niż pozbawiony zasad moralnych bandzior, który zapragnie twojego portfela i komórki. Tak przynajmniej wynika ze statystyk Komendy Głównej Policji.

Połowa rodaków Fryderyka Franciszka Chopina umiera wskutek chorób serca wywołanych paleniem, patologiczną niechęcią do sportu i obżeraniem się wysokotłuszczową paszą. To około dwieście tysięcy dusz rocznie. Kolejne sto wysyła na łono Abrahama rak. Ponad pięć i pół tysiąca rozstaje się z życiem za kierownicą (lub pod kołami). Rabusie uśmiercają jedynie sześćdziesięciu pechowców rocznie. To zaledwie jedna czwarta tych, którzy giną z rąk kochających mężów, ojców, ciotek i sióstr. Sześćdziesiąt ofiar bandziorów. Dla porównania, każdego roku pięćdziesięcioro Polaków skreśla szóstkę w lotto. Wielka przegrana i wielka wygrana są równie mało prawdopodobne. Szansa na to, że ktoś cię zadźga albo że zostaniesz milionerem z przypadku, wynosi jeden do mniej więcej czternastu milionów.

Maksymilian był zdumiony, a w każdym razie udał zdumienie, kiedy dowiedział się, ilu ludzi przepada bez śladu. Podinspektor Neuman pochwalił się, że policja każdego roku odnajduje aż osiemdziesiąt procent zaginionych. Jak się okazało, osiemdziesiąt procent z dwudziestu tysięcy. A co z pozostałymi czterema tysiącami? Podinspektor Neuman, który też najchętniej zniknąłby ze swojego życia, żeby rozpocząć prawdziwą przygodę gdzieś na mongolskim stepie, bezradnie rozłożył ręce.

Wśród tych dwudziestu tysięcy są dzieciaki, które dają nogę, żeby uwolnić się od opresyjnego systemu edukacji, zawiedzionych miłości, trądziku i szeroko pojętego bólu istnienia. Ich starzy uciekają przed uciekającym czasem. Niektórzy idą na wódkę do Kogutka na Rakowieckiej, a budzą się trzy dni później pod Muzeum Kupiectwa w Świdnicy. Siedemdziesięciolatekowie z demencją wychodzą do sklepu po kapustę kiszoną i dziesięć deko salcesonu, ale na ulicy dziewczynka z ulotkami wręcza im świstek, z którego niezbitnie wynika, że są argonautami i powinni czym prędzej wyruszyć po Złote Runo, więc wskakują na statek, płyną do Tracji, lecz trafiają do starotestamentowego Szeolu, gdzie czekają na sami nie pamiętają już co.

Są też inne ofiary. Ogarnięte szalem kupowania *fashion victims*, płci zarówno żeńskiej, jak i męskiej, dowiadują się o fantastycznej wyprzedaży kolekcji Alberty Ferretti w berlińskim KaDeWe. Szał kupowania to szal kupowania, wie o tym każdy, kto choć raz za cenę pary butów kupił trzy pary plus pasta gratis, więc w tym szale kupowania nieszczęsne *fashion victims* zapominają dać komukolwiek cynk, że przez najbliższe cztery dni będą zajęte przymierzaniem nieprawdopodobnie korzystnych cenowo outfitów i polowaniem na pastę do butów

gratis, więc podinspektor Neuman, zamiast szukać odpowiednich przymiotników, dzięki którym opisałby jak nikt przed nim kolor nieba nad Mongolią, wypełnia kolejne zgłoszenia. Cholerni ludzie znikają jak na złość, na szczęście zazwyczaj się odnajdują i w ten sposób poprawiają policyjne statystyki.

Ale nie wszyscy znikają na własne życzenie.

I nie wszyscy wracają.

Rozdział siódmy

Kiedy Maksymilian ssie lewy kciuk, swój lewy kciuk (ssie go, bo jego psychoterapeuta, do czego parę miesięcy temu przyznał się Maksymilian, polecił mu, żeby ssiał kciuk, kiedy nie może zasnąć, więc Maksymilian ssie, choć oficjalnie wyśmiał pomysł psychoterapeuty przed znajomymi i rodziną, ale kiedy od kilku lat walczysz z bezsennością, jesteś w stanie wypróbować każdy trik), więc kiedy Maksymilian ssie lewy kciuk, Szwarzwald oblizuje sobie łapę, jakże są sobie bliscy w tym ułamku wieczności, Maksymilian ssie, Szwarzwald liże, jakże bliskie są sobie Zosia i jej koleżanka Aleksandra, które śpią przytulone mocno do siebie w rozkopanej pościeli, Zosia trzyma lewą nogę pomiędzy nogami Aleksandry, co trochę niepokoi żonę Maksymiliana, bo jednak wolałyby, żeby Zosia miała w przyszłości normalną rodzinę, ale z drugiej strony może to dobrze, że to Aleksandra, a nie Aleksander, z tej bliskości przynajmniej na razie nie będzie przykrych niespodzianek, w końcu Zosia od roku jest już kobietą, więc kiedy Maksymilian ssie kciuk, Szwarzwald oblizuje sobie łapę, a Zosia obmacuje przez sen koleżankę, żona Maksymiliana jak zwykle rano jest zakręcona jak chiński termos i próbuje się odkręcić, żeby przetrwać sobotę, na pohybel wszystkiemu, cóż to za dziwaczne, ale jakżeż oryginalne wyrażenie to na pohybel, powinna częściej mówić na pohybel.

Sobota to najgorszy dzień tygodnia. W sobotę Maksymilian nie wychodzi do pracy, a Zofia do szkoły. Niedziela nie jest już taka straszna, bo w niedzielę przynajmniej można się cieszyć perspektywą nadchodzącego poniedziałku.

W sobotę trzeba jak najwcześniej wyrwać się z domu. Tak więc szybka kawa, jeszcze szybszy prysznic, no i zęby. Ale tu już bez pośpiechu. Dwie minuty na górną szczękę, trzy minuty na żuchwę. Ludzie zazwyczaj nie zdają sobie sprawy, że zębom w żuchwie należy poświęcić więcej czasu, bo przecież siła grawitacji sprawia, że bakterie bardziej zajadłe atakują dolną szesnastkę. Najpierw ruchy posuwiste, potem okrężne. Najpierw szczęka, potem żuchwa, potem język, potem płyn do płukania ust, minuta. Po minucie głowa do tyłu, ygryul, ygryul, ygryul, pięć sekund, gardło, wypluć. Są efekty! Otworzyć szeroko usta i ucieszyć się na widok olśniewających białą, równych, zdrowych zębów. Gdyby jeszcze nie były tak ściśliwe, mogłaby używać nitek dentystycznych.

Żona Maksymiliana wyjątkowo wkłada bawełnianą bieliznę, czarne majtki tanga i biały biustonosz. Ma ochotę na sukienkę w czerwone drobne groszki, ale wciska się w dżinsy z lycrą, koszulkę polo i pantofelki na płaskim obcasie. W końcu ma do przejścia prawie dwa kilometry. No tak, prawie dwa kilometry ma do przejścia. Ale jest zakręcona! Ściąga pantofelki i wkłada łososiowe pumy. Duża torba, laptop, portfel i może jeszcze parasolka na wszelki wypadek. Pogodynka o silikonowych piersiach powiedziała wczoraj, że nie wyklucza przelotnych

opadów. Piersi żony Maksymiliana, choć nie tak duże, mimo upływu czasu i wykarmionej córki wciąż wyglądają ponętnie. Torba z barwionej na błękit skóry jest ciężka jak cholera. Może jednak samochód? Odpada, bo przecież umówili się z rodzicami Aleksandry, że Maksymilian odwiezie ich córkę wczesnym popołudniem. Ale to nawet dobrze się składa – pospaceruje, cera się dotleni, może się delikatnie opali...

Wciska guzik i czeka na windę. Ale jest zakręcona! Przecież windę naprawią dopiero w poniedziałek. Na klatce schodowej unosi się zapach przypiekanego bekonu, pomieszany z zapachem przypalonego mleka. Mięsożercy walczą z wegetarianami o olfaktoryczny prymat. Że im się tak chce od rana babrać w kuchni, myśli żona Maksymiliana, upinając włosy w kucyk. A wszystko po to, żeby zacząć się klócić już przy śniadaniu.

Podwórko wygląda na wymarłe. Jedyne żywe istoty w zasięgu wzroku to wyskakujące ponad powierzchnię wody piranie. Nie powinna słuchać tych bredni, którymi karmi ją Maksymilian. To niemożliwe, żeby nianie planowały wpuszczenie piranii do osiedlowego oczka wodnego i żeby przez te brednie miała takie halucynacje. Na szczęście, na ich szczęście, nianie mają dziś wolne.

Ochroniarze najwyraźniej też. W stróżówce przy bramie pusto, choć oko wykol albo jak makiem zasiał. Mogłaby teraz oczyścić swoje mieszkanie z dóbr wszelakich, wynieść śpiącego męża, córkę, jej koleżankę i kota, i nikt by się nie zorientował. Cholerna pani Magda z administracji, czy tam Marta, pies z nią tańczył, ma jeszcze czelność narzekać na nieposortowane śmieci. Zadzzwoni do niej w poniedziałek i powie, aż pani Magdzie, czy tam Marcie, nigdy tego nie zapamięta, w piąty pójdzie.

Żona Maksymiliana rusza chodnikiem wzdłuż niekończących się osiedlowych ogrodzeń. Jaka piękna pogoda! Aż chce się żyć! Ile słońca! Co za powietrze! Jakże ptaki cudnie szczebiocą! Przez chwilę myśli nawet, że szkoda marnować pół dnia na zaległą wizytę u kosmetyczki, ale po chwili myśli, że to nie do pomyślenia, by nie poświęcić pół dnia na zaległą wizytę u kosmetyczki, bo przecież w taki dzień jak ten, w takim słońcu, a dokładniej rzecz ujmując, w takim oświetleniu, widać każdą niedoskonałość skóry jak na dłoni. A w końcu nie jest już smarkulą, żeby móc sobie pozwolić na opieszałość względem własnej cery, która pragnie kojącego okładu z alg jak trawa dżdżu. To chyba jednak jak kania, kania dżdżu pragnie, wyczekuje, czeka, a nie trawa.

Nie mają nawigacji? Jak w dzisiejszych czasach można nie mieć nawigacji, kiedy się człowiek wybiera za granicę?, myśli żona Maksymiliana, kiedy z sunącego powoli obok niej grafitowego forda mondeo wygląda uśmiechnięty blondyn i woła:

– *Do you speak English? Could you help me find the way to the, sorry, Ggggde, Ggggdegdoodee street, o shit, could you, please?*

Żona Maksymiliana czuje dreszcz przebiegający po plecach, bo przypomina sobie opowieści z dzieciństwa o czarnej wołdze, która porywa dzieci, ale w końcu to nie jest czarna wołga, tylko grafitowy ford mondeo, a poza tym czarna wołga jeździła po zmroku, a teraz jest samo południe, a poza tym, a poza tym, a właśnie, że udowodni obcokrajowcom bez nawigacji, że Polki są serdeczne, miłe, fajne, a do tego jeszcze znają języki obce. Podchodzi więc do blondyna, który siedzi z mapą w rękę obok kierowcy i mówi:

– *Hi, what street? Oh, Grzegorzewskiej, I see, hmm... It's difficult to explain... Hmm...*

Języki zna. Angielski prawie nieźle, francuski nieźle, ale z czytaniem map nigdy nie szło jej najlepiej. W ogóle jej nie szło. Kiedy podnosi głowę znad mapy, widzi przed sobą wodę termalną w aerozolu, którą rozpyła jej tuż przed nosem uśmiechnięty blondyn. Ależ nie trzeba, właśnie idę do kosmetyczki..., myśli. Jak to powiedzieć po angielsku? To ostatnia myśl, jaka przychodzi jej do głowy, bo nagle czuje, że coś dziwnego dzieje się z jej nogami, które, no sama nie wie, jakoś tak...

I nagle zapada się w miękką i obezwładniającą ciemność.

Blondyn chwyta żonę Maksymiliana i przyciąga do siebie, a przez tylne drzwi wyskakuje żyłasty osiłek w garniturze, który wpycha ją na siedzenie.

– Daj mi jej torbę, sprawdzę, czy to na pewno ona – mówi blondyn. Ruszają powoli w stronę centrum. Wszystko się zgadza. Przejeżdżają przez miasto i docierają na pierwszy leśny parking, gdzie czeka na nich ambulans na holenderskich numerach, do którego osiłek wraz z blondynem przenoszą żonę Maksymiliana.

Od teraz żona Maksymiliana podłączona jest do kroplówki, ma na twarzy maskę tlenową, ma paszport na nazwisko Kossuth, Teresa Kossuth, ma wrodzoną wadę serca i ma być przewieziona do Amsterdamu, by wstawiono jej nowe, zdrowe serce.

Blondyn to Jeroen de Bakker, teraz w przebraniu doktora, doświadczony spec od wyszukiwania dawców narządów, krwi, szpiku i tak dalej. De Bakker zostaje w ambulansie i zapala papierosa, osiłek wraca do mondeo, ruszają. Teresa Kossuth za kilkanaście godzin umrze, bo przeszczep się nie przyjmie. Jej serce znajdzie za to odpowiednie miejsce w klatce piersiowej śmiertelnie chorej prawniczki, która zapłaciła sto tysięcy euro za zdrową polską pompę.

Rozdział ósmy

Myślisz, że to mało prawdopodobne? – zapytał Maksymilian, nalewając Romualdowi herbaty imbirowej. Romuald wzruszył ramionami.

– Prawdopodobne, chociaż mało – odpowiedział rezolutnie. – Równie dobrze zamiast do kliniki mogłaby trafić do holenderskiego burdelu.

– Do burdelu? Do burdelu nikt nie porywa prawie czterdziestoletnich kobiet z Polski – odpowiedział Maksymilian. Własna wersja o porwaniu żony przez holenderskich handlarzy narządami bardziej mu się podobała.

– A poza tym pierwsze słyszę, żeby porywacze usypiali swoje ofiary wodą termalną – powiedział Romuald i porządnie siorbnął.

– To nie była woda termalna. Jej się wydawało, że to woda termalna, bo szła do kosmetyczki, która ją zawsze opryskuje wodą termalną, ale tak naprawdę to nie była woda termalna, tylko usypiacz w spreju, taki eter.

– Pierwsze słyszę o eterze w spreju. Jaki eter? Jakie porwanie? Na moje oko to ona poznała w internecie jakiegoś lowelasa i po prostu dała nogę, koniec, kropka. Zawsze wiedziałem, że któregoś dnia da nogę.

– Skoro zawsze wiedziałeś, to dlaczego wcześniej nie dałeś mi znać? Oszczędziłbym czternaście lat życia.

– Srata-tata. Mogłeś trafić gorzej. A może miała kogoś na boku od niepamiętnych czasów, a ty nawet tego nie zauważyłeś? Ale jak mogłeś cokolwiek zauważyć, skoro nie widzisz świata poza własnym pępkiem?

– Myślisz, że spotykała się z Filipem Holzgraberem? No tak, to możliwe, pamiętasz, jak puściła do niego oko na moim pogrzebie?

– Co takiego?

– Nic, nic, coś mi się przypomniało, nieważne.

Nieodparta niechęć, jaką Maksymilian żywił do ojca, była zbudowana na solidnych fundamentach. Za kamień węgielny posłużyło imię. Maksymilian. Co trzeba mieć w głowie, żeby tak sponiewierać własnego potomka? Oczywiście zupełnie bezinteresowną chęć zemsty. Jeśli twoi rodzice nazwali cię Romualdem, obiecujesz sobie, że gdy tylko urodzi ci się syn, poczujesz słodki smak vendetty i zrobisz swoje. Bo przecież doskonale wiesz, że kiedy gówniarz trafi w szpony edukacji, Piotrki i Krzyśki, przygłupy ze szkolnej ławy, zamienią jego życie w Koszmar z Ulicy Wiązów.

I tak, z powodu zemsty Romualda, Maksymilian już jako siedmiolatek został uroczystie ochrzczony przez kolegów Maksysrylianem. A kiedy podpadał bardziej niż zwykle, na przykład zgarniając najlepszą ocenę za wypracowanie o walorach epistolograficznych królowej Marysieńki, dostawał ksywkę Maksyfilian. Maksysryliany i Maksyfiliany brzmiały i tak o niebo lepiej od Maksia, którym pieścił go sadystycznie ojciec. Maks, Maksio, Maksiu, Maksiuniu, Maksik, rzyg.

W czwartej klasie w obecności szczerzącego białe kły Winnetou, którego plakat Maksymilian powiesił sobie nad łóżkiem, przysiągł na siedmioklaserową kolekcję znaczków, że gdy przyjdzie jego kolej, srogo się zemści. Kilkanaście lat później wybrał właściwe imię. Gdy żona Maksymiliana, zanim została jego żoną, po wyjściu od lekarza oznajmiła rozpromieniona: „A widzisz, nie mówiłam? Będziemy mieli dziecko”, poczuł słodki smak vendetty. Zanim jednak wykonał wyrok i nazaczył potomka piętnem, zadzwonił do ojca, żeby zapytać go, jak Romuald dałby Maksymilianowi na imię, gdyby miał drugą szansę. Ojciec, miłośnik sentencji ze ściennego kalendarza, odpowiedział, że życie nie oferuje drugich szans, i z niecierpliwością trzasnęła słuchawką, bo w telewizji leciał akurat mecz Polska – Anglia.

Ale kiedy po USG okazało się, że to nie będzie syn, Maksymilian pomyślał, że daruje sobie vendettę. Jakoś nie przystoi odgrywać się za grzechy ojca na kobiecie.

– Będzie miała na imię Zosia – powiedziała żona Maksymiliana.

– Zofia – mruknął pod nosem Maksymilian, który od dziecka nienawidził zdrobnień.

Romuald przyjechał na osiedle Lazurowe III w niedzielę wieczorem, żeby odwiedzić Aleksandrę do domu. Miał ją odwiedzić Maksymilian, i to dzień wcześniej, ale Zofia poprosiła Aleksandrę, żeby została do niedzieli, bo nie chce być sama z ojcem, który obzera się xanaxem, no i ogólnie rżnie świra i nie wychodzi z sypialni. Z sypialni, w której Maksymilian zupełnie nieoczekiwanie awansował na drugą pozycję w hierarchii, choć oczywiście patrząc na to realistycznie, w dalszym ciągu był na ostatnim miejscu, więc pod tym względem nic się nie zmieniło.

– Dlaczego jeszcze nie zgłosiłeś zaginięcia swojej małżonki na policję? – zapytał Romuald. – Minęło ponad trzydzieści godzin od zniknięcia. Im szybciej zgłosisz, tym większe szanse, że się odnajdzie.

– A jak się okaże, że od wczoraj siedzi w kasynie i wygrywa dla nas trzeci milion? Wyszedłbym na panikarza.

– Jesteś panikarzem.

– Wyszedłbym na jeszcze większego panikarza.

– To niemożliwe, Maksiu.

– Romualduniu, umówiliśmy się...

– Dobra, dobra, daj już spokój. Mogę mówić Maksymilian, jeśli tak bardzo ci na tym zależy, ale dla mnie i tak zawsze będziesz Maksiem. Idź na policję, Maksymilianie. Czy ty słyszysz, jak głupio brzmi to Maksymilianie?

– Pójdę jutro. Nie, jutro nie mogę. W piątek znowu nie byłem w pracy, więc jutro najprawdopodobniej mnie wyleją, a jak mnie wyleją, to raczej nie będę miał ochoty ani sił składać wizyty policjantom. A poza tym, jeśli mnie jutro wyleją, we

wtorek będę miał mnóstwo czasu, żeby się wybrać na komisariat. Teraz nie ma co siać paniki. Zobaczysz, że do wtorku się znajdziesz. Przecież to niemożliwe, żeby ktoś tak po prostu zniknął. Ludzie tak po prostu nie znikają, to nie Brazylia albo Chiny. Gdyby chodziło o bmw 6, to bym zrozumiał, ale kto przy zdrowych zmysłach chciałby mi rąbnąć żonę?

Dziadkowie wciąż nie mieli dostępu do internetu, więc propozycja Romualda, żeby Zofia zamieszkała u nich na jakiś czas, nie znalazła uznania w jej oczach. Kiedy Romuald zabrał Aleksandrę, Zofia zamknęła się w swoim pokoju. Szwarcwald oglądał w salonie *Armageddon*, a Maksymilian oglądał *Armageddon* w sypialni. Od 1998 roku, kiedy powstał *Armageddon*, Bruce Willis zagrał w ponad trzydziestu filmach. Czego w tym czasie dokonał Maksymilian? To było dość nieprzyjemne pytanie. Żeby odwrócić uwagę od dość nieprzyjemnego pytania, Maksymilian pomyślał, że nie będzie się zniżał do poziomu kota, i włączył Discovery. Pokazywali akurat program o lotnisku Kansai, dokładnie tym, na którym wylądowałyby razem z pielęgniarką-stewardesą, gdyby dośnił wczorajszy sen.

– Kansai to największy na świecie port lotniczy zbudowany na sztucznej wyspie. Zaprojektował go Renzo Piano, który razem z sir Richardem Rogersem trzydzieści lat temu stworzył paryskie Centre Pompidou... – przynudzała narratorka.

Centre Pompidou to ja, pomyślał ze wzruszeniem Maksymilian, oglądając wyrzucone na zewnątrz budynku instalacje. Pomalowany na żółto układ nerwowy Maksymiliana drżał delikatnie na powierzchni skóry. Wystarczyło go teraz dotknąć, żeby przeszedł po nim prąd jak po puszcze Faradaya, czy jakoś tak.

Ku swojemu zdumieniu, nie czuł przygnębienia, ale też daleko mu było do spodziewanej ulgi. Bo choć od kilkunastu lat, przez 5224 dni marzył o chwili, w której rozstanie się wreszcie z żoną, i choć wyobrażał sobie, że kiedy ta chwila w końcu nastanie, poczuje się naprawdę wolny, to gdy w końcu ta chwila nastąpiła, Maksymilian poczuł się jak zmęczony pan w średnim wieku, którego ulubionym słowem jest słowo jutro.

Nie miał pojęcia, co robić. Co robi facet, kiedy znika mu żona? Maksymilian przypomniał sobie *Frantic* Polańskiego, gdzie głównemu bohaterowi, którego gra Harrison Ford, przydarza się to samo, co jego spotkało wczoraj. Odnalazł film na półce, włączył odtwarzacz, obok telewizora ustawił lustro, chwycił pilota i czekał. Kiedy kamera najeżdżała na twarz Harrisona, wciskał pauzę i próbował naśladować jego minę. Maksymilian mógłby być niezłym aktorem, gdyby nie był tym, kim jest. Choć właściwie nie wiedział, kim jest, a nawet jeśli wiedział, wołał się do tego nie przyznawać.

Rozdział dziewiąty

Miał nie byle jakie powody, żeby siedzieć cicho. W nocy z piątku na sobotę (13 na 14 kwietnia), po tym, jak dostał ataku paniki przy postoju taxi, i po tym, jak żona przywiozła go ze szpitala do domu, po tym, jak się pokłócili o nadwyreżanie, dosłownie parę godzin później, siedem minut po pierwszej, Maksymilian z zimną krwią zamordował żonę.

A gdy upewnił się, że nie żyje, poćwiartował jej ciało na siedemdziesiąt dwa kawałki, które powkładał do wyparzonych słoików, zalewając je roztopioną słoniną i gęstym bulionem wołowym. Słoiki okleił etykietami „Peklowana wieprzowina 2003” i ustawił na regale w piwnicy, za rzędami marynowanych grzybków z jesieni 2005, kompotów z rabarbaru i truskawek, powideł śliwkowych, ogórków kiszonych i pasztetów z rozjechanego dzikiego królika. Nikt poza nim nie sięgał po przetwory, więc szanse na to, że w najbliższym czasie ktoś niechcący zje jego żonę, były naprawdę znikome.

Maksymilian planował, że za kilka miesięcy, jak na udręczonego bolesnymi wspomnieniami męża przystało, wyniesie się z osiedla Lazur III. Pod pretekstem przeprowadzki robi porządki w piwnicy i wywiezie słoiki z przetworami na wysypisko.

Swoje krwawe dzieło przygotowywał od ponad czternastu lat, dokładnie od 5224 dni. To właśnie wtedy rozpoczął leczenie psychiatryczne i specjalną dietę, złożoną w jednej trzeciej z leków antydepresyjnych i przeciwłękowych. Uznał, że świat pochylił się nad nim ze współczuciem, gdy okaże się kolekcjonerem fobii i niepokojów. Studiując podręczniki psychologii (tu oparł się głównie na sztandarowym dziele Zimbarda), a także książki z zakresu psychiatrii, zwłaszcza psychiatrii humanistycznej, reprezentowanej przez Kępińskiego i Dąbrowskiego, poznał wszystkie niezbędne objawy, w jakie uzbrojony jest nieszczęśnik cierpiący na F41.0, co w międzynarodowej klasyfikacji chorób ICD-10 oznacza zespół lęku napadowego (*panic disorder*).

Zapisał się do Poradni Zdrowia Psychicznego, gdzie objęli go czułą opieką podstarzały psychiatra z zanikami pamięci i absolwent wydziału psychologii, nierozgarnięty, ambitny, głupi i wyjątkowo szpetny żółtodziób, który z niefrasobliwością ćwiczył na Maksymilianie dopiero co poznane techniki terapeutyczne. Obkuty na blachę Maksymilian opowiadał im o traumatycznym dzieciństwie, emocjonalnym rozedrganiu i dręczących go objawach. Bezsensowność, nagłe uderzenia gorąca, drętwienie rąk i nóg, płytki oddech, potliwość, brak apetytu, lęk przed ćwikłą, otwartą przestrzenią, ciasną przestrzenią, zakrzywioną przestrzenią, myśli samobójcze, przyspieszone tętno, poczucie dezorientacji, obawa, że zwariuje... Mógł wymieniać w nieskończoność.

I wymieniał, a spece od duszy rozbierali go na czynniki pierwsze, głęboko

penetrowali jego dzieciństwo, rzucali oszczerstwa na matkę Maksymiliana, przypisując jej oziębłość, ale nie oszczędzili też ojca, który zamienił rozsadzającą go od środka agresję w bezgraniczną bierność, co mogło być oznaką kompleksu małego członka.

Maksymilian przebierał w najnowszych lekach, realizował recepty, testował kolejne pigułki, a po każdym ataku paniki meldował się na Nowowiejskiej, gdzie szybko wyrobił sobie kartę stałego klienta, która, co odkrył z rozczarowaniem, nie uprawniała go do zniżek w wypożyczalni filmów Beverly Hills. Był zaskoczony łatwością, z jaką udało mu się w parę miesięcy osiągnąć status najbardziej przerażonego człowieka w Europie Środkowowschodniej.

Konsekwentnie budował też wizerunek życiowego partacza, który nie tylko nie potrafi podjąć życiowej decyzji, takiej jak odejście od żony, ale nawet nie umie zdecydować, czy zjeść na śniadanie twarożek czy muesli. Skręcał się z radości, obserwując, jak skutecznie wzbudza wśród najbliższych politowanie, pomieszane ze współczuciem i pogardą. Czy ktoś, kto omal nie umiera z głodu, zastanawiając się godzinami nad zawartością talerza, kto nie wie, czy postawić przed sobą talerz płaski czy może raczej głęboki, biały czy w czerwone różyczki, czy ktoś taki mógłby podjąć decyzję o zamordowaniu kogoś z zimną krwią? Czy ten oto nieszczęśnik, który w supermarkecie dostaje ataku paniki na widok siedemnastu rodzajów keczupu, mógłby podnieść rękę choćby na Szwarcwalda? Szczerze wątpimy, Wysoki Sądzie. Szwarcwald? Szwarcwald to wykastrowany, gnuśny kot rasy syjamskiej, Wysoki Sądzie.

W czwartek w nocy, po tym, jak odegrał scenkę ze srebrnym Waltherem, przystawiając go sobie do skroni, dwukrotnie sprawdził, czy żona i córka śpią, a następnie zaszył się w kuchni.

Ze swojej bogato wyposażonej apteczki wybrał garść tabletek nasennych, roztarł je w granitowym moździerzku na biały proszek i wsypał do wysokiej szklanki. Dodał dwie łyżeczki kawy rozpuszczalnej Davidoff oraz półtorej łyżeczki cukru trzcinowego i wszystko to zalał gorącą wodą. Jeszcze tylko odrobina odtłuszczonego mleka i ulubiona kawa jego żony była gotowa.

Miał nadzieję, że roztarte tabletki nie zmienią jej smaku. Żeby się o tym przekonać, przygotował drugą kawę, bez farmaceutycznego wsadu. Najpierw spróbował zwyczajnej, potem tej zmodyfikowanej. Przy drugiej próbie poczuł lekką gorycz, więc dodał pół łyżeczki cukru. Nie pomogło. Dodał kolejne pół. Po rozpuszczeniu trzech łyżeczek gorycz zniknęła, ale za to z kawy zrobił się ulepek. Maksymilian wycisnął do filiżanki parę kropel cytryny, porządnie zamieszał i z uznaniem pokiwał z głową. Już wiedział, jak przygotować nasenny koktajl dla żony.

Następnie zszedł do piwnicy, żeby sprawdzić niezbędne utensylia: zestaw fińskich pił, noży, folii malarskich i środków czyszczących. Trzymał to wszystko

w zamykanej na kłódkę metalowej skrzyni, którą upchnął między wysłużonymi sprzętami AGD, kartonami z niemodną odzieżą, kolorowymi pismami dla pań i wszystkim, co jego żona uznała za zbędne, ale nie na tyle, by się tego raz na zawsze pozbyć. Utensylia były gotowe. Drzwi od piwnicy uszczelnione. Zaniepokoiła go tylko zepsuta winda. Postanowił jednak, że i tak się nie wycofa. Zaryzykuje i jeśli spotka kogoś na klatce schodowej, powie, że żona zasłabła i musi ją zawieźć do szpitala.

Następnego dnia wszystko szło zgodnie z planem. Najpierw atak paniki, potem wizyta na Nowowiejskiej, kłótnia z żoną w garażu. Pół godziny później jego żona jak zwykle rozłożyła się przed telewizorem, żeby obejrzeć kolejny odcinek programu kulinarnego Marthy Stewart. Maksymilian zaparzył kawę według zmodyfikowanego przepisu i podał z ciasteczkami przyprószonymi wiórkami kokosowymi. Zapalił waniliowe świece i spróbował się nawet uśmiechnąć. Wiedział, że wysokie stężenie prozoków nasennych w jej krwi utrzyma się przez co najmniej dziesięć godzin. Żona Maksymiliana zawsze miała zdrowy sen, więc koktajl powinien zadziałać na nią z podwójną siłą.

Gdy późnym wieczorem Zofia wróciła do domu z Aleksandrą, widok śpiącej matki nie zrobił na niej najmniejszego wrażenia. Zmęczona oglądaniem emocjonujących seriali i programów kulinarnych często zasypiała przed telewizorem. Żeby uniknąć niespodzianek, Maksymilian przygotował dla dziewcząt colę z nasenną wkładką, choć o nieco mniejszej mocy. Gdy za dwadzieścia pierwsza zajrzał do pokoju Zofii, obie rozkosznie chrapały. Aleksandra trzymała rękę na brzuchu jego córki. Znakomicie.

– Zrób pa, pa swojej pani – powiedział Maksymilian do Szwarzwalda, trzymając nieprzytomną żonę w objęciach. Kiedy prznosił ją jak pannę młodą przez próg, jej ręce kołysały się bezwolnie w przeciwfazie do jego kroków. Wyjrzał przez uchylone drzwi. Na korytarzu panowała względna cisza. Gdy mijał kolejne mieszkania, słyszał jedynie przytłumione ujadanie telewizorów. Maksymilian miał na sobie adidasy z pneumatycznymi podeszwami, które znakomicie wygłuszały kroki. Trzeba by mieć uszy nietoperza, żeby mnie usłyszeć, pomyślał na trzecim piętrze. Na drugim poczuł pierwszy kryzys energetyczny. Żona nie była lekka, ważyła dobre sześćdziesiąt pięć kilogramów, a on nie należał do osiłków.

Tak jak się spodziewał, na parterze został oszczekany przez minisznaucera, ale właściciele już dawno przywykli do nadaktywności tchórzliwego historyka, który miotał się w przedpokoju, więc Maksymilian nawet nie drgnął. Gdy położył wreszcie żonę przed drzwiami piwnicy, uśmiechnął się do siebie z poczuciem dobrze wykonanej roboty. Otworzył kłódkę, wniósł żonę do środka i ułożył na potrójnej warstwie grubych folii malarskich. Usiadł na krześle i zapalił papierosa, żeby uspokoić oddech. Jego żona miała rozchylone usta. Przypominała Ofelię

z obrazu Johna Millaisa. OK, emerytowaną Ofelię.

Kiedy odpoczął, wyciągnął przed siebie ręce, żeby sprawdzić, czy jest gotów. Dłonie trochę mu drżały, ale był całkowicie spokojny. Mimo że od zastrzyku minęło już kilkanaście godzin, wciąż jeszcze czuł działanie lewomepromazyny, którą poczęstowała go pielęgniarka-stewardesa.

– Do dzieła! - wyszeptał.

Pochylił się nad żoną i konopnymi sznurkami (łatwiej je spalić) przywiązał najpierw jej ręce, a potem nogi do wbitych w podłogę haków. Latami zastanawiał się, czy ma ją udusić poduszką, czy też uderzyć młotkiem w skroń. Parę dni temu zdecydował się na wersję z poduszką, dzięki której nie będzie musiał patrzeć żonie w oczy, co byłoby przykre, nawet gdyby je zamknęła.

Usiadł na małżonce okrakiem i przyłgął z całych sił, wciskając jej poduszkę w twarz. Poczul, jak podstarzała Ofelia zaczyna się wyrywać, naparł więc mocniej i poczekał, aż jej ciało uspokoi się raz na zawsze.

Odłożył poduszkę i sprawdził puls. Wszystko w porządku. Rozebrał się do bokserek w uśmiechnięte owieczki, które dostał od niej na ostatnią gwiazdkę, i włożył foliowy kombinezon z kapturem, gogle i gumowe rękawiczki. Włączył kuchenkę elektryczną, na której stał garnek z bulionem. Wziął do ręki piłę i z zapalem przystąpił do pracy.

– Mówię wam, właśnie tak to musiało wyglądać. Przez lata się do tego skradał, a potem, kiedy przyszedł odpowiedni moment, zabił ją i poćwiartował. Przyjrzyjcie mu się dobrze, on przecież ma gębę idealnego mordercy. Kto by takiego zapamiętał? – powiedziała osiedlowa panna Marple do zgromadzonych przy oczku wodnym niań w poniedziałkowy poranek, gdy Maksymilian szedł do śmietnika z dwoma foliowymi workami.

– Pewnie wyrzuci zakrwawione ubranie – powiedziała Ula, dziewiętnastoletnia opiekunka z nosem wielkim jak płetwa grzbietowa rekina.

– No co też pleciesz, on nie jest aż tak w ciemnię bity. Założę się, że już dawno wszystko posprzątał. Ale prędzej czy później go dopadną, zobaczycie. Raczej prędzej. Najpierw zapłaci za zdewastowanie śmietnika, potem za śmierć żony i za to, co zrobił Uli – wycedziła panna Marple, groźnie marszcząc czoło. – Posegregował pan śmieci czy chłopcy z MPO znowu będą się na pana skarżyć? – zawołała skrzekliwie, gdy szedł do garażu.

– W tej sprawie proszę dzwonić do mojego adwokata – odpowiedział łamiącym się głosem.

Był roztrzęsiony. Jechał do pracy, żeby odebrać wypowiedzenie. Najprawdopodobniej. Stawiał dziesięć do jednego, że dziś zostanie wylany.

Rozdział dziesiąty

Ma na imię Filip. Jest czarujący, wysoki, przystojny. No i jest synem znanej prezenterki telewizyjnej. Znamy się od dawna, ale dopiero w zeszły piątek powiedział mi coś takiego: „Porwę cię, jak się porywa kobietę na Wschodzie. Wezmę cię w jasyr. Będziesz moją niewolnicą”. Czy to nie romantyczne? – usłyszał w słuchawce Antoni.

– Tak, to bardzo romantyczne – odpowiedział, próbując opanować nerwowy chichot. – Jak mogę ci pomóc? – zapytał z troską w głosie.

– Czuję się okropnie w moim obecnym związku. Jakbym była zamknięta w klatce. No i nie wiem, co mam robić. Zostawić mojego faceta dla Filipa czy jednak poczekać na jakąś cudowną metamorfozę? Bo nie jestem pewna, czy go kocham, czy kocham Filipa. On jest taki romantyczny, ale nie wiem, czy to tylko nagle zauroczenie, czy może jednak coś poważniejszego.

– Podaj mi, proszę, datę urodzenia – powiedział Antoni obniżonym do granic możliwości głosem.

– Mojego urodzenia?

– Tak.

– Siedemnastego stycznia, dzień wyzwolenia Warszawy, tyle że nieco później, ha, ha, ha. Siedemnastego stycznia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku.

– Godzina?

– Słucham?

– O której się urodziłaś?

– O trzeciej w nocy, o ile dobrze pamiętam.

– Niezłą masz pamięć. OK, a teraz data urodzin Filipa.

– Pierwszego kwietnia sześćdziesiątego dziewiątego.

– Godzina?

– Ojej, jego godzinę też mam podać?

– No tak, naturalnie.

– Nie mam pojęcia.

– Bez jego godziny urodzin mogę tylko zaproponować ogólny horoskop partnerski. Twój będzie indywidualnym horoskopem, takim na całe życie, a partnerski będzie ogólny.

– To poczekaj chwilę, dowiem się i zaraz oddzwonię. Będziesz jeszcze?

– Tak, ale jest nas tutaj więcej. Mam na imię Antoni. Kiedy zadzwonisz, poproś o Antoniego, a wtedy cię przełączą – powiedział Maksymilian.

To była jego pierwsza praca, nie licząc wcześniejszych pyskówek z gówniarzami w czasie korepetycji albo wypadów na winobrania do Niemiec, gdzie zarabiał na wakacje. Dotąd mu to wystarczało. Ale pewnego dnia Romuald

powiedział, że co za dużo, to niezdrowo, bo jakoś przecierpiał, że Maksymilian zamiast pójść na studia wieczorowe i pracować, poszedł na昼ienne, przecierpiał też, że jego syn nie studiował medycyny ani prawa, tylko cholerną filologię rosyjską.

– Kto w dzisiejszych czasach studiuje filologię rosyjską. Z czego ty się będziesz utrzymywał, człowieku? – Romuald uniósł ręce do nieba, ale przecierpiał, przecierpiał też, że Maksymilian nie będzie miał porządnego fachu, niech to szlag, ale w końcu nie wytrzymał: – Twój rówieśnicy już dawno zarabiają na siebie, a ty, Panie Pierestrojka, masz zamiar do końca życia pisać po cyrylijsku? Co za dużo, to niezdrowo – powiedział.

Maksymilian przeraził się, że ktoś chce z niego na siłę zrobić odpowiedzialnego mężczyznę, więc postanowił wziąć Romualda na przeczekanie, ale po kilku tygodniach, gdy ojciec położył mu na biurku rachunek za prąd, Maksymilian zrozumiał, że żarty się skończyły, kupił więc gazetę i zaczął przeglądać ogłoszenia w rubryce DAM PRACĘ.

Project managera zatrudnię. Account executive w dynamicznie rozwijającej się agencji reklamowej, minimum trzy lata doświadczenia. Zbrojarza. Asystentkę dyrektora w wydawnictwie prasowym. Cieślę. Młodego do sprzedaży bezpośredniej, doświadczenie nie wymagane. Junior salesa w salonie telefonii komórkowej, dwa języki obce. Piekarza. Murarza. Księgową z potężnym biustem. Czytał kolejne ogłoszenia i drętwiał z przerażenia. Maksymilian się nie nadawał. Nie miał doświadczenia. Nie miał potężnego biustu. Nie był odporny na stres. Nie wiedział, jak wkładać ciasto do pieca. Nie znał języka angielskiego w stopniu zaawansowanym. Nikt nie chciał jego cyrylicy ani tym bardziej cytatów z Dostojewskiego. A sterta rachunków na biurku zaczynała niebezpiecznie rosnać.

Wysyłał swoje żalosne CV gdzie popadło. Wszędzie tam, gdzie nie liczyła się wiedza i doświadczenie, a chęć szczerą, chęć pracy w zgranym zespole, chęć zdobywania nowych celów, chęć rozwoju i chęć podnoszenia kwalifikacji. Czasami do niego oddzwanieli. Chodził na spotkania i wypełniał testy psychologiczne. Pytanie sto siedemdziesiąte czwarte: „Widzisz rozdeptanego kolibra. Co czujesz? A – radość, b – przebiegające po plecach dreszcze, c – smutek, d – zgagę, e – palpacje, f – nic”. Pytanie trzysta piętnaste: „Masz już dość?”. Rozdeptany koliber nadal nie żył, a Maksymilian negocjował z Romualdem prolongaty.

Ale w końcu przyszedł dzień, w którym Pan Pierestrojka stanął na nogi. Zaczęło się od enigmatycznego ogłoszenia o treści: „Studentom z dobrą dykcją”. Odetchnął z ulgą, bo nareszcie spełniał wszystkie wymagania. Popatrzył z wyższością na sepleniącego ojca i chwycił za telefon. Umówił się na rozmowę kwalifikacyjną, ale kiedy zapytał, co to za praca, kobieta o głosie kapłanki w głębokiej religijnej ekstazie powiedziała:

– Wszystkiego dowie się pan na miejscu.

Cieszył się na darmowe bilety i pracę blisko domu, bo jakoś miał przeczucie, że będzie zapowiadał odjazdy pociągów na Dworcu Centralnym.

– Jaki jest pański znak zodiaku? – zapytała go kobieta o głosie kapłanki, głosie z delikatnym wschodnim akcentem, którego nie usłyszał w czasie rozmowy telefonicznej.

No tak, za chwilę przejdziemy do kolibra, pomyślał Maksymilian i odpowiedział z kamienną twarzą:

– Wodnik.

– Znakomicie. Rewelacyjnie. Fantastycznie. Wodniki to osoby kreatywne, oryginalne, z ogromną wyobraźnią, a takich tu właśnie szukamy. Proszę podać dzień, miesiąc i rok urodzenia. Znakomicie. A teraz godzina. Rewelacyjnie. Ascendent w Skorpionie. Kogoś takiego właśnie szukaliśmy. A teraz proszę przeczytać ten tekst – powiedziała kapłanka, wręczając mu zadrukowaną kartkę.

Maksymilian przejechał językiem po zębach, nagryzł wargi i prychnął dwukrotnie, żeby rozgrzać aparat mowy. Kapłanka spojrzała na niego ze zdziwieniem, a on, wyobrażając sobie, że staje na proscenium Teatru Wielkiego w białej koszuli à la Słowacki, zaczął czytać:

– „Odczuwasz obecnie wielką potrzebę miłości. I dobrze, bo już po piątym marca masz zielone światło dla spraw sercowych. Ale spiesz się powoli, bo co nagle, to po diable. Jeśli masz zamiar podjąć ważne życiowe decyzje, zrób to dopiero w okolicach dwudziestego marca. To właśnie wtedy poczujesz, że wszystko ułoży się po twojej myśli. W sprawach zawodowych możesz liczyć na konsekwentną poprawę twojej sytuacji, ale nie wcześniej niż w drugiej połowie miesiąca. Jeśli idzie o twoje zdrowie, nie ma powodu do zmartwień. Uważaj na układ nerwowy i głowę. Szczególnie zadbaj o siebie czwartego, piątego, dziewiątego i trzydziestego marca. Jak powiadają starożytni, kto się troszczy o zdrowie, ten szczęśliwcem się zowie. Wszystkiego najlepszego, Baranie!”

– Znakomicie! Rewelacyjnie! Fantastycznie! Co za interpretacja! Przeczytał to pan z wielką charyzmatycznością i wycuciem. Jestem pod wrażeniem. *I'm impressed, deeply impressed!* – zawołała kapłanka, która podbiegła do Maksymiliana, chwyciła go za głowę i ucałowała w czoło. – Proszę wybrać sobie imię.

– Nie rozumiem. Przecież mam już imię.

– Proszę wybrać sobie pseudonim artystyczny, że tak powiem. Każdy astrolog, a nawet asystent astrologa, którym pan właśnie został, gratuluję, może mienić się artystą, więc musi mieć pseudonim artystyczny.

– Antoni – wyrzucił z siebie pierwsze imię, jakie przyszło mu do głowy.

Ubrana w długą, czarną tunikę, mocno umalowana, szponiasta kapłanka wpisała jego pseudonim do notesika, spojrzała z namysłem w sufit i zapytała, akcentując każde słowo, jakby wypowiadała słowa modlitwy:

– To jedna z najważniejszych chwil w pańskim życiu. Proszę ją zapamiętać. Od kiedy może pan zacząć pracę?

– Od zaraz – odpowiedział Maksymilian.

– Znakomicie! Rewelacyjnie! Fantastycznie!

I tak został wróżem Antonim. Dostał przytulną miejscówkę w zastawionym boksami openspejsie na trzydziestym szóstym piętrze biurowca Oxford Tower, który nazywał się lepiej niż wyglądał, dostał telefon, komputer i specjalny program, dzięki któremu mógł odpowiedzieć dzwoniącym nieszczęśnikom (4,44 plus VAT za minutę) na każde pytanie dotyczące przyszłości: „Czy mój mąż mnie zabije?”, „Kiedy dostanę podwyżkę?”, „Czy mogę uprawiać seks oralny z narzeczonym oraz analny? Zaznaczę, że mam szesnaście lat i chcę zachować dziewictwo do nocy poślubnej”, „Pomalować mieszkanie wiosną czy poczekać do jesieni?”.

Maksymilian wrzucał dane do komputera i dostawał odpowiedni wykres z opisem przeszłości, z której miał wydedukować, co się zdarzy w przyszłości. O ile przeszłość była opracowana przez kapłankę dość rzetelnie, bo na podstawie daty urodzin wraz z godziną można było sporo nałgać, o tyle przyszłość, jak to w życiu, była wielką niewiadomą. Antoni dysponował jedynie kilkudziesięcioma formułkami okolicznościowymi, z których nie wynikało nic konkretnego. Po dwóch tygodniach pracy znał je wszystkie na pamięć, więc żeby nie umrzeć z nudów, w trzecim tygodniu zaczął improwizować. Szybko się okazało, że jest najlepszym wróżem w trzydziestoosobowej ekipie.

Maksymilian lubił pracować w nocy. Często mógł się przespać w swoim boksie przez dwie godziny, bo między czwartą a szóstą rano nawet pielęgniarki i dyspozytorki z pogotowia, które należały do wiernego grona jego klientek, miały ochotę się zdrzemnąć. Spał, a każda minuta snu była godziwie opłacana. Bywały jednak dyżury, w czasie których nie zmrzył oka. Zwłaszcza gdy trafiał na bagno. Pracownicy astrolinii nazywali bagnem rozmowy, których woleliby nigdy nie przeprowadzić: „Proszę pana, kochany, jest pan mą ostatnią deską ratunku. Mam raka trzustki zaawansowanego i lekarze dają mi najwyżej dwa miesiące życia. Niech pan popatrzy w gwiazdy i powie mi, czy doczekam do Bożego Narodzenia?”. Po takim *entrée* chciał odłożyć słuchawkę i nigdy więcej nie odebrać telefonu, ale nie mógł tego zrobić, bo każde zaniechanie rozmowy groziło utratą posady, więc wróż Antoni odstawiał swoją komputerową szklaną kulę, brał głęboki oddech i starał się nie myśleć o tym, że jest oszustem i naciągaczem, którego jedynym celem jest ostre przetrzepanie kieszeni dzwoniącego frajera, zamykał oczy, mocno walił głową w biurko i pozwalał, by opowiadali mu, jak umierają.

Zamęczali go nie tylko klienci. Również wśród asystentów nawiedzonej kapłanki czaiły się emocjonalne wampiry. Do najniebezpieczniejszych należeli

renciści. Byli oddanymi pracownikami, harowali od rana do nocy, a właściciele astrolinii oszczędzali dzięki nim na podatkach. Wśród rencistów prym wiodła Ludmiła, czterdziestoparoletnia kobieta-wulkan, kobieta-karabin maszynowy, kobieta-zapał, kobieta-mania. Maksymilian robił w portki na jej widok. Dyżur z nią oznaczał, że usłyszy historię pewnej niezwykle ważnej mazowieckiej rodziny do szóstego pokolenia wstecz, że usłyszy o spotkaniach z pozaziemską cywilizacją, z którą Ludmiła miała nieustający bezpośredni kontakt, że usłyszy o najnowszej ofercie Amwaya, że usłyszy:

– Mam wspaniałą córkę Wiołę, z którą koniecznie muszę cię poznać, bo czuję, że jesteście dla siebie stworzeni, zresztą sprawdziłam to na naszym komputerze. Ja mam gadane, ona ma gadane, ty masz gadane, tak, tak, słyszę, jak bajerujesz te panny przez telefon, czy ty sobie wyobrażasz nasz rodzinny interes? Czy wiesz, ile towaru moglibyśmy opchnąć we trójkę?

Gdy Ludmiła zaczynała się rozkręcać, Maksymilian zanosił modły, żeby ktoś zadzwonił. Niech to będą największe bluzgi, niech dzwoni siedemdziesięciolatka w agonii albo sepleniący księgowy, Panie Boże Wszechmogący, który stworzyłeś akwizytorów, czy byłbyś łaskaw równie ochoczo ich anihilować?

Pewnego razu zamiast błyskawicy Pan Bóg Wszechmogący zesłał Anioła, który wyrwał Maksymiliana ze szponów Ludmiły (akrylowe paznokcie pomalowane pomarańczowym lakierem firmy Avon, rozprowadzanym z powodzeniem przez Wiołę).

Anioł pytał, czy powinien pozostać w uczuciowym karczerze, do którego wrzucił ją obecny facet, czy też uwolnić się i rzucić w ramiona czarującego, wysokiego, przystojnego Filipa, syna znanej prezenterki telewizyjnej. Gdy wróż Antoni usłyszał w słuchawce głos Anioła, pomyślał, że Anioł zrobiłby nieprawdopodobną karierę na astrolinii, a gdyby przeniósł się do pokoju obok, w którym rządziły dziewczyny z Różowego Zakątka, zyskałby status supergwiazdy. To był najbardziej seksowny, elektryzujący, obeszwałniający, magnetyczny głos, jaki Pan Pierestrojka kiedykolwiek słyszał.

– Dobrze, że jeszcze jesteś – powiedział Anioł. – Zadzwoiłam do mojej przyjaciółki, która jest przyjaciółką przyjaciółki jego siostry, żeby się dowiedzieć o tą godzinę urodzin, ale ta przyjaciółka przyjaciółki jego siostry jest poza zasięgiem, więc zatelefonowałam do Karola, który jest znajomym... Ojej, po co ja ci to wszystko opowiadam, przecież to cię zupełnie nie interesuje, prawda? No pewnie, że prawda, po co pytam, nieważne, tak czy inaczej, po czterdziestu pięciu minutach wiszenia na słuchawce, aż mnie ucho piecze, ciekawe, jak ty możesz wytrzymać tyle godzin przy telefonie, strasznie ci współczuję, no więc udało mi się ustalić, że Filip urodził się wieczorem. Takim raczej późnym wieczorem.

– To na nic – powiedział wróż Antoni. – Musi być z dokładnością do kwadransa.

– Cholera! I co ja teraz zrobię? Dziś już się nie dowiem. Wiesz co, to zobacz tyle, ile możesz, bardzo cię proszę, a ja się później postaram o dokładną godzinę, dobrze?

– Proszę bardzo. Jesteś przyzwoita, godna zaufania, dążysz do kariery i nie spoczniesz, nim nie osiągniesz zamierzonych celów. Ważna jest dla ciebie materialna strona życia. Lubisz się bawić, masz poczucie humoru. Jesteś niezwykle emocjonalna, choć masz problem z okazywaniem uczuć. Stąd może wynikać nie tylko twoja powściągliwość, ale i despotyzm w stosunku do najbliższych. Dążysz do perfekcji, a jeśli coś ci się nie udaje, popadasz w melancholię, prawda?

– Żebyś wiedział – westchnął Anioł w słuchawce.

– Kierujesz się rozsądkiem, jesteś bardzo ostrożna, więc za bardzo kontrolujesz swoje emocje... – Wróż Antoni miał już dość wygadywania bzdur, które klepał z pamięci. – Tymczasem Baran to pozorant, egoista i hipokryta. Jak nie postawi na swoim, natychmiast zapada na wirusowe zapalenie oskrzeli albo świerzb. Z premedytacją wykorzystuje innych do realizacji własnych planów. Jest cholerykiem i tchórzem. Jak każdy narwaniec, błyskawicznie podejmuje decyzje o wchodzeniu w związki, a potem szybko tego żałuje. Ale na tym się nie kończy, bo przecież Baran uważa, że jest ideałem, dlatego za swoje niepowodzenia i błędne decyzje obwinia otoczenie.

– Ojej, a jakieś pozytywwy?

– Baran jest ciekawy świata i zdarza mu się wielkoduszność. Ale rzadko – powiedział wróż Antoni, który postanowił przejechać walcem po marzeniach Anioła. – Raczej się z nim nie dogadasz. Różnicie się charakterami, dla ciebie Baran może być zbyt żywiołowy i chaotyczny – westchnął z politowaniem.

– A co z sypialnią?

– Chcesz ją przemeblować?

– Nie żartuj sobie, ha, ha, wiesz przecież, o co pytam.

– Istnieje małe prawdopodobieństwo, że będzie bosko. Musiałby się wykazać większą empatią, a do tego nie jest zdolny.

– Nie pocieszyłeś mnie.

Wróż Antoni był w siódmym niebie, choć oczywiście wolałby być w setnym, pięćdziesiątym, a przynajmniej w dziesiątym, bo bardzo lubi okrągłe liczby.

Kiedy został zatrudniony, musiał podpisać oświadczenie, że nie będzie się spotykał z klientkami. Dotyczyło to wszystkich telefonicznych naciągaczy w firmie, zwłaszcza dziewczyn z Różowego Zakątka, które w ciągu nocy dostawały po kilkanaście propozycji szybkich numerków i randek od napalonych dychaczy. Dychacz to była firmowa nazwa dzwoniącego, który zazwyczaj wydawał dwa odgłosy: jeden to dyszenie w słuchawkę, a drugi, nieco mniej wyrazisty, przypominający delikatne i miarowe poklepywanie po szyi dobrego znajomego.

Dziewczyny z Różowego Zakątka miały wielkie cycki, koronkowe majteczki o powierzchni mniej więcej dwóch centymetrów kwadratowych i obowiązkowo szpilki. Tak wyglądały na reklamach sekstelefonu prężące się modelki o imionach Justyna, Michelle, Weronika, Anita, Lucy i tak dalej. Dychacze, choć w większości rekrutowali się spośród ochroniarzy, opowiadali dziewczynom, że mieszkają w bogatych rezydencjach, są biznesmenami w delegacjach, zajmują się polityką na najwyższych szczeblach i tak dalej. Choć dziewczyny z Różowego Zakątka doskonale zdawały sobie sprawę, jak dalece nie przypominają wymazanych oliwką pańien z reklam, same często nabierały się na opowieści z drugiej strony druta i mimo zakazów szukały spełnienia marzeń o życiu w luksusie. Właściciele firmy zabraniali się spotykać z klientami, by zapewnić pracownikom Różowego Zakątka bezpieczeństwo. To była wersja oficjalna. Tak naprawdę chodziło o to, żeby nie gadać za darmo. Każde spotkanie z klientem groziło utratą cennego czasu, jaki erotoman spędzał przy telefonie – rekordziści zostawiali na drucie po kilka tysięcy miesięcznie.

Żeby uchronić Justyny, Anity i Weroniki przed groźącym im niebezpieczeństwem, właściciele telefonicznego imperium zatrudnili pana Jerzego, który miał strzec wyrzuconych w błoto drogocennych minut. Pan Jerzy siedział w swoim boksie ze słuchawkami na uszach, siorbał herbatę i czasami coś notował w kieszonkowym kalendarzu. Kiedy wpadał na trop zakazanego romansu, przyklejał się do podejrzanego na parę dni. Nasłuchiwał jej rozmów, odwoził ją do domu, a po drodze opowiadał historię Aldony, jednej z dawnych gwiazd Różowego Zakątka, która trafiła w łapy trzech zwyrodnialców, pastwiących się nad nią ponad tydzień, dzień i noc, dzień i noc.

– Skąd wiesz, czy tobie nie przydarzy się coś podobnego? – pytał z troską.

Ale chociaż pan Jerzy dwoił się i troił, jego przypowieści z morałem nie przynosiły pożądanego rezultatu. Bo pan Jerzy był jeden, a dziewczyn prawie pięćdziesiąt.

W końcu na miasto wyrwał się też Maksymilian. Gdy Anioł zadzwonił po raz trzeci, żeby dowiedzieć się o szanse na wspólne szczęście z Filipem Holzgraberem, postanowił działać. Tak naprawdę postanowił działać Anioł, a Maksymilian vel Antoni się nie sprzeciwiał. Bo choć matka Anioła nie narzekała nigdy na brak pieniędzy, opiewający na dodatkowe dziewięć stów rachunek telefoniczny doprowadził ją do furii, której dała wyraz, nazywając córkę zabobonną utracjuszką. Zabobonną utracjuszkę ten epitet bardzo zabolął, nie potrafiła jednak zrezygnować z pytań o własną przyszłość. W ten sposób wróż Antoni zszedł z gwiazd na ziemię.

Był srogi październik, wyjątkowo chłodny i oślizgły. Maksymilian stał pod Zamkiem Ujazdowskim w swoim płaszczu à la porucznik Columbo i płakał. Dokładniej rzecz ujmując, łzy spływały mu po policzkach. Wszystko przez

zacinający wiatr, który histerycznie wyszarpywał liście z trzęsących się drzew i bawił się parasolem Maksymiliana, raz po raz zamieniając pożądaną wypukłość w niepożądaną wklęsłość. Był to olbrzymi czarny parasol z drewnianą rączką, dzięki któremu Anioł z daleka miał rozpoznać wróża Antoniego. Umówili się na dziewiętnastą, ale choć było dwanaście po, tajemnicza nieznajoma wciąż nie nadchodziła. Zmarznięty i przemoczony Maksymilian postanowił dać jej akademicki kwadrans. Dwadzieścia po siódmej powiedział do siebie: „No dobra, jeszcze pięć minut”, a pięć minut później: „Dam jej czas do wpół do ósmej”.

Kiedy wreszcie podeszła do niego za dwadzieścia ósma, nawet jej nie zauważył, bo akurat mocował się z parasolem, próbując wyprostować powyginane druty, a nie było to łatwe, ponieważ w prawej ręce trzymał bukiet czerwonych róż. I jeszcze ten deszcz. Na widok Anioła Maksymilian zamarł. Gdy zapytała, czy jest Antonim, pokręcił przecząco głową, a dopiero po chwili przytaknął.

Była najładniejszą dziewczyną, jaką widział. W każdym razie, jaką widział w ostatnim tygodniu (nie licząc spotkania z Michelle Pfeiffer w kinie Muranów, gdzie po raz piąty obejrzał *Niebezpieczne związki*). Miała na sobie połyskujący czerwony płaszcz, przewiązany paskiem z wielką okrągłą klamrą, spódnicę ledwo zasłaniającą kolana i pantofle na wysokim obcasie. W tych pantoflach była od niego o kilka centymetrów wyższa, ale gdyby włożyła trampki, mógłby jej spojrzeć prosto w oczy. W jej ogromne, ciemne oczy, w których tliło się rozczarowanie pomieszane ze współczuciem.

Mimo zawodu, cztery godziny później stała przed nim nagusienka, przekrzywiając głowę to w jedną, to w drugą stronę, jakby chciała znaleźć perspektywę, z której dostrzeże w jego twarzy wcześniej pominięte piękno. Ale nie znalazła. To jednak nie przeszkodziło jej chwycić go za szyję i zaciągnąć do łóżka o wyjątkowo miękkim materacu, którego sprężyny, kiedy już przystąpili do rzeczy, skrzypiały jak minimalistyczny kwartet smyczkowy.

Wcześniej, w restauracji, gdzie schronili się przed zacinającym deszczem, opowiadał jej o gwiazdach, Dostojewskim i blinach, opowiadał o panu Jerzym i lakierach Ludmiły, opowiadał i opowiadał, a ona słuchała i słuchała, i słuchając, śmiała się, i patrzyła z coraz większym podziwem na tego wrażliwego, niezwykle dowcipnego i inteligentego chłopca, który pozwolił jej zapomnieć o Filipie, pozwolił jej poczuć się wolną, a na dodatek domyślił się, że uwielbia czerwone róże, ojej, więc gdy zjedli farfalle w sosie grzybowym i szarlotkę z bitą śmietaną, postanowiła zaprosić go do domu.

Gdy Maksymilian dyrygował minimalistycznym kwartetem smyczkowym, do pokoju wkroczyła nagle ubrana w seledynowy szlafrok miłośniczka *Kliniki w Szwarzwaldzie*.

– Dobry wieczór – powiedział grzecznie Maksymilian, dyskretnie naciągając kołdrę na blade pośladki.

– Dobry wieczór – odpowiedziała jego przyszła teściowa, mrużąc oczy. – Kim pan jest?

– Yyyyy... – bąknął Maksymilian.

– Rozumiem. Dziniusiu, kim jest ten pan? – zwróciła się do córki.

– Maksymilian jest astrologiem – powiedziała Dziniusia.

– Tym astrologiem?

– Tak, mamó.

– Czy to znaczy, że nie będzie więcej wysokich rachunków za telefon?

– Nie, mamó.

– W takim razie zaparzę herbatę – powiedziała kobieta w seledynowym szlafroku. – Lubi pan hibiskus?

Mężczyzna, który siedział na golasa w łóżku jej córki i głupawo się uśmiechał, pokiwał głową, że tak.

W kuchni pachniało mieszanką wszystkich dostępnych na rynku środków czystości. Było tak czysto, że Maksymilian poczuł się jeszcze bardziej nieswojo niż kilka minut wcześniej, gdy został nakryty, jak powiedziałby Romuald, „w inflagrancie”.

Wielbicielka doktora Brinkmanna wyraziła głębokie zainteresowanie tematem ascendentów i descendentów, a następnie, niczym rasowa zabobonna utracjuszka, poprosiła o horoskop indywidualny. Maksymilian zapisał datę jej urodzin wraz z godziną i obiecał przygotować wróżbę na najbliższe trzy miesiące.

– Ze wszystkimi znajomymi Dzini jestem na ty – powiedziała. – Nie ma pan nic przeciwko temu, by wypić ze mną bruderszaft hibiskusem?

Maksymilian poczuł się zaszczycony. W końcu nie co dzień rozmawiał z kobietą, która najpierw zobaczyła jego goły tyłek, a dopiero potem twarz, i zachowywała się, jakby to było coś najbardziej naturalnego.

– Wydaje mi się, że masz skoliozę. Ciekawe, czy doktor Brinkmann by się ze mną zgodził? – rzuciła za nim na pożegnanie.

Następnego dnia Maksymilian zasiadł przed komputerem, do którego wklepał dane przyszłej teściowej. Gdy przeczytał, że ma do czynienia z sadystką o skłonnościach historycznych, zrozumiał, że nie mógł trafić gorzej.

A jednak mogłem, pomyślał na widok zbliżającej się Ludmiły, która coraz natarczywiej namawiała go, by zasilił szeregi jej firmy. Na zachętę przyniosła dezodorant antyperspiracyjny, żeby Maksymilian przekonał się o sile asortymentu, jakim dysponowała.

– Popsikasz sobie lewą pachę, psik, psik!, popsikasz prawą, psik, psik!, i jeśli tylko zechcesz, nie będziesz musiał się myć do końca życia, taką to ma moc, mój drogi – powiedziała, szczypiąc go w policzki. – Nawet nie wiesz, jak się cieszę.

– Z czego?

– Załatwiłam Wioli pracę.

– Gdzie?

– Tutaj. Zaczyna w przyszłym tygodniu. Przekonasz się, że wszystko, co mam do zaoferowania, jest prima sort.

Maksymilian wolał się nie przekonywać i jeszcze tego samego dnia poprosił pana Jerzego, by porozmawiał z szefami w jego sprawie.

– No co pan, panie Maksiu, naprawdę chce się pan przenieść do Różowego Zakątka? – zapytał stropiony pan Jerzy.

– Naprawdę.

– Przecież tam płacą prawie połowę mniej, a i praca jest nielekka. Trzeba mieć odporność, panie Maksiu, żeby rozmawiać o tych sprawach. Wie pan, co za kobiety tu dzwonią? Pamięta pan tego studenta geodezji, jak mu tam było, Siewiorski? Kompletnie się chłopak załamał. No niby wszystko szło dobrze, ale jak pewnego dnia zadzwoniła Pończocha, kojarzy pan Pończochę, zadzwoniła i tak mu dała popalić, że no po prostu sfiksował. Wybiegł z płaczem i tyle go widzieli. Są tacy ludzie, którzy potrafią zniszczyć samym głosem. Jak obejrzałem w kinie *Milczenie owiec*, pamięta pan, o tym kanibalu, jak kazał więźniowi z celi obok połknąć swój język, no więc, jak to zobaczyłem, pomyślałem, że to bujda na resorach, proszę pana, ale kiedy w marcu Pończocha to samo zrobiła z tym Siewiorskim, to ja już we wszystko jestem w stanie uwierzyć.

– Kazała mu połknąć język?

– Nie, no skąd, to byłby, jak to się nazywa, ten, no, no nie pastisz, niech mi pan przypomni...

– Plagiat?

– O właśnie, plagiat. Ona mu kazała, proszę pana, aż trudno to przełknąć, no ale to taka praca jest, nie ma się co oszukiwać, kazała mu zdjąć pończochę, że niby, wie pan, on tam z nią baraszkuje i zdejmuje jej najpierw śpileczki, a potem te pończochy czy tam rajstopy, ja to nigdy nie odróżniam, zresztą wszystko jedno, kazała mu, żeby ściągnął jej pończochę i wsadził sobie, proszę pana, no, nie owijając w bawełnę, po prostu do tyłka. Że to ją podnieci. On, ten Siewiorski, pobladł na twarzy, biedaczek jadł sobie akurat pizzę, no i on sobie tak je i je, a ja słucham akurat tej jego rozmowy i patrzę na niego, a on jak ściana, panie, no jak pergamin błądy, odłożył ten swój kawałek pepperoni, rozdziawił pysk, a ona mu normalnie, żeby teraz wyjął z tyłka tą pończochę i wsadził se w usta, no, panie kochany, on po prostu zrzucił te słuchawki z głowy, wybiegł i tyleśmy go widzieli. Nawet po wypłatę nie przyszedł, a miał, proszę pana, trzydzieści trzy godziny wypracowane w marcu. Nie wiem, może nawet u czubków wylądował. Niech się pan najpierw dobrze zastanowi, czy ma pan na tyle silną umysłowość, żeby narażać się na spotkanie z takimi jak Pończocha. My tu nikomu nie zabraniamy pracować, ale wie pan, nikomu też nie zabraniamy dzwonić. Sztuka cała w tym, żeby tak poprowadzić rozmowę, żeby po tej drugiej stronie klient myślał, że rozmawia

o tym, o czym chce, a żeby rozmawiał o tym, co przyzwoite, rozumie pan? Ale jak zwykle uprzedzam, że to tylko z pozoru lekka robota.

– Czuje pan, jak pięknie pachnie nasz wróż Antoni? – spytała Ludmiła, która szła właśnie z kubkiem w ręce do kuchni. – Popsikałam go, psik, psik!

– W porównaniu z tą tutaj, Pończocha to święta Aurelia, panie Jerzy – wyszeptał Maksymilian, gdy Ludmiła zniknęła z pola widzenia. – Chcę do Różowego Zakątka.

Starał się tak ułożyć sobie grafik dyżurów, żeby nie natknąć się na Ludmiłę i Wiołę. Z niecierpliwością oczekiwał dnia, w którym zmierzy się z Pończochą. Do tej pory rozmawiał z normalnymi dziewczynami, które chciały sobie trochę poświntuszyć, i męczył się z wariatkami, które chciały popisać się znajomością polityki, literatury i filozofii. Najcięższą robotę odwalał z tymi klientkami Różowego Zakątka, które nie wiedziały, czego chcą, i zaczynały rozmowę na przykład tak: „Cześć, opowiesz mi coś?” albo: „Mam na imię Klara. Nudzę się”. Ostatecznie ze wszystkimi kończył w łóżku, które wspólnie sobie wyobrażali. Rozbierał te biedne desperatki, kochał je, niektóre, wedle życzenia, mocno rznął, a potem przytulał i zasypiali w satynowych pościelach, wśród płatków róż i blasku świec. Albo na plaży w Jastarni. Wysłuchiwał szlochów, mądrości życiowych w stylu faceci to świnię, jadł fastfoody i popijał hibiskus, którego paczkę ofiarowała mu Dzinusia.

Maksymilian był zakochany. Niespecjalnie mu przeszkadzało, że jego wybranka nigdy nie słyszała o Lermontowie i myślała, że kardamon to albański taniec ludowy. Wystarczyło, że była najładniejszą dziewczyną, z jaką do tej pory miał okazję się przespać. Kochał ją za to.

– Kochasz mnie?

– Oczywiście, że cię kocham – odpowiedział Maksymilian.

– Będiesz grzecznym chłopcem?

– Zawsze jestem grzecznym chłopcem.

– Przelecesz mnie tak, że usłyszą nas sąsiedzi z dziesiątego piętrrrra, ty parrrrszywy psie?

– Przelecę cię tak, że usłyszą nas w powiecie dzierzoniowskim.

– Czy to w chuj daleko stąd?

– O tak, to bardzo daleko – odpowiedział z westchnieniem Maksymilian i zaczął robić przysiady. W czternastej godzinie dyżuru poczuł, że jego kość ogonowa przebiła na wylot pochlapany kawą fotel na kółkach.

– Wiesz, jak tu na mnie wołają, burrry kundlu? – zapytała kobieta, która miała poważne problemy z artykulacją r.

Maksymilian cierpiał. Już zrozumiał, dlaczego student geodezji Siewiorski nie wytrzymał. Jak można się tak obchodzić ze spółgłoską r?!

– Pończocha? – zapytał.

– Jak śmiesz, kutafonie! Pani Pończoszka, dla ciebie pani Pończoszka!
– Bardzo ładnie.
– Wiesz, że pani Pończoszka zjada takich eunuchów jak ty na śniadanie i popija krrrwią utoczoną prrrawiczkom?
– Pracuje pani w PCK?
– Hamuj, piesku, bo wyrrrwę ci serrrce i zrrobię sobie z niego tatarrra.
– Nie polecam. Mam strasznie wysoki poziom złego cholesterolu, dają słowo, sto sześćdziesiąt miligramów.

– Stul pysk i słuchaj.
– Z przyjemnością.
– Wiesz, jakie mam na sobie majteczki?
Maksymilian postanowił zrobić parę skłonów, które zawsze pomagały mu nie tylko rozprostować kości, ale też wiarygodniej dyszeć w słuchawkę.
– Pytałam, czy wiesz, jakie mam na sobie majteczki, parrrszywy kundlu!
– Wydawało mi się, że mam stulić pysk i słuchać.
– Kiedy pytam, odpowiadaj, zasrrrańcu.
– Oczywiście.
– No więc, jakie?
– Zielone w białe groszki?
– Pastuch. Pieprzony debil. Byłeś chociaż rrraz na rrrandce z kobietą, pedale?

– Nie, to mój pierwszy raz.
– Na to wygląda. Mam białe majteczki Trriumph, przezrrroczyście majteczki z malutką srrrebrną kokarrrdką. Terrraz weźmiesz kokarrrdkę w zęby i zdejmiesz mi majteczki, zrrozumiano?
– Oczywiście. Biorę w zęby kokardkę i delikatnie zdejmuję. Mogę sobie pomóc prawą dłonią?

– Nie dość, że trrrafił mi się eunuch, to jeszcze niedojda, ja pierrrdolę!
Podczas trzygodzinnej randki w ciemno z Pończochą Maksymilian dowiedział się więcej o naturze ludzkiej niż w czasie dwuletniego seminarium z filozofii, na które zapisał się jeszcze na pierwszym roku, więc nieśmiało zapytał, czy pani Pończoszka nie miałyby ochoty poprowadzić zajęć dla studentów przy Krakowskim Przedmieściu.

– Skąd wiesz, że tego nie rrobię, buldożku frrrancuski? – zapytała, a wtedy Maksymilian przypomniał sobie profesor Rothe, specjalistkę od teorii piękna, która miała twarz Kartezjusza i najbardziej świdrrrujące owularne r, jakie w życiu słyszał.

Dziwny ten Siewiorski. Biedaczek o mało nie dostał apopleksji podczas niewinnych igraszek lingwistycznych z Pończochą, a przecież gdyby spędził pół godziny w towarzystwie Ludmiły i jej dezodorantów, z pewnością zmieniłby

zdanie o ciemnej stronie kobiecości.

Pończocha dzwoniła, płaciła i odwaliała trzy czwarrte rroboty. Za odrobinę życzliwej uwagi nikt dotąd Maksymilianowi tyle nie zapłacił. Niestety, nie dane mu było wejść w głębszą relację z Pończochą, a to dlatego, że Dzinusia kategorycznie zażądała, by przestał TO ROBIĆ z innymi kobietami.

– To co, że przez telefon! Nie zgadzam się i jest mi przykro – zawodziła. – Mam tego dość! – jęknęła, kiedy opowiedział jej o wygimnastykowanej dróżniczce, która zadzwoniła do niego tylko po to, żeby pochwalić się, że potrafi językiem dotknąć łechtaczki. Własną łechtaczkę.

Po dwóch miesiącach Maksymilian zakończył karierę w Różowym Zakątku. Narzeczona poskarżyła się matce. Matka zastanowiła się przez chwilę, otworzyła notesik i wybrała dawno niewybierany numer, a następnie spotkała się na herbatce przy Wiejskiej ze znanym posłem prawicy, który trzy dekady wcześniej należał do grona jej najbardziej wytrwałych adoratorów.

Najpierw poniosła koszty: z wielkim zainteresowaniem obejrzała zdjęcia posła z rodzinnego urlopu w Tajlandii i cierpliwie wysłuchiwała tych samych od trzydziestu lat wspomnień („A pamiętasz te wakacje w Krynicy w siedemdziesiątym czwartym?” i „Ech, gdybyś wtedy wybrała mnie, a nie Romka...”), po czym przeszła do spraw zasadniczych.

– Młody, ambitny i całkiem bystry narzeczony mojej Dzini musi zmienić pracę – oświadczyła, stukając łyżeczką w brzeg filiżanki.

I w ten sposób ekswróz Antoni, eksświntuch z Różowego Zakątku trafił do Biura Prasowego w Ministerstwie Edukacji Narodowej. Pod koniec roku od wąsatej szefowej otrzymał premię uznaniową, a od psychiatry z zanikami pamięci – receptę na pierwszy kilogram prozacu.

Rozdział jedenasty

Tylko trupy mają coś sensownego do powiedzenia – oznajmił Maksymilian.

– Co pan chciał przez to powiedzieć? – zapytał mężczyzna, który – co się naprawdę rzadko zdarza – był zdecydowanie brzydszy od Kartezjusza.

To niemożliwe, żeby facet, przed którym raz w tygodniu obnażam się jak jakiś zboczeniec z parku Skaryszewskiego, był głupszy od psa podwórzowego, pomyślał Maksymilian i wyciągnął zza paska srebrnego Walthera.

– Ty zidiociały kretynie! – wrzasnął, po czym wymierzył w zmarszczone z przerażenia czoło psychologa i pociągnął za spust. Siła oddanego z dwóch metrów strzału wyrzuciła oblecha z krzesła. Maksymilian zobaczył najpierw zdarte podeszwy tanich półbutów, a ułamek sekundy później drobne kawałki bezużytecznego mózgu, które plasnęły o ścianę w kolorze kojącego błękitu. Maksymilian wstał, podszedł do zdziwionego nieboszczyka i oddał osiem strzałów w zapadniętą klatkę piersiową, która po każdym pociągnięciu za cyngiel nerwowo podskakiwała.

– Panie Maksymilianie, co pan chciał przez to powiedzieć? – powtórzył Jeszcze Brzydszy Kartezjusz.

– Przepraszam, ale nie wiem – odpowiedział Maksymilian.

Nienawidził, kiedy ktoś zwracał się do niego per Maksiu, ale idiotyczna rymowanka „panie Maksymilianie” doprowadzała go do mdłości.

– No to może wspólnie się zastanówmy, co pan chciał przez to powiedzieć – zaproponował JBK, a Maksymilian pomyślał, że właściwie wychodzi na jedno, czy będą się zastanawiali wspólnie, czy będzie się zastanawiał sam.

– Chciałem przez to powiedzieć, no więc tym stwierdzeniem chciałem wyrazić, chciałem poinformować żonę, że czuję się samotny i że odchodzę.

– To znaczy? – zapytał z łagodnym uśmiechem psycholog.

Maksymilian głęboko westchnął i odruchowo sięgnął za pasek, gdzie, niestety, nie znalazł srebrnego Walthera.

– Większość ludzi, z którymi rozmawiam, nie ma nic do powiedzenia. Mówią, żeby mówić. Dzisiaj wszystko mówi: telewizor mówi, komputer mówi, mówi głośnik w supermarkecie i nawigacja satelitarna, no wie pan, GPS, więc większość ludzi nie chce być gorsza, nie chce czuć się głupsza od nawigacji satelitarnej, więc też bez przerwy mówi, mówi, żeby mówić, żeby mówić, żeby mówić. I tak bez końca. Cisza ich obezwładnia i wpędza w popłoch. O naprawdę ważnych rzeczach dowiedziałem się od ludzi, którzy już dawno nie żyją, dowiedziałem się, czytając książki, rozumie pan, tak więc fraza „tylko trupy mają coś sensownego do powiedzenia”, oznacza ni mniej ni więcej, tylko właśnie to.

– A jakby się pan czuł, gdyby zamiast tego powiedział pan do żony wprost, że czuje się pan bardzo samotny?

– Czuję się tak samo, tylko gorzej.

– No dobrze, a jak się pan teraz czuje? – Jeszcze Brzydzy Kartezjusz zadawał mu to pytanie od niepamiętnych czasów.

Smutny, wściekły, zły, zrozpaczony, przerażony, zadowolony – Maksymilian odpowiadał, JBK zapisywał maczkiem w kołonoatniku z Marilyn Monroe na okładce, kiwał głową, udawał, że się zastanawia, po czym zapraszał na kolejną wizytę za tydzień. Stali w miejscu. Od kilkunastu lat stali w miejscu. JBK nie potrafił się obchodzić z Maksymilianem, a Maksymilian nie potrafił znaleźć bardziej rozbawionego psychoterapeuty. A może po prostu nie chciał, bo bardziej rozbawiony psychoterapeuta pomógłby mu dokonać zmian, a Maksymilian nie chciał zmian. Nie chciał i zresztą nie potrzebował, bo przecież odkąd pamiętał, zmiany dokonywały się same.

– Teraz czuję się nijak. To dość zaskakujące, bo właściwie czuję się nijak od dziewięciu dni, czyli od dnia, w którym zniknęła moja żona – powiedział Maksymilian, miętosząc chusteczkę higieniczną, którą wyjął ze stojącego na stoliku dozownika.

– Dlaczego uważa pan, że to zaskakujące? – zapytał JBK tonem jednostajnym prostoliniowym.

– Myślałem, że kiedy zniknie moja żona, poczuję trwogę lub rozpacz. I że kiedy wyleją mnie z pracy, ogarnie mnie euforia albo rozgoryczenie. Nic z tego.

– Stracił pan pracę tydzień temu, tak?

– W ubiegły poniedziałek.

– A żona zniknęła w sobotę?

– Tak, dziewięć dni temu.

– Podwójna strata, to musi boleć. Może pan odczuwa lęk przed własnymi uczuciami i dlatego je pan wypiera?

– Może już skończmy na dzisiaj – powiedział osłabiony głupotą JBK Maksymilian.

– Sesja kończy się dopiero za pięć minut.

– Aha.

– Chce pan skończyć wcześniej?

– Nie wiem. A pan?

– Jeśli pan chce skończyć, musi pan podjąć taką decyzję.

– No tak.

– No więc?

– Nie wiem.

– Dobrze, w takim razie zadam panu jeszcze jedno pytanie. Co pan czuł, kiedy chciał się pan zabić, trując się tymi tabletkami?

– Nic.

– Jakoś trudno mi w to uwierzyć.

- Może to pana zdziwi, ale mnie też.
- Ktoś, kto chce się zabić, musi coś czuć, panie Maksymilianie. Na przykład bezgraniczną rozpacz.
- Ostatni raz poczułem rozpacz, kiedy zginął mi pistolet.
- Ten Walther, o którym mi pan opowiadał?
- Tak.
- Dlaczego właśnie wtedy poczuł pan rozpacz?
- Nie wiem.
- Ten pistolet musiał dla pana wiele znaczyć.
- No nie wiem.
- Proszę się zastanowić, dlaczego poczuł pan rozpacz, gdy zniknął Walther, a nie poczuł pan nic, kiedy zniknęła żona. Porozmawiamy o tym za tydzień, dobrze?
- I znowu zapomniałem opowiedzieć o matce – powiedział stropiony Maksymilian.
- O matce?
- Tak, o matce. O mojej matce. I o pogrzebie.
- Umarła panu matka?
- Nie. Ja umarłem. I zapomniałem zaprosić ją na własny pogrzeb. Na śmierć o niej zapomniałem.
- Bardzo mi przykro, ale dziś musimy już kończyć – powiedział JBK, zamykając z trzaskiem kołnотatnik. Zawsze żegnał się tą samą frazą: „Bardzo mi przykro, ale dziś musimy już kończyć”. Brzmiało to jak: „Proszę państwa, zamykamy”, wers z *Ziemi jałowej*. Zawsze w kwietniu Maksymilian przypominał sobie *Ziemię jałową*, bo nie mógł zrozumieć, dlaczego T.S. Eliot uważał, że kwiecień jest najokrutniejszym miesiącem. Niby to wyjaśnił, ale jak mają w zwyczaju poeci, wyjaśnił niezbyt klarownie, więc Maksymilian nie zrozumiał, bo przecież kwiecień to całkiem przyjemny miesiąc: robi się w miarę ciepło i jasno, nie to, co w grudniu, grudzień to dopiero jest okrutny, zwłaszcza na tydzień przed gwiazdką, kiedy trzeba wymyślić prezenty, które różniłyby się od prezentów, które wymyśliło się rok wcześniej, i trzeba je wymyślić w głębokich ciemnościach, bo słońce wychodzi nad horyzont na pół godziny, a potem jeszcze ten cholerny Sylwester, no może nie aż tak cholerny, bo w Sylwestra wybuchają petardy, od których Szwarcwald dostaje drgawek i potulnieje, ale kwiecień? Ten poemat Eliota był stanowczo za bardzo wydumany. Kojarzył się Maksymilianowi raczej z chirurgią naczyniową niż z poezją.

Kiedy JBK powiedział: „Bardzo mi przykro, ale dziś musimy już kończyć”, Maksymilian poderwał się gwałtownie z krzesła, czym jak zwykle doprowadził terapeutę do stanu przedzawałowego, i bez słowa ruszył ku drzwiom, żeby nie przeciągnąć wizyty choćby o milisekundę. Gdy wy dostał się z gabinetu, skrzywił

się, bo na korytarzu Ośrodka Psychoterapii Indywidualnej Empatia jak zwykle śmierdziało strachem. Mimo że w całej przychodni unosiła się dusząca woń letniej bryzy, którą wyrzucały z siebie pracujące pełną parą elektryczne odświeżacze, Maksymilian wyczuwał doskonale mu znany zapach przerażenia. Powbijani w niewygodne krzesła klienci Empatii, którzy czekali na psychoterapeutyczny cud, byli spoceni jak galernicy, czego nie zdołałby ukryć nawet najlepszy antyperspirant Ludmiły.

Maksymilian minął skulonych w sobie nieszczęśników, podszedł do recepcjonistki, żeby uregulować należność za kolejną straconą godzinę swojego życia, po czym wydostał się na korytarz.

Od tygodnia Maksymilian był szczęśliwy, ale postanowił, że nie będzie o tym informował opinii publicznej, najbliższych, a zwłaszcza Jeszcze Brzydszego Kartezjusza. Nagła przemiana tuż po tym, jak zniknęła jego żona, mogłaby wzbudzić niepotrzebne podejrzenia. Dlatego udawał, że wszystko jest po staremu, i gdy wyszedł na korytarz, jak co tydzień zatrzymał się na pięć minut w holu na siedemnastym piętrze. Co tydzień przez mniej więcej pięć minut podejmował decyzję, czy pojechać krztuszącą się windą, czy też zejść po klaustrofobicznych schodach. Siedemnaście pięter po dwanaście stopni, razem dwieście cztery stopnie. Umrzeć z przerażenia w windzie czy zejść po schodach i pozrywać stawy albo połamać nogi? A jeśli nie połamię nóg, tylko obie ręce? Gdy mu je zagipsują, będzie musiał prosić ojca albo Zofię o wyjęcie mu fiuta, żeby się mógł odlać. A jeśli zachce mu się gdzieś w mieście? A jeśli wsiądzie do windy, która zatrzyma się między piętrami, a razem z nim do windy wsiądą akurat Świadkowie Jehowy, którzy będą się do niego życzliwie uśmiechać i namawiać do wiecznego szczęścia?

Maksymilian raz już spędził wieczność w zatrzaśniętej windzie. Wychodził właśnie z dyżuru z dziewczynami z Różowego Zakątka, opowiadając im o ostatniej rozmowie z Pończochą, która zabrała go na siłownię, gdzie bawili się sztangą i harcowali na rowerze bez siodełka. Dziewczyny rechotały, gdy pokazywał, jak pedałuje, kręcąc tyłkiem, a tu nagle coś chrupnęło i winda stanęła. Maksymilian poczuł, jak spada z rowerka na pysk, i zapytał, czy któraś z Justyn nie ma wody, bo musi się napić.

Wyciągnął xanax, żeby jak najszybciej się znieczulić, ale żadna nie miała wody, więc postanowił połknąć tabletkę bez popicia, a kiedy połknął, poczuł, że się dusi, bo tabletkę stanęła mu w gardle. Poczuł obrzydliwy gorzki smak miligramy xanaxu, więc usiadł w kącie i zaczął się trząść, a dziewczyny pomyślały, że ma padaczkę, więc zaczął je uspokajać, że to nic takiego, a one, że ojej, że jak to, że to zabawne, ale żeby przestał się wygłupiać i żeby wziął się w garść.

Maksymilian uwielbia, kiedy ktoś mówi mu: „Weź się w garść”, gdy on akurat jest zajęty umieraniem, bo zawsze, kiedy się boi, wydaje mu się, że umiera, a człowiekowi, który umiera, słowa „weź się w garść” są potrzebne jak bilet do

lunaparku, więc powiedział im, żeby się same wzięły w garść i żeby coś zrobiły, żeby otworzyły windę, a one mu na to, że nie da się otworzyć, ale że wcisnęły guzik alarmowy, więc zaraz ktoś się zjawi, a kiedy pół godziny później ktoś się zjawił, Maksymilian był wykończony, ale wstał i poczłapał do wyjścia, a wtedy one zaczęły się śmiać i mówić, że nieźle je nastraszył i że nigdy w życiu nie widziały tak zajebiście odegranej scenki, że powinien zostać aktorem, byłby świetny w horrorach, a Maksymilian na to, że pomyśli o tym i że postara się poćwiczyć z nimi następnym razem, a one, że lepiej niech ćwiczy w domu, bo nie chcą, żeby je jeszcze kiedykolwiek straszył, jest w tym naprawdę dobry, więc niech już lepiej opowiada im o rozmowach z Pończochą albo coś takiego i cześć, do jutra, ha, ha, ha, ale nas nabrałeś!

Zejsć czy zjechać? A co, jeśli Świadkowie Jehowy? Schody. A co, jeśli połamię nogi? A co, jeśli obie ręce? A jeśli wyskoczy przez okno, żeby skończyć wreszcie z tym żalonym neurotycznym repetytorium? A jeśli spadnie na piętnastoletniego przechodnia, który za dwie dekady ma wymyślić szczepionkę na raka? A jeśli spadnie i osieroci Zofię, która będzie musiała zamieszkać z jego rodzicami albo, co gorsza, z teściową? A jeśli ten gówniarz, na którego spadnie, nie będzie wybitnym odkrywcą, lecz seryjnym mordercą, który kiedyś dopadnie Zofię? A jeśli spadnie na przyszłego męża Zofii? A jeśli spadnie na Zofię? Zofia! Za kwadrans ma ją odebrać ze szkoły, niech to szlag!

Maksymilian był bardzo zadowolony ze scenki, którą odegrał przed samym sobą. Aż chciał się sobie ukłonić i nagrodzić swój trud rześzystymi brawami. Zszedł po schodach, gwizdząc leitmotiv z *Mostu na rzecę Kwai*. Gdy wybiegł z budynku, nakrył głowę marynarką, bo z nieba spadały tony deszczu, którego zupełnie się nie spodziewał. Przecież jeszcze godzinę temu z nieba sączył się jadowity skwar.

Dobiegł do zaparkowanego po drugiej stronie ulicy samochodu, uruchomił silnik i włączył wycieraczki, które jęknęły przeraźliwie, bo już zeszłej jesieni powinien był wymienić zużyte pióra. Był zupełnie przemoczony i cały się trząsał. Ustawił ogrzewanie na maksimum, żeby przestać się trząść i żeby jak najszybciej odparować szyby, przetaił rękawem boczne okno, po czym włączył światła i ruszył, wciskając się w sznur płynących w ulewie samochodów.

Choć zegar wskazywał siedem po czwartej, w mieście było ciemno. Wszystko przez nisko zawieszane chmury i pazerne drzewa, które chciwie zasysały resztki światła, żeby jak najszybciej oblać się soczystą zielenią. Potężne krople bębniły w dach toyoty, a Maksymilian próbował odbębnić odpowiedni rytm, uderzając palcami o kierownicę.

Minął plac Bankowy, Ogród Krasińskich i włączył kierunkowskaz, żeby z Andersa skręcić w Świętojerską. Kiedy przejeżdżał obok przystanku tramwajowego, zobaczył siedzącą pod wiatą kobietę. To była jego żona. Tak mu się przynajmniej wydawało. Przejechał przez torowisko, nie odrywając od niej

oczu. Postanowił zatrzymać się tuż za zakrętem, ale gdy odwrócił głowę, żeby poszukać wolnego miejsca parkingowego, o mało nie umarł z przerażenia. Przed toyotą stała dwudziestoparoletnia dziewczyna w przylepionej do ciała sukience w kwiaty. I choć z całej siły nacisnął hamulec, dziewczyna wpadła ślizgiem na mokrą maskę, podjeżdżając twarzą aż do przedniej szyby. Zobaczyła jego podpuchnięte, szeroko otwarte oczy. A w tych oczach odbicie swoich szeroko otwartych oczu, w których odbijały się jego oczy, w których odbijały się jej oczy, w których zamiast strachu było wielkie zadziwienie.

Rozdział dwunasty

Tydzień wcześniej Maksymilian postanowił się zabić. Chciał ze sobą skończyć, ale tak, żeby przypadkiem nie zrobić sobie krzywdy. Było poniedziałkowe, nadzwyczaj przyjemne popołudnie. Przyjemne zwłaszcza w porównaniu z przedpołudniem, bo przed południem, mniej więcej kwadrans po jedenastej, Maksymilian trzymał w garści wypowiedzenie, z którego wynikało, że z ostatnim dniem maja przestawał być pracownikiem coraz prężniej działającej firmy szkoleniowej, gdzie zajmował się pozyskiwaniem klientów strategicznych, więc w porównaniu z przedpołudniem, popołudnie było tysiąckroć przyjemniejsze, a mimo to Maksymilian wciąż myślał o przedpołudniu i o przemówieniu szefowej.

– Mówiłam ci, do trzech razy sztuka, pamiętasz, umówiliśmy się, że jeśli jeszcze raz dasz ciała, będziemy musieli się pożegnać. Nie dotrzymałam słowa i kiedy dałeś ciała po raz trzeci w czwartek i nie przyszedłeś na spotkanie z tymi bubkami z Fortis Banku, darowałam ci, łamiąc swoje przyrzeczenie, a wiesz, że nie lubię tego robić, ale to, że nie przyszedłeś również na spotkanie w piątek, dając ciała po raz czwarty, no chyba sam rozumiesz, wiesz, że dla mnie to nie jest komfortowa sytuacja, niestety, nie dałeś mi wyboru, ja nie mam w zwyczaju, nie lubię, ale zważywszy na twoje dokonania, w czwartek mogłam ci darować, potrafiłam odpuścić, jednak ty najwyraźniej nie byłeś w stanie tego docenić, skoro również w piątek postanowiłeś wystawić firmę do wiatru, dlatego mimo, pomimo, właśnie dlatego jestem zmuszona, choć wiesz, że z ciężkim sercem, niestety, ale takich rzeczy naprawdę się nie robi, bo nawet jeśli bym i tym razem, wbrew swoim zasadom, przymknęła oko, nie mogłabym ci zaufać, już nigdy nie mogłabym zasnąć spokojnie, nie mogłabym być pewna, że następnym razem nie nawalisz, a firma nie może sobie na to pozwolić, bo firma to nie tylko ty, ja, my wszyscy, to przede wszystkim wizerunek, a nasz sens, sens naszej pracy, twojej, mojej, ma wtedy sens, kiedy mamy mocny wizerunek, więc dlatego nie mogę zrobić nic innego, choć jak wiesz, bardzo chciałabym znów sobie zaprzeczyć, ale rozważałam to wystarczająco długo, nie muszę chyba dodawać, że to był jeden z najgorszych weekendów w moim życiu, ale co tam, było minęło, trzeba żyć i brać życie za rogi, bo życie to nie jest bajka, sam doskonale wiesz. I tylko bardzo cię proszę, nic nie mów, tylko przypadkiem nie zacznij się tłumaczyć, bo tego nie zniosę, choć oczywiście przez wzgląd na twoje zasługi, na to, co zrobiłeś dla firmy, dla mnie, dla nas...

Szefowa Maksymiliana, naprawdę miła dziewczyna, śliczna i ambitna kochanka właściciela firmy, dwudziestosiedmioletnia absolwentka Munich Business School, przemawiała bez przerwy przez dwadzieścia minut, a on patrzył, jak ona przykleja i odkleja żółtego post-ita do blatu biurka Press Trado (czternaście tysięcy) zaprojektowanego przez Kluś Design, przykleja i odkleja, gniecie i wrzuca

do kosza (Brabantia, pięć stów), odrywa kolejną karteczkę z topniejącego powoli bloczka, przykleja i odkleja.

Maksymilian patrzył i od czasu do czasu przytakiwał, delikatnie potrząsając głową, i modlił się, żeby to się już skończyło, ale to się nie mogło skończyć, dopóki ostatni post-it nie został przyklejony i odklejony, przyklejony i odklejony, przyklejony i odklejony co najmniej dwadzieścia razy, żeby w końcu wylądować w koszu, a gdy to się już dokonało, szefowa Maksymiliana odwróciła kartkę formatu A4 z własnoręcznym podpisem, który machnęła czerwonym piórem Montegrappa Ferrari (sześć i pół tysiąca), które dostała od narzeczonego na gwiazdkę, odwróciła kartkę o sto osiemdziesiąt stopni i przesunęła po przezroczystym blacie biurka w stronę Maksymiliana, a Maksymilian uśmiechnął się, podpisał cyrograf cienkopisem bic, który dostał od recepcjonisty, wstał, znów się uśmiechnął i powiedział: „Dziękuję”, choć równie dobrze mógł powiedzieć „ciecierzyca”, i odmaszerował do openspejsu.

Usiadł za biurkiem tańszym niż kosz na śmieci szefowej, wyciągnął flaszkę Absolutu za 39,90, rozlał do plastikowych kubków po pięćdziesiątce i napił się po raz ostatni z kolegami, którzy go nienawidzili, gdyż był najlepszym naganiaczem w firmie, bo z czasów pracy w Różowym Zakątku została mu zdolność uwodzenia kobiet przez telefon, więc wszędzie tam, gdzie za rozwój pracowników odpowiadały kobiety, a w większości były to kobiety, Maksymilian bez trudu wciskał szkolenia. Nienawidzili go dotąd, bo był najlepszy, ale teraz go kochali, bo właśnie przestawał być najlepszy, dlatego wznosili toasty: „Twoje zdrowie!”, „Niech żyje wolność!” i „Precz z korporacją!”, a Maksymilian popatrzył na nich ze zdziwieniem, bo nie mógł zrozumieć, dlaczego w kraju, w którym kapitalizm nieśmiało raczkuje od niespełna dwudziestu lat, ludzie z taką niefrasobliwością wyrzekają na korporacje, więc popatrzył ze zdziwieniem i wstał, bez słowa wziął dwie torby, do których przed spotkaniem z szefową wrzucił wszystkie rzeczy osobiste, parę płyt, zdjęcie dwuletniej Zofii, dyżurny słój z xanaxem, kubek z Liv Tyler, posążek spasionego Buddy z dziurką w dłoni, w którą można włożyć kadzidło, wziął torby i krokiem męczennika wyszedł z żoliborskiej willi.

Dostał miesięczną odprawę, a poza tym miał oszczędności, które, jeśli tylko narzuci sobie reżim, o co w jego przypadku nietrudno, wystarczą mu co najmniej na pół roku, a jeśli przestanie kupować żarcie Szwarzwaldowi, nawet na rok, więc się nie martwił, ale żeby sprawić przyjemność kolegom z pracy, a zwłaszcza szefowej i jej kochankowi, udawał głęboki smutek. Mimo że nie czuł nic, pomyślał, że życie jest cholernie piękne, bo akurat nic lepszego nie przyszło mu do głowy.

Kiedy dotarł do domu, sprawdził w skrzynce na listy, czy nie ma w niej żądania okupu albo pocztówki z Andamanów z pozdrowieniami od żony, ale przecież był dopiero poniedziałek, więc wyciągnął tylko ulotkę OKNA PCV

TANIO, gazetkę reklamową Tesco z łopatką wołową bez kości na pierwszej stronie i rachunek za telefon. Wcisnął guzik poczty głosowej telefonu stacjonarnego, żeby usłyszeć:

„Brak wiadomości”,

na wszelki wypadek włączył radio, telewizor i przejrzał maile. Wydawało mu się, że tak właśnie robi zatroskany mąż, który drży o los zaginionej miłości swojego życia, nawet jeśli ta miłość trwała nie dłużej niż partyjka tetrisa. Zatroskany mąż czuje najpierw niezgodę, narastający gniew, potem rozpacz, żal, aż wreszcie godzi się ze stratą. Maksymilian pominął wszystkie etapy pośrednie i był już jak najbardziej pogodzony ze stratą, ale doskonale wiedział, że nie może tego ogłosić światu, bo świat by tego nie zaakceptował, a nawet wyraziłby gniewną dezaprobatę, więc żeby w pełni zadowolić świat, który oczekiwał od niego, jak mu się wydawało, czegoś w rodzaju aktu rozpaczycy, Maksymilian postanowił się zabić.

Z torby z klamotami wyjął dyżurny słój z xanaxem. Zawartość wysypał na kuchenny blat, odliczył dwadzieścia tabletek po pół miligrama, a resztę odłożył na bok. Z podręcznej apteczki, której zawartość w razie przeprowadzki trzeba by przewieźć tirem, wyjął dwa opakowania seroxatu, przeterminowany clonazepam, resztkę relanium, listek hydroksyzyny i nadjedzony zyban, który miał mu pomóc rzucić palenie. Powyciskał pigułki na stół i startł na proszek razem z xanaxem. Uznał, że taka ilość może zabić połowę osiedla, więc trzy czwarte pokażnej kupki wysypał do zlewu. To, co zostało, rozpuścił w dzbanku mocno posłodzonej kawy. Zanim wypił drinka, którego roboczo nazwał Udobruchany Morfeusz, porzrzucał puste opakowania po tabletkach wokół łóżka.

Spojrzał na zegarek. Była 14.18. Zofia wróci do domu po korepetycjach z angielskiego około 18.00. Na wszelki wypadek odczekał dwie godziny, oglądając Discovery. Dowiedział się między innymi, w jaki sposób produkuje się porządne amerykańskie grille ogrodowe (program *Jak to jest zrobione?*), a także odkrył, że nie można zrobić włamu do banku, wdrapując się za pomocą magnesowych macek po szybie wentylacyjnym, co udowodnili jego ulubieni *Pogromcy mitów*.

Wpół do piątej wypił duszkiem co najmniej pół litra Udobruchanego Morfeusza, odrobinę odlotowego drinka wylał na pościel, a szklankę położył na podłodze między pustymi opakowaniami po tabletkach. Pomyślał, że – jak na prawdziwego samobójcę przystało – powinien napisać do kogoś list pożegnalny i że ze wszystkich ludzi, których znał, na jego ostatnie słowa zasługuje jedynie Zofia.

Kochana Zofio, mógłby napisać, nie słuchaj tych, którzy będą próbowali Cię przekonać, że samobójstwo jest aktem tchórzostwa, że nadzieja jest matką głupich i że nic dwa razy się nie zdarza. Zawsze podejrzliwie patrzyłem na aforyzmy i okrągłe zdania, które miałyby zawierać jakąś prawdę o życiu. „Nic dwa razy się nie zdarza” mógł powiedzieć tylko ktoś, kto nigdy nie zobaczył komunikatu

„wystąpił nieoczekiwany błąd systemu Windows i zostanie on zamknięty”. Moje samobójstwo jest wykalkulowanym afektem. Jeśli ktoś Ci powie, że nie ma czegoś takiego jak wykalkulowany afekt, zanim się zgodzisz, zastanów się dwa razy. Szukaj prawdy w oksymoronach i paradoksach. Ufaj własnemu doświadczeniu, a nie bezmyślnie powtarzanym sentencjom. To mój duchowy testament. Zawiera on tyle mądrości, co menu z Pizzy Hut, ale przynajmniej nie wciskam Ci kitu. Jeśli istnieje coś takiego, jak życie pozagrobowe, dam Ci znać.

Podpisałby się Ojciec Wąż. A gdy to pomyślał, zanucił pod nosem: „Mama żmija, ojciec groźny wo-ąż. Aj! Aj! Spytaj, kogo kąsa wcio-ąż”. To była ich wspólna, Zofii i Maksymiliana, przeróbka kawałka *Mamma Mia!*, którą śpiewali, gdy trzeba było rozśmieszyć naburmuszoną mamę Zofii. Maksymilian musiał zaśpiewać tę wersję za każdym razem, gdy wjeżdżał na most Siekierkowski, na którym ją wymyślili. Podobnie jak za każdym razem, kiedy wpadł mu w oko napis „Kurczak z różną”, musiał powiedzieć: „Zjeść go można”, a gdy widział szyld „Dorabianie kluczy”, musiał koniecznie dodać „i ideologii”.

Próbował przypomnieć sobie więcej słownych natręctw, ale do jego mózgu nadciągała już pierwsza fala rozpuszczonego we krwi Udobruchanego Morfeusza, więc myśli zaczęły blaknąć i znikać jedna po drugiej.

Maksymilian zamknął oczy i czekał.

– Nie gniewaj się, ale ten twój pistolet sprzedałam na allegro. Potrzebowałam kasę na nowe Busta Gripy. No a poza tym bałam się, że się zastrzelisz – powiedziała ubrana w strój pletwonurka Zofia, która pierwsza wyłoniła się z ciemności.

– Przecież nie mógłbym się zabić, to tylko wiatrówka. Na śrut. Wiesz, że się leczę psychiatrycznie – nikt by mi nie sprzedał broni na ostrą amunicję. To moje zabijanie się Waltherem było symboliczne. Co to są Busta Gripy? – zapytał Maksymilian, mrużąc oczy.

Stał naprzeciwko córki na pustyni Mojave, sześć mil na wschód od Calico. W XIX wieku zjeżdżali tutaj poszukiwacze skarbów. Opuszczona dokładnie sto lat temu dziura w Kalifornii jest dzisiaj jednym z najsłynniejszych miast-duchów na świecie.

– Busta Gripy to glany, tato. Na piętnaście dziurek, bardzo wysokie. Miałam nadzieję, że cię uratuję – powiedziała Zofia, osłaniając oczy od gryzącego słońca. – Ale widzę, że nie dałam rady.

– Oczywiście, że dałaś. Jeszcze nie umarłem. Musisz mnie tylko stąd wyciągnąć. Zadzwoń do dziadka, niech po nas przyjedzie.

– Dziadek nie ma czasu. Poszedł do klubu seniora, żeby zagrać w karty.

– Córeczko, co ty wygadujesz, do jakiego klubu? Weź się w garść. Jeśli dziadek nie może, zadzwoń po babcię...

– Muszę już iść, naprawdę. Za pięć minut mam zajęcia korekcyjne na

basenie. Cześć!

– Przecież tu nie ma żadnego basenu! Skały i piasek, nic więcej.

– *Adios!* – powiedziała Zofia i ruszyła w stronę Calico, ciągnąc za dwumetrowy ogon martwego Szwarzwalda.

Przynajmniej ten skurwiel w końcu nie żyje, jestem pierwszy w sypialni, hurra!, pomyślał Maksymilian. Chciał pobiec za Zofią, żeby ją przytulić. Prawie nigdy się nie przytulali, cholera, chciał pobiec, ale nie mógł zrobić kroku. Zobaczył, jak po przejściu kilkudziesięciu stóp Zofia przystaje, obwiązuje sobie ogon Szwarzwalda wokół talii, odbija się od ziemi i daje nura w piaszczysty grunt.

– Tak łatwo się nie wywiniesz, sukinsynu – usłyszał za sobą skrzekliwy kobiecy głos. Próbował się odwrócić, ale szybko się przekonał, że to również nie jest możliwe. Popatrzył na swoje stopy i w końcu dotarło do niego, że od szyi w dół jest skamieniały. Wyglądał jak stojący po zasilek robotnik z pomnika Roosevelta w Waszyngtonie. – Zapłacisz za swoją zbrodnię. I za ten obrzydliwy napis na śmietniku, i za nieposegregowane śmieci, i za to, co zrobiłeś Uli – skrzeczała osiedlowa panna Marple, stojąc przed nim z aktówką w prawej ręce. – Mam tu wszystkie dowody, zdjęcia, zeznania i relacje świadków, no i oczywiście raport z mojego prywatnego śledztwa.

– A może ma pani również butelkę wody, bo jakoś zaschło mi w gardle? – zapytał, próbując przymilnie się uśmiechnąć.

– Dobrze ci tak, zwyrodnialcu! Nawet gdybym miała, to bym ją sama wypila, a jakby coś zostało, to bym wylała na twoich oczach! – zaryczała osiedlowa panna Marple, po czym zamieniła się w sępa, poszybowała w górę i zaczęła kręcić nad nim złowieszcze kręgi.

Niebo było pozbawione choćby jednej chmury, z nieba lał się żar, a do krążącej nad Maksymilianem panny Marple dołączyły inne sępy. Pewno to te cholerne nianie, pomyślał.

Szutrową drogą od strony miasteczka nadjeżdżał samochód. Gdy Maksymilian rozpoznał zrupieciałą toyotę avensis w kolorze buraka pastewnego, pomyślał, że znalazł się w piekle. Gruchot zatrzymał się po delikatnym drifcie u nasady wzgórza, wzbijając tumany kurzu. Kiedy po chwili pył opadł, Maksymilian zobaczył, że z toyoty wysiada trzech taksówkarzy, którzy zaczynają zawzięcie dyskutować. Maksymilian chciał do nich pomachać, ale zrezygnowany spojrzął na swoje ręce i dał sobie spokój. Pomyślał, że ich zawoła, jednak gdy otworzył usta, zobaczył wysypujący się z nich piasek.

W końcu Kręcioła otworzył drzwi pasażera i z toyoty wyszła cycata pogodynka. Poprawiła grafitową spódnicę, wyjęła z samochodu parasol przeciwsłoneczny i ruszyła w stronę Maksymiliana.

Miała na sobie kilkunastocentymetrowe szpilki, ale – choć wspinała się po stromym wzniesieniu – poruszała się z taką łatwością, jakby szła alejką centrum

handlowego. Stała przed Maksymilianem, przyjrzała mu się z zaciekawieniem i pocałowała go zimnymi ustami w czoło.

Maksymilian poczuł, że kamienna skorupa, w której był uwięziony, rozsypuje się w proch.

– Mogę jeszcze? – zapytał szczęśliwy, że znów może mówić.

– Co jeszcze?

– Czy mogę cię pocałować?

– Jasne – powiedziała cycata pogodynka, wkładając mu lodowaty język w usta.

Maksymilian delikatnie przytrzymał go zębami i zaczął ssać. Czuł, jak kojący chłód rozchodzi się po całym ciele.

– Skądś się znamy – powiedział, gdy język cycatki znalazł się z powrotem w jej ustach.

– Tak ci się tylko wydaje – odpowiedziała z uśmiechem.

– Mam na imię...

– Wiem, jak masz na imię, głuptasie – powiedziała. – Wiem o tobie wszystko – jestem twoim aniołem stróżem. Masz jakieś życzenia?

– Strasznie mnie suszy – poinformował ją Maksymilian, drapiąc się pod prawą pachą, która była zakurzona bardziej niż lewa.

– Już się robi! – odpowiedziała, wyciągając z kieszeni zakietu telefon. – Potrzebuję wypasionego cumulonimbusa, miğim! – rozkazała władczym tonem.

Po chwili nad głową Maksymiliana zawisła olbrzymia chmura kłębiasto-deszczowa, krople wielkości pereł zaczęły pieścić jego twarz, a chłodna woda popłynęła mu prosto do ust.

– Musimy lecieć – zawołała nagle pogodynka. Chwyła Maksymiliana w pasie i uniosła w górę. – Podoba ci się? – zapytała, gdy znaleźli się wysoko nad pustynią.

– Bardzo – odpowiedział zdumiony Maksymilian, który przez całe życie cierpiał na lęk wysokości. – Dokąd lecimy? – zapytał.

– W stronę West Cronese – powiedziała, wskazując palcem rozciągające się przed nimi wyschnięte jezioro. – Chcę cię komuś przedstawić. A teraz uważaj! Nurkujemy! – zawołała i po chwili zaczęli gwałtownie spadać w sam środek nieistniejącego jeziora.

Gdy popękana ziemia była tuż, tuż, wyhamowali, robiąc kilka koziółków w powietrzu, i powoli opadli na dwa leżaki w niebieskie paski. Na trzecim siedział kilkuletni chłopiec w bejsbolówce z daszkiem do tyłu i trzymał w ustach cygaro wielkości dorodnej cukinii.

– Witaj, Maksiu. Masz ogień? – zapytał.

– Nie mam, nie palę – odpowiedział Maksymilian.

– Kłamczuszek. Tchórz i kłamczuszek. A ty, kochanieńka, kłamiesz?

– Zawsze kłamię i dlatego nigdy nie oszukuję – odpowiedziała pogodynka, przypalając chłopcu cygaro zapalniczką z napisem FLAMES OF LOVE.

– Kto ty jesteś? – zapytał Maksymilian.

– Polak mały – odpowiedział chłopiec, puszczając do niego oko.

– To mój szef – wyjaśniła cycatka.

– Aha, no tak. To jasne – stwierdził Maksymilian, przyglądając się chłopcu.

Po chwili milczenia zapytał: – Co tu robimy?

– Nic. Siedzimy sobie. Opalamy się. Delektujemy się smakiem szczęścia – odpowiedział chłopiec, wypuszczając z ust gęsty kłęb dymu.

– Tak tu cudownie pusto – westchnęła cycatka.

– O tak. Nie ma nic, więc nie ma się czego bać. Czy to nie cudowne, Maksymilianie? – zapytał chłopiec.

Maksymilian chciał powiedzieć, że czuje się najszczęśliwszym człowiekiem we wszechświecie, ale nie zdążył.

– Żyjesz? – usłyszał po chwili. – Żyjesz? – To nie był głos niewyrośniętego nikotynisty.

– Co to my się z panem mamy! – jęknęła pielęgniarka-stewardesa.

Maksymilian podniósł powieki. Zobaczył wokół siebie samych znajomych. Poza pielęgniarką stali nad nim: podpity lekarz, kierowca karetki, Zofia i Romuald.

– Czy mogę prosić o szklankę wody? – zapytał Maksymilian. – Nigdy w życiu mnie tak nie suszyło.

Gdy po chwili Zofia wróciła z dzbankiem gazowanej Nałęczowianki, Maksymilian spojrział córce głęboko w oczy i zapytał szeptem:

– Kochanie, czy sprzedałaś Walthera na allegro?

Rozdział trzynasty

Zyjesz?

– Żyję. Przynajmniej tak mi się wydaje.

– Tak ci się wydaje czy żyjesz? Chyba jednak żyjesz, bo gdyby ci się nie wydawało, że żyjesz, to byś raczej nie żyła – mamrotał do siebie siny z przerażenia Maksymilian. – Nie przeżyłbym, gdybyś nie żyła, więc skoro przeżyłem, żyję, to ty też musisz żyć, więc całe szczęście.

Jego paplaninę zagłuszał rzęsiszty deszcz. Mimo ulewy wokół samochodu natychmiast zebrała się gromadka Ludzi Ciekawych Wszystkiego. Sporą jej część stanowili ludzie z przystanku tramwajowego, którzy podbiegli, gdy tylko Maksymilian wysiadł z samochodu, żeby sprawdzić, jak się ma ofiara, która zupełnie niespodziewanie wpadła mu na maskę. Wśród gapiów była żona Maksymiliana, a dokładniej rzecz ujmując, kobieta, którą Maksymilian wziął za swoją żonę. Gdy podeszła bliżej, okazało się, że w istocie przypominała nieco jego żonę, miała tak samo szeroko rozstawione oczy i perkaty nos z głębokim przedziałkiem między nozdrzami, tyle że była dużo starsza. Właściwie mogłaby być jego matką, gdyby Maksymilian nie miał już matki, która – gdyby znalazła się na miejscu kobiety z przystanku – nazwałaby go mordercą i natychmiast zażądała, by zabrać mu prawo jazdy i skazać go na dożywocie za zabicie niewinnej dziewczyny na przejściu dla pieszych.

Co prawda Maksymilian nie zabił dziewczyny (wciąż miał taką nadzieję) i nie zrobił tego na przejściu dla pieszych, lecz co najmniej dziesięć metrów za przejściem dla pieszych, ale jego matka i tak natychmiast wydałaby wyrok skazujący, stając po stronie niewinnej ofiary szaleńca za kierownicą, bo pieniądze pieniędzmi, więzy rodzinne więzami rodzinnymi, ale tym, co odróżnia nas od zwierząt, jest poczucie sprawiedliwości, Wysoki Sądzie.

Na szczęście kobieta, która mogłaby być jego matką, nie nazwała go mordercą. Stała nieruchomo i patrzyła na Maksymiliana zmatowionymi oczami, jakby obierała ziemniaki.

– Zrobić usta-usta? – zawołał jeden z gapiów, mniej więcej czternastoletni chojrak z twarzą obsypaną pryszczami.

– Poćwicz najpierw na koledze – odpowiedziała dziewczyna, schodząc z maski samochodu.

Kolega pryszczatego nerwowo zarechotał, po czym obaj, śmiertelnie urażeni, pokazali poszkodowanej środkowe palce prawych dłoni.

– Zawiozę cię do szpitala – powiedział Maksymilian i podał jej ciężką jak cholera, zmoczoną drelichową torebkę z napisem „*I'm not a plastic bag*”, którą ściągnął z maski. – Zanim dojedzie karetka, miną wieki.

– Zjedź lepiej na bok, zobacz, jaki korek – poradziła mu dziewczyna.

Maksymilian grzecznie wsiadł do samochodu i zjechał na chodnik, ustawiając się tuż za znakiem zakazu zatrzymywania.

– Zaraz wlepią ci mandat – powiedziała, pukając w szybę.

Gdy okazało się, że dziewczyna nie ma nawet najdrobniejszego draśnięcia, żądni krwi Ludzie Ciekawi Wszystkiego rozeszli się w poszukiwaniu ciekawszych zajęć. Część zawiedzionych, w tym kobieta, która miała być jego żoną, a mogłaby być jego matką, wsiadła do nadjeżdżającego tramwaju. Pozostali zajęli się czekaniem na cholerny cud, a przynajmniej na jakąś stłuczkę albo mordobicie, które znów choć na chwilę wyrwałoby ich z odrętwienia.

– Wsiadaj, bo się przeziębisz – powiedział Maksymilian.

Dziewczyna usiadła obok niego, mocząc welurowy fotel. Maksymilian włączył ogrzewanie.

– Nic sobie nie złamałaś?

– Pytasz, czy nic mi nie złamałeś?

– Tak. Nic ci nie złamałem?

– Chyba nie.

– Nic cię nie boli?

– Nie.

– Może jesteś w szoku, ale kiedy za moment wyjdiesz z szoku, być może coś poczujesz, poczujesz, że coś cię boli. Może jednak pojedziemy do szpitala?

– Co ty z tym szpitalem? Jesteś fanem *Ostrego dyżuru*? Nie wydaje mi się, żebym była w szoku. Boli mnie głowa.

– To na pewno wstrząśnienie mózgu, niech to szlag.

– Nie, boli mnie od rana.

– Chcesz tabletkę? – zapytał Maksymilian, sięgając do torby, którą trzymał na tylnym siedzeniu. Zawsze miał przy sobie xanax, paracetamol, no spę, ranigast, a od kiedy Zofia dziesięć lat temu zarzygała cały samochód, również aviomarin.

– Tak, poproszę. Choć nie powinnam, bo zdążyłam już dzisiaj połknąć całą tygodniową dawkę.

– Nie wiem, co się robi w takich sytuacjach. Nigdy dotąd na nikogo nie wjechałem.

– Ja też nie wiem. Nikt dotąd na mnie nie wjechał.

– Może trzeba wezwać policję?

– Nie.

– No to powiedz, dokąd mam cię zawieźć – powiedział i przekreślił kluczyk w stacyjce.

Maksymilian starał się na nią nie gapić, ale zupełnie mu to nie wychodziło. Siedziała wyprostowana i patrzyła przed siebie, a on siedział i udawał, że patrzy przed siebie, ale cały czas zezował w jej stronę, doprowadzając mięśnie gałki ocznej do bolesnych skurczów.

Miała gęsią skórę na ramionach. Kiedy pochyliła do przodu głowę, żeby delikatnymi dłońmi osuszyć kruczoczarne włosy, tak kruczoczarne, że aż granatowe, Maksymilian drgnął. Zobaczył długą i szczupłą szyję z mocno odznaczającymi się kręgami.

– Nawet mi nie zrobiłaś awantury, to dość dziwne – powiedział.

– A co by to zmieniło? Powinnaś się raczej cieszyć, że żyję. Chociaż niekoniecznie. Bo jeśli na przykład jutro się dowiem, że mam nieoperacyjnego guza mózgu, lepiej byłoby, gdybyś mnie rozjechała na śmierć, więc jeśli mam guza mózgu, spałaś robotę, a jeśli nie mam, warto się cieszyć, zamiast robić awanturę.

– Cholera – jęknął Maksymilian, patrząc na zegarek. – Po drodze muszę odebrać córkę ze szkoły.

– Jasne. A dlaczego nie nosisz obrączki?

– Czy żeby mieć córkę, trzeba być żonatym?

– A nie jesteś?

– Nie wiem.

– To ciekawe.

– Jeśli moja żona nie żyje, jestem wdowcem. Jeśli uciekła z kochankiem, jestem w separacji. Jeśli porwali ją łowcy narządów i jeszcze nie pokroili, jestem żonaty. Niestety, nie wiem, co się z nią dzieje, więc nie umiem odpowiedzieć na twoje pytanie. Wciąż jednak nie jest to powód, dla którego nie noszę obrączki. Zgubiłem ją, gdy Zofia, Zofia to moja córka, miała siedem lat. Poszliśmy do Łazienek, żeby nakarmić karpie i kaczki. Wtedy jeszcze jadłem ryby, bo myślałem, że ryby są tak głupie, że nie czują bólu, gdy się je zabija, ale kiedy zobaczyliśmy, że karpie są o wiele sprytniejsze od kaczek, postanowiłem, że już nigdy nie zjem karpia ani żadnej innej ryby. Nie wiem, dlaczego ci o tym opowiadam... Więc kiedy karmiliśmy mądre karpie i głupie kaczki, obrączka zsunęła mi się z palca i wpadła do wody. To był znak. Tak przynajmniej powiedziała moja żona, gdy wróciliśmy do domu, bo oczywiście od razu zauważyła, że nie mam obrączki, a kiedy jej powiedziałem, że zsunęła mi się z palca i wpadła do wody, moja żona wściekła się, że nie wskoczyłem do stawu, że nawet nie spróbowałem odnaleźć obrączki w tym pieprzonym mule, że to zsuniecie się obrączki i to moje niewskoczenie do wody to znak, a nawet dwa. Moja żona jest przesądna. Albo była – zakończył Maksymilian, włączając kierunkowskaz.

Zanim dojechali na róg Miodowej i Długiej, Maksymilian streścił nową znajomą całe swoje życie, no, przynajmniej ostatni tydzień swojego życia. Kiedy zatrzymywał samochód naprzeciwko postoju taksówek, przypomniał mu się film *Zawód: Szpieg*, w którym Robert Redford instruuje Brada Pitta, w jaki sposób dobry agent powinien wyciągać potrzebne mu informacje. Maksymilian byłby najgorszym szpiegiem w galaktyce – dziewczyna wiedziała o nim właściwie

wszystko, on o niej nie wiedział niczego.

– To jest Zofia – powiedział, gdy Zofia niechętnie usiadła na tylnym siedzeniu. Była naburmuszona, bo od kiedy mogła jeździć z przodu, doprowadzało ją do wściekłości, jeśli była zmuszona siadać z tyłu, bo z tyłu bardziej ją mdliło, była naburmuszona, bo ojciec spóźnił się całe dziewięć i pół minuty, a na dodatek trzymał na przednim siedzeniu jakąś cholerną gęs, OK, nawet ładną, może nawet bardzo ładną, ale jednak gęs. Faceci są beznadziejni, pomyślała Zofia, nie dalej jak tydzień temu zniknęła mu żona, a on już wozi na przednim siedzeniu jakąś pannę, która mogłaby być jego córką... Nigdy w życiu, pomyślała Zofia, nigdy nie mogłaby być mną, bo mnie nigdy nie przyszłoby do głowy, żeby tak BEZPARDONOWO, pomyślała: „BEZPARDONOWO”, zająć CZYJEŚ miejsce.

– To jest... – Maksymilian zawiesił głos, bo nie wiedział nawet, jak ma na imię jego niedoszła ofiara.

– Cześć, jestem Milena – powiedziała niedoszła ofiara.

– Jak? – spytała Zofia.

– Milena. Tak jak kobieta, w której kochał się Kafka.

– Jaki Kawka? Skąd go znasz? Ile masz lat? Gdzie mieszkasz? Od kiedy kumplujesz się z moim ojcem? Nosisz szkła kontaktowe? Czy słyszałaś, że banany powodują choroby weneryczne? – Zofia, która postanowiła jak najwięcej dowiedzieć się o swoim nowym wrogu, byłaby najlepszym szpiegiem w galaktyce. Zanim dojechali pod jedną z najbardziej okazałych kamienic na Filtrowej, gdzie za metr kwadratowy trzeba by zapłacić co najmniej piętnaście tysięcy, Zofia wyciągnęła z Mileny wszystko, czego nie zdołał wyciągnąć Maksymilian, a sama nie sprzedała żadnej informacji. Maksymilian przyglądał się jej odbiciu w lusterku wstecznym i usiłował doszukać się w jej twarzy podobieństwa do Roberta Redforda. Przynajmniej w ten sposób próbował sobie schlebić.

Rozdział czternasty

Świat doskonale wiedział, czego chce od Maksymiliana. Świat chciał, żeby Maksymilian regularnie szczepił się przeciw grypie i żeby chociaż raz w roku był przeziębiony. Świat chciał, żeby Maksymilian przestrzegał ograniczeń prędkości, żeby na świecie było bezpiecznie, ale chciał też, żeby Maksymilian nie przestrzegał ograniczeń prędkości, bo przecież świat musiał skądś wytrzasnąć gotówkę na utrzymanie urzędów mierzących prędkość i na zakup kolejnych urzędów mierzących prędkość, po to, żeby na świecie było bezpiecznie, a przede wszystkim, żeby nie było bezpiecznie, bo przecież gdyby na świecie było bezpiecznie, świat by zbankrutował.

Nic więc dziwnego, że świat chciał, żeby Maksymilian miał kartę kredytową, a najlepiej dwie albo trzy, żeby wciąż czegoś pragnął i żeby naturalnie nie wiedział, czego pragnie, bo dzięki temu świat mógł opędzlować więcej szybkich i bezpiecznych samochodów, dezodorantów, wiertarek udarowych i płyt z muzyką relaksacyjną. I dlatego świat nieustannie przypominał Maksymilianowi, że jest mężczyzną aktywnym, przedsiębiorczym, ambitnym, pewnym siebie, aspirującym, wiecznie młodym, atrakcyjnym, hojnym, oszczędnym, rozrzutnym i wymagającym. I żeby chciał być tym, kim nigdy nie uda mu się zostać. Świat chciał duszy Maksymiliana, czyli jego pieniędzy.

Ale świat chciał również jego krwi. Zwłaszcza świat reprezentowany przez osiedlową pannę Marple, która chciała, żeby Maksymilian sortował śmieci i żeby poniósł zasłużoną karę za swoją niegodziwość, za wulgarny napis na śmietniku, za śmierć żony, za wszystko.

Zacząło się od tego, że zeszłej jesieni Maksymilian sprawił przykrość Uli, niani z nosem wielkim jak płetwa grzbietowa rekina, wrzeszcząc na nią, żeby się zamknęła raz na zawsze, bo lepiej milczeć, niż kaleczyć własny język, bo mówi się włączać, a nie włanczać, Maksymilian sprawił jej przykrość w obecności innych nian przy oczku wodnym, wrzeszcząc że osiedle Lazurowe III powinno być miejscem wolnym od języka parobków i roboli, co Ulę bardzo dotknęło, bo Ula pochodzi z dobrego inteligenckiego domu, niezbyt zamożnego, ale jednak inteligenckiego, więc Ula poskarżyła się swojej ciotce, czyli osiedlowej pannie Marple, która przecież osobiście poleciła Ulę Lipskim, sąsiadom Maksymiliana, rodzicom dwóch słodkich robaczek, które uwielbiały Ulę, każdy uwielbiał Ulę, między innymi Ulę uwielbiała Lipska, matka rozpieszczonych matołków, uwielbiała ją za to, że Ula była brzydka, więc prawdopodobieństwo romansu z ojcem słodkich robaczek wynosiło słownie zero, Ulę uwielbiał również Lipski, bo Ula, w przeciwieństwie do jego żony, w miarę znośnie gotowała, wszyscy, kurwa mać, uwielbiali Ulę, tylko nie ten ćwok, który robił awantury o byle głupstwo, jakim jest przecież artykulacja słowa włanczać, bo i cóż z tego, że Ula mówi włanczać i że przez to, że

Ula mówi włanczać, słodkie robaczki, które spędzały z Ulą co najmniej trzy razy więcej czasu niż z rodzicami, również aż po grób będą mówiły włanczać, skoro za góra dwadzieścia lat wszyscy będą mówili włanczać, a może nawet będą tak pisali, bo przecież język jest żywy i nie ma się co upierać, by włanczać i wziąć, skoro większość już dziś mówi włanczać i wziąć, a skoro większość tak mówi, to znaczy, że za góra dwadzieścia lat wszyscy tak będą mówili, bo na tym właśnie polegają rządy większości, również w sferze języka, na tym polega rozwój i zmiana, metanoja, metamorfoza, trudnych wyrazów może nauczyć się byle cep, wielka mi sztuka, no naprawdę, więc ci, którzy bronią się przed włanczaniem, powinni raczej pić mocną herbatkę z melisy albo chodzić na siłownię, żeby odreagować wewnętrzne napięcia, bo tacy frustraci, którzy odreagowują własne niepowodzenia, wytykając innym jakieś błahostki, to ci sami, którzy robią awanturę na drodze, gdy ktoś nie włancza, właśnie, że nie włancza, nie włancza, nie włancza, nie włancza, nie włancza, nie włancza na czas kierunkowskazu, wielkie mi nieba, mówiła osiedlowa panna Marple po tym, jak usłyszała, że o języku Uli ten pajac powiedział język parobków i roboi, Uli, którą wszyscy na osiedlu Lazur III uwielbiali, poza, oczywiście, Pojebem Z Czwartego, więc kiedy usłyszała, że ten pokurcz nawrzeszczał na Ulę przy innych nianiach, postanowiła, że pokaże mu, co oznacza zemsta kobiety, dla której rodzina, nawet jeśli to dalsza i niezbyt urodziwa rodzina, jest rzeczą świętą. A świętość karmi się krwią.

Świat doskonale wiedział, czego chce od Maksymiliana, ale Maksymilian nie miał bladego pojęcia, czego chce od świata. No może poza tym, żeby świat nie kaleczył języka i żeby uwolnił go od lęku i od żony.

A przecież już czternaście lat temu mógł ruszyć dupsko, stanąć na szczycie Mount Everestu, a przynajmniej na Górze Szczęśliwickiej, rozłożyć szeroko ramiona jak Leonardo DiCaprio w *Titanicu* i krzyknąć: „Jestem panem świata”, a przynajmniej: „Jestem panem własnego życia”, co właściwie wychodzi na jedno. Mógł chwycić świat za rogi, dosiąść go i oswoić.

Ale Maksymilian nie potrafił nawet oswoić kota. Nie miał przyjaciół, a od imion kolegów z pracy lepiej pamiętał nazwy psychotropów. Częściej też słyszał „weź się w garść” niż „dzień dobry”. Wyobrażał sobie, że gdy umrze, życzliwiej pomyśli o nim podpity grabarz niż własna córka. Czy to są okoliczności łagodzące, Wysoki Sądzie?

Przez większość dorosłego życia Maksymilian czuł się jak telewizor. Dokładniej rzecz ujmując, jak telewizor na stendbaju. Gotowy do włączenia, gotowy, by pokazać najbardziej wciągający melodramat, najśmieszniejszą komedię, najciekawszy film przyrodniczy albo mecz. Brakowało tylko kogoś, kto mógłby go uruchomić.

Żona Maksymiliana nie miała zamiaru go włączyć, zwłaszcza że wołała włączyć czterdziestocalowe Sony niż sześćdziesięciosiedmocalowego

Maksymiliana, bo czterdziestocalowe Sony pokazywało jej przynajmniej pięć razy w tygodniu Adama, najpiękniejszego mężczyznę, jaki kiedykolwiek chodził po Ziemi, pokazywało jej program kulinarny Marthy Stewart, pokazywało najgłupsze reklamy, jakie można było sobie wyobrazić, które i tak były o wiele ciekawsze od tego, co miał do zaproponowania jej mąż, najbardziej nijaki mężczyzna, jaki kiedykolwiek chodził po Ziemi.

Przy czterdziestocalowym Sony mogła mówić „nadwyreżać”, a Sony się jej o to nie czepiało. Mogła marzyć i zapominać, że zamiast rozkwitać u boku przystojnego prawnika Adama, który właśnie postanowił opuścić żonę, więc teoretycznie był do wzięcia, więc zamiast rozkwitać, od 5223 dni wędnie u boku sprzedawcy szkoleń, którego raz na dwa tygodnie trzeba przywozić od czubków, bo ubzdurało mu się, że ma jakieś lęki.

Każdy ma jakieś lęki, przecież nawet ona ma lęki. Po pierwsze, boi się, że robią się jej zmarszczki, które najchętniej wygładziłaby botoksem, po drugie boi się, że trafi w ręce jakiegoś łamagi w stylu jej męża, który spieprzy robotę i oszpeci ją na zawsze, po trzecie, boi się, że w przyszłym sezonie nie wejdzie w spodnie rozmiar 38, bo choć nie je tyle, co kiedyś, z roku na rok coraz trudniej spalić mnożące się kalorie, po czwarte, boi się, że już nigdy się nie zakocha, a po piąte przez dziesiąte boi się tysiąca rzeczy, ale to przecież nie powód, żeby opowiadać o nich ludziom z pogotowia ratunkowego.

Co mnie podkuśiło, żeby zadzwonić na tę cholerną astrolinię, myślała każdego z 5223 dni, których nawet nie musiała liczyć, bo liczył je za nią Maksymilian, robił za nią wszystko, starał się, owszem, ale co z tego, że się starał, gdy żeby nie wiadomo jak się starał i tak nigdy siebie nie przeskoczy, nigdy nie przestanie być czepliwym złośliwcem, który uprzykrzył jej każdy z 5223 dni, i nigdy nie robi nic, żeby to przerwać, bo żeby to przerwać, trzeba mieć jaja jak Adam, trzeba po męsku wyjść i trzasnąć drzwiami, i pójść sobie w cholerę, a Maksymilian nie potrafił powiedzieć jasno, że odchodzi, ale nic dziwnego, bo przecież nie jest w stanie zrobić nawet zakupów w supermarkecie, bo w kolejce dostaje duszności, więc co tu mówić o jakiejś męskiej decyzji, nigdy jej nie zostawi i nigdy nie przestanie się bać.

Nigdy nie przestanie się bać, myślała także wtedy, gdy po raz ostatni wiozła go ze szpitala na Nowowiejskiej do domu. Ale chociaż wszystko wiedziała doskonale, w tej kwestii srodze się myliła.

Rozdział piętnasty

Szwarcwald cierpiał. Agresywny i wyjątkowo gnuśny kastrat rasy syjamskiej został pierwszą ofiarą Nowego Porządku. Poniedziałek, szesnastego kwietnia, dzień, w którym Maksymilian postanowił się zabić, był dla Szwarcwalda ostatnim dniem luksusu. Do ceramicznej miski młodsza pani wrzuciła resztki aromatycznej mokrej karmy Sheba o smaku królika. Łapy lizać. We wtorek rano, ku swojemu nieopisanemu zdziwieniu, Szwarcwald zastał na swoim kocim Rosenthalu proletariackiego Whiskasa, którego nie tknął przez cały dzień. Poddał się dopiero wieczorem, gdy okazało się, że na normalne jedzenie nie może już liczyć.

Ale Whiskas to nie było najgorsze żarcie, jakie znalazł w misce. Następnego dnia ktoś włożył do Rosenthala zawartość kuwety – tak przynajmniej pomyślał Szwarcwald, gdy zobaczył przed sobą suche bobki z dyskontu. Jeśli myślicie, że będę jadł to coś, czego nie tknąłby nawet pospolity dachowiec, jesteście w błędzie, pomyślał w środę, rozpoczynając tym samym czterdziestoosmiogodzinny strajk głodowy.

W piątek skapitulował, przegryzając z obrzydzeniem odrobinę bobków, w których wyczuwał głównie popiół i mielone chrząstki wołowe. Przestał być myśliwym, został padlinożercą. Był zde gustowany, dezorientowany i zdesperowany. Postanowił się bronić. W nocy z piątku na sobotę rozpoczął odwetową akcję Wymiot. Nie udało mu się, niestety, napaskudzić w sypialni, na co miał największą ochotę.

Represje okazały się dotkliwe. Weekend spędził w kiblu, gdzie mógł deliberować nad kompletnym upadkiem obyczajów. Zwłaszcza że w kuwecie zamiast ekologicznego drewnianego żwirku zastał ordynarne gliniaste ziarna, które pyliły, gdy tylko próbował po sobie posprzątać. Szwarcwald był niepokieszony, bo tylko raz w ciągu tego tygodnia udało mu się dziabnąć rękę, która to wszystko uczyniła.

Gdy opuścił dwudniowy karczer, kontynuował akcję Wymiot, ale zmasowany atak nie przyniósł spodziewanych efektów. Dopiero po kilku dniach dostał puszczkę Sheby i to tylko dlatego, że wraz z młodszą panią znalazł się u dziadków, którzy zlitowali się nad jego podniebieniem.

Nie tylko Szwarcwald odczuł skutki Nowego Porządku. Kiedy odwieźli gęś, która BEZPARDONOWO zajęła jej miejsce, ojciec powiedział Zofii, że od jutra musi dojeżdżać do szkoły sama. Bo, po pierwsze, on czuje powypadkową traumę i boi się, że wkrótce wjedzie w stado zakonnice, po drugie, Zofia jest już wystarczająco dorosła, by samodzielnie poruszać się po mieście, a po trzecie i najważniejsze, benzyna wciąż drożeje, a toyota avensis pali na trasie dom – szkoła średnio 13,5 litra, na trasie szkoła – dom 11,5 litra (jest już prawie po korkach), a to w końcu, jak pokazuje nawigacja, 14,2 kilometra w jedną stronę, w dwie strony

28,4 kilometra, co należy przemnożyć przez dwa, bo przecież zawieźć-przywieźć, czyli prawie 57 kilometrów dziennie przemnożone przez pięć dni w tygodniu, czyli 285, razy cztery tygodnie to 1140 kilometrów, 1140 kilometrów miesięcznie, czyli 142,5 litra benzyny, co przy cenie 4,37 za litr daje ponad 6 stów oszczędności, nie licząc zużycia opon, oleju, klocków hamulcowych i tak dalej.

To mnóstwo pieniędzy, zwłaszcza w porównaniu z ceną ulgowego biletu miesięcznego, a przecież można wykupić kwartalny albo półroczny, będzie jeszcze taniej, no bo kiedy zawoziłem cię, jadąc do pracy, koszty się dzieliły na dwa, poza tym metrem jest zdecydowanie szybciej, więc same zalety, mówił ojciec, który sam nigdy w życiu nie wsiadłby do metra, a ona robiła się zielona ze złości, bo gdyby nie ta gęś... Tak, to wszystko przez tę gęś, która BEZPARDONOWO zajęła jej miejsce.

– I koniec z colą – powiedział, gdy zatrzymali się na stacji benzynowej, gdzie tego dnia wszystko było Strasznie Drogie i w związku z tym kupili tylko Strasznie Drogą Benzynę. – Jeśli chcesz pić colę, rozbij skarbonkę.

Pozieleniała jeszcze bardziej, ale postanowiła nie wchodzić w ten zenujący DYSKURS. Ostatnio nauczyła się słowa dyskurs. To bardzo modne słowo, używają go feministki, a Zofia zastanawiała się właśnie nad tym, czy nie zostać feministką, bo również słowo feministka bardzo jej się podobało. W każdym razie brzmiało obiecująco.

– I zamiast płatków kukurydzianych z miodem i orzeszkami od dziś na śniadanie będzie owsianka. Płatki owsiane są cztery razy tańsze niż kukurydziane i sto razy zdrowsze, czyli czterystukrotnie biją na głowę kukurydziane. I co z tego, że wolisz kukurydziane, skoro trzeba dbać nie tylko o kieszeń, ale przede wszystkim o zdrowie. Od dziś tak często, jak się da, będziemy jeździć na obiady do babci albo do dziadków. Oszczędności będą niebagatelne, więc na obiady możemy jeździć samochodem. Zwłaszcza że dostaniemy żarcia na parę dni. Babcia gotuje pyszną pomidorową. Zresztą obie babcie świetnie gotują i to nie tylko pomidorową, którą przecież lubisz.

Zofia postanowiła nie odzywać się do ojca również dlatego, że się go po prostu bała. Od kiedy zniknęła mamusia, zachowywał się nieobliczalnie. Jeszcze bardziej niż dotychczas.

Wszyscy się dziwnie zachowywali. Na przykład nianie, które zaczepiły ją przy oczku wodnym, gdy wracała w poniedziałek z angielskiego (gdyby przytrzymały ją dłużej, być może pogotowie nie odratowałyby jej ojca, a wtedy musiałyby zamieszkać z dziadkami, którzy nie mają dostępu do internetu, a to byłoby jeszcze bardziej nie do zniesienia niż mieszkanie z nieobliczalnym ojcem).

– Pożyczysz nam klucz do piwnicy? – zapytała ni z tego, ni z owego Ula, niania z nosem wielkim jak płetwa grzbietowa rekina. – Chcemy coś sprawdzić.

– Co? – zapytała Zofia.

- Czy się nie mylimy.
- W jakiej kwestii?
- W kwestii zniknięcia twojej mamy. Czy nie uważasz, że twój tata zachowuje się ostatnio podejrzanie?

Zofia zauważyła, że ojciec zachowuje się ostatnio podejrzanie, ale skłamała, że nie zauważyła. A kiedy dwa dni później powiedziała ojcu o kluczu do piwnicy, który chciały pożyczyć te cholerne nianie, ojciec się zagotował i zaczął krzyczeć, że szkoda, że nie może znaleźć srebrnego Walthera i szkoda, że srebrny Walther to tylko pistolet pneumatyczny, zabawka, bo chętnie by te idiotki powystrzelał. Był tak wściekły, że Zofia się przestraszyła, że ojciec NAPRAWDĘ ma zamiar powystrzelać wszystkie osiedlowe idiotki i że jedyną jego troską jest teraz tylko to, jak zdobyć prawdziwego Walthera i odpowiednią ilość ołowiu.

Maksymilian szykował się na najgorsze. Bo choć świat wiedział, że Maksymilian jest świetnym sprzedawcą szkoleń, więc mógłby być również na przykład świetnym sprzedawcą płatków owsianych albo powierzchni biurowych, świat wiedział też, niestety, że Maksymilian miewa ataki paniki i że raz na dwa tygodnie musi paść w objęcia pielęgniarki-stewardesy, dlatego też świat mógł w najbliższym czasie zachować w stosunku do niego daleko posuniętą ostrożność, zwłaszcza że dopóki w kwestii zniknięcia żony Maksymilian nie udowodni swojej niezaprzeczalnej niewinności, świat będzie miał powody, by być w stosunku do niego bardziej nieufny niż kiedykolwiek dotąd i może zwlekać z ofertą nowej pracy.

Dlatego Maksymilian postanowił wprowadzić Nowy Porządek: zero nowych gadżetów, ubrań, książek, filmów, płyt. Zamiast płatków kukurydzianych, owsiane. Woda zamiast coli. Szary papier toaletowy zastąpi biały. I nareszcie jest pretekst, doskonały pretekst, by nie wyrzucać pieniędzy na bezprzedmiotowe spotkania z Jeszcze Brzydszym Kartezjuszem.

Maksymilian wziął kartkę, ołówek i gumkę, stworzył rubryczkę ma, obok niej rubryczkę winien, podzielił to, co ma, przez to, co winien (płatki owsiane, raty za mieszkanie i dyskontową karmę dla kota), i wyszło mu, że ostatnie pieniądze z rubryczki ma do rubryczki winien przepłyną za jedenaście miesięcy.

Oszczędzanie nie zawsze się opłaca, o czym Maksymilian przekonał się, gdy po raz pierwszy od wprowadzenia Nowego Porządku pojechał z Zofią na obiad do teściowej. Teściowa mieszkała na Mokotowie, niedaleko Radia, w szarym bloku z lat pięćdziesiątych. Bo choć była dzianą wdową po mężu prawniku, uważała, że nie należy rzucać się w oczy. Żyła skromnie, ponieważ jej zdaniem skromność jest oznaką prawdziwej elegancji. To właśnie w tym skromnym, eleganckim domu po raz pierwszy wypił z przyszłą teściową herbatkę z hibiskusa i najprawdopodobniej tutaj spłodził Zofię.

Maksymilian nie przyjechał w okolice Radia, żeby powspominać stare dobre

czasu. Blok, w którym mieszkała teściowa, znajdował się zaledwie 6,5 kilometra od osiedla Lazur III, w przeciwieństwie do mieszkania rodziców Maksymiliana, które znajdowało się na Ochocie, dokładnie 12 kilometrów od osiedla Lazur III. Było chyba jasne, że pomidorowa teściowej będzie bardziej pożywna od zupy własnej matki. Co najmniej dwa razy bardziej pożywna i tym samym dwa razy smaczniejsza.

Najpierw próbowała popsuć mu apetyt Zofia, która oznajmiła, że metrem byłoby do babci taniej. Maksymilianem zatrzęsło. Tuż po przekroczeniu bramy osiedla, gdy Zofia rzuciła swoją złotą myśl, zatrzymał toyotę, wyciągnął telefon i wykalkulował, co następuje: 13 kilometrów w obie strony przy średnim spalaniu 9 litrów (zaczął jeździć po taksówkarsku) daje 1,17 litra, Zofia natychmiast pożałowała, że wspomniała cokolwiek o metrze, 1,17 litra razy 4,37 to w sumie 5 złotych i 11 groszy, czyli właściwie tyle samo, co bilet w tę i z powrotem, więc twoja teza jest interesująca, ale fałszywa.

– Nie wiem, jak możesz cokolwiek przełknąć. Ja od dziesięciu dni nie miałam nic w ustach – powiedziała teściowa, gdy Maksymilian zmiótł z talerza stojącą przed nim zupę pomidorową.

– Przełknąłem tylko dlatego, że to najpyszniejsza pomidorowa, jaką kiedykolwiek jadłem – powiedział z przekonaniem Maksymilian. – Wprost nie mogłem się powstrzymać.

– Mam jeszcze ruskie, ale już chyba nie dasz rady? – spytała.

– Jakoś spróbuję.

– Dla mnie ze skwarkami – powiedziała Zofia.

– Poproszę – upomniała ją babcia.

– Poproszę – powtórzyła Zofia, przewracając oczami.

– Boże, moja Dzinia może teraz cierpi, może już nie żyje, biedaczka, a my tu sobie rozmawiamy o ruskich pierogach, to straszne, to naprawdę straszne – powiedziała teściowa i chusteczką bielusięnką jak z reklamy wytarła nieistniejące łzy. W ten sposób chciała dać do zrozumienia, że wylała już cały ich zapas na najbliższe dziesięć lat.

– Może nie cierpi... – odpowiedział Maksymilian.

– O Boże, nawet tak nie mów! – zachnęła się teściowa, dla której jasne było, że ten, kto żyje, cierpi, i że na luksus niecierpienia może sobie pozwolić jedynie nieboszczyk. – Czy aby na pewno obdzwoniłeś wszystkie znajome i przyjaciółki Dziniasi?

– Oczywiście. Zadzwoiłem nawet do jej kosmetyczki. Ja bez skwarek – powiedział, gdy teściowa sięgała po słoik z etykietą „Słonina 2007”. – Poproszę.

– I co?

– Nikt nic nie wie. – Maksymilian, mimo że był z teściową na ty, wolał nie wymawiać jej imienia, ani tym bardziej nie nazywać jej mamą, więc zwracał się do

niej per Wasza Nieobecność.

– Zosiu, dlaczego nic nie mówisz? Biedne dziecko. Ty nawet oczy masz jak Dziniusia, dlaczego to musiało spotkać właśnie nas?

– Oczy to akurat ma moje. Nos bez dwóch zdań, ale oczy ma po mnie. Można prosić o masło?

– Ojej, nie podałam? No widzicie, co się ze mną dzieje... Gdzie jest ta maselniczka, Boże, mój Boże, gdzie jest ta nieszczęsna maselniczka, umrę zaraz z rozpaczy – teściowa lamentowała, jakby wszystkie uczucia macierzyńskie przelała na maselnickę.

– To nic, może być na talerzyku albo po prostu urzniemy sobie po kawałku z papierka – zaproponował Maksymilian.

– Żartujesz?! Jak to z papierka? Papierek, toś sobie wymyślił! Talerzyk! Pamiętajcie, orkiestra gra do końca!

– Jaka orkiestra? – zapytała Zofia, wrywając miotającą się po kuchni babcię z maselniczkowego transu.

– Tak się mówi, gdy okręt tonie, Zosiu, tak się mówi, od kiedy Titanic zatonął, a orkiestra grała.

– Chyba jednak statek – powiedział Maksymilian.

– Co za różnica? To pływa i to pływa – odpowiedziała teściowa, zaglądając do zmywarki.

– No chyba, że akurat tonie – powiedziała Zofia.

– Zebrało wam się na złościwości, a pierogi stygną. Słabo mi.

– To może jednak talerzyk? – zapytała Zofia.

– Po moim trupie! Czyli już niedługo. Tak, już wkrótce będziecie mogli podawać masło z talerzyka albo nawet prosto z papierka, ale skoro jeszcze chodzę po tej ziemi, masło trafi na stół, jak Pan Bóg przykazał, w maselniczce. Jest! – ogłosiła triumfalnie teściowa, unosząc porcelanową maselnickę nad głowę, jakby pokazywała światu kamień filozoficzny. – Nie przy stole! – warknęła groźnie, gdy Maksymilian sięgnął po dzwoniący telefon.

– A jeśli to z policji? – zapytał.

– To poczekają. Kiedyś nie było telefonów komórkowych i ludzie jakoś sobie radzili. Teraz jak dzwonią, to od razu trzeba odebrać. Przecież jecie obiad! Skoro możecie jeść, skoro w ogóle możecie cokolwiek przełknąć, to jedzcie, a potem załatwiajcie swoje sprawy, rozmawiajcie, piszcie te esemesy, róbcie co chcecie. *O tempora! O mores!*

– Połuczyny po Tałantino – powiedziała Zofia z pełną buzią jedzenia.

– Co ty mówisz, biedne dziecko? – zapytała dobrotliwie matka Dziniusi.

– *Amores perros*. Popłuczyny po Tarantino. Quentin Tarantino to reżyser.

– Ja wiem, kto to jest Tarantino. I jest mi przykro, że moja wnuczka ogląda takie filmy.

- Jakie takie? – zapytała zadziornie Zofia.
- Wulgarne. Zbyt wulgarne i nafaszerowane zbędną przemocą. Na co czekasz, Maksiu? – spytała teściowa, patrząc z wyrzutem na zięcia.
- Jeśli powiedziałem zbyt cicho dziękuję, to przepraszam. Dziękuję. Były pyszne – odpowiedział Maksymilian, który nie wiedział, czego od niego oczekuje strażniczka przyzwoitości.
- A jeśli to z policji? – zapytała.
- Co z policji?
- Telefon. Skoro już skończyłeś jeść, wstań i oddzwon, dowiedz się, zrób coś!
- To nie z policji – odpowiedział Maksymilian, kiedy odsłuchał wiadomość.
- To znajoma, a właściwie nieznajoma, którą wczoraj przejechałem, to znaczy o mało jej nie przejechałem, i ta nieznajoma, która już właściwie jest moją znajomą, dzwoniła, żeby powiedzieć, że czuje się dobrze i nic sobie nie stłukła. Naprawdę pyszne te pierogi – dodał przymilnie.
- To kupne. Możesz iść do pani Jadzi na rogu i jej podziękować – rzuciła gniewnie teściowa. – Zamiast zajmować się pierogami, znajdź moją córkę, bo oszaleję z rozpacz!
- Maksymilian obiecał, że zrobi wszystko, co w jego mocy, czyli jak zwykle niewiele, grzecznie się pożegnał i uciekł z Zofią do samochodu.
- Co za histeryczka! – skrzywiła się Zofia.
- Daj spokój, nie było tak źle. Dostaliśmy przecież zupę i pierogi. Warto było.
- Tyle że zupa się wylała – powiedziała Zofia, wyciągając but z czerwonej kałuży.
- Nie martw się, i tak jesteśmy do przodu. Wiesz, ile kosztuje kilogram pierogów?

Rozdział szesnasty

Uznał, że już dość tej wojny, że wszystkie je bardzo przeprasza, że miał ciężki czas, dlatego chodził podminowany i stąd te niekontrolowane wybuchy agresji, ale obiecuje, że nigdy więcej nie powie nic przykrego. Na przeprosiny przyniósł kwiatki i czekoladki. Proszę spojrzeć, to przepyszne wedlowskie praliny. Ręczna robota. Dla sympatycznej Uli, która najwięcej od niego wycierpiała, ma bukiet białych róż. Drugi, nieco mniejszy, chciałby wręczyć uroczej pani Marcie, najwspanialszej pracownicy administracji, jaką w życiu widział. Pozostałe panie, które zebrały się tu dziś przy oczku wodnym, niech będą łaskawe przyjąć po symbolicznej białej róży. Biała róża jest przecież, o czym wszystkie doskonale wiedzą, symbolem niewinności.

– Mam nadzieję, że czekoladki osłodzą paniom ten pochmurny dzień – mówi Maksymilian, wręczając Uli dwa pudełka pralin i pierwszy bukiet. Kiedy Ula wsadza swój wielki nos między pąki kwiatów, wygląda niemal ładnie.

– Dziękujemy. Najwyższa pora – mówi osiedlowa panna Marple, wciąż łypiąc podejrzliwie na Pojeba Z Czwartego, który nieoczekiwanie postanowił zakopać topór wojenny. Maksymilian kłania się uprzejmie i żegna, a gdy znika w drzwiach swojej klatki schodowej, wataha niań łapczywie rzuca się na słodkości. Nianie się napychają, a Maksymilian rechocze, obserwując je z okna w sypialni.

Pierwsza pada Ula. Chwilę później również trzy pozostałe półanalfabетки leżą na trawie i wiją się w konwulsjach. Tylko cholerna panna Marple wciąż zachowuje pozycję wyprostowaną, co przy odrobinie dobrej woli można by uznać za przejaw człowieczeństwa. Albo jest odporna na kantarydynę, którą nafaszerował czekoladki, albo nie zdążyła się nimi nażreć. Znając jej podejrzliwość, raczej to drugie.

Przez lunetę, którą przytwierdził do niezawodnego Remingtona 700, Maksymilian widzi, jak osiedlowa panna Marple rzuca bukiet na ziemię i chwytą za telefon. Spokojnie, nie zdąży nigdzie zadzwonić. W magazynku czeka pięć siedmiogramowych naboju kaliber 7.62 mm, którymi Maksymilian udekoruje jej galaretowate cielsko.

Pierwsza kulka za włanczać. Przedziurawi jej prawą dłoń razem z telefonem.

Druga kulka za wziąć, roztrzaska lewą rękę.

Trzecia ukąsi jej prawe udo za kontynuować dalej.

Czwarta kulka za kupywać. Zanim administratorka padnie, pocisk zmiażdży jej lewe kolano.

Piąta kulka za całokształt. Rozłupie głowę osadzoną na otłuszczonej szyi.

Dość ambitne zadanie. Bo choć Maksymilian jest znakomitym strzelcem, musi się nie tylko uwijać, ale i mieć mnóstwo szczęścia – jeśli osiedlowa panna Marple zaryje w ziemię po pierwszym strzale, cała zabawa na nic.

Tak czy inaczej, najpierw uciszy pannę Marple, a potem, w przyływie miłosierdzia, dobije resztę zdychającego stada. Zanim pośle Ulę do diabła, odstrzeli jej nos. Niech diabeł nie cierpi – wystarczy, że ludzkość się nacierpiała, oglądając jej kulfon przez prawie dwie dekady.

Wstrzymuje oddech i ściskając w dłoniach kij od mopa, powtarza pod nosem: „Bang!, bang!, bang!, bang! bang!” Osiedlowa panna Marple obrywa w dłoń, w nogi, a na koniec w głowę, oblewa się juchą i w końcu pada na ziemię jak wielka foka. Ale po chwili podnosi się, otrzępuje, patrzy w jego stronę i pokazuje środkowy palec.

Boże, już nawet stare baby się nauczyły, myśli Maksymilian, podgrzewając mleko na owsiankę. Ciekawe, zastanawia się, ilu popaprańców takich jak ja fantazjuje o tym, żeby komuś rozwalić łeb? Ilu kombinuje, jak raz na zawsze pozbyć się żony, męża, szefa, kumpla-wazeliniarza albo sąsiada, który zaczyna remont o północy? Ciekawe, ilu z nich przestałoby marzyć, a zaczęło działać, gdyby mieli pewność, że im się upiecze i że nie wylądują na ćwierć wieku w jednej celi z seryjnym mordercą, miłośnikiem ćwikły i szant. Kto by wówczas odłożył siekiere czy spluwę, kto by wyłączył przystawioną do gardła piłę tarczową, tłumacząc sobie, że to nie fair albo że nie wypada, kto by się wykpił zdaniem typu: „Dziś, Karolu, nie przerznę cię na pół, ponieważ nie chcę poplamić mej sukienki w groszki, która kosztowała tysiąc”. Cóż, niektórzy mdleją na widok krwi, ale w końcu zamiast piły tarczowej można użyć poduszki, myśli Maksymilian, mieszając owsianego gluta.

Miłość do bliźniego rozkwita, skoro w kraju F.F. Chopina na jedno morderstwo przypadają cztery samobójstwa. Glut jest gęsty jak melasa. Łyżka stoi. Maksymilian się zastanawia, dlaczego ludzie chętniej zabijają samych siebie niż innych? Czy to nie dziwne, że udęczony mąż zamiast zarznąć żonę, która notorycznie zatyka odpływ wanny toną kudłów, woli sam się zabić?

Samobójstwo jest oczywiście i tak o niebo lepszym rozwiązaniem niż spędzenie życia w łazience z gumowym odsysaczem. Nawet jeśli spędzisz sto lat w celi ze zboczeńcem zajadającym się ćwikłą, nikt cię za to nie odznaczy – ale za bohaterskie pół wieku u boku łysiejącej mękoły prezydent tego kraju przysłał Medal za Długoletnie Pożycie Małżeńskie.

Pięćdziesiąt lat z tą samą kobietą pod jednym dachem? Na szczęście można tego uniknąć. Wystarczy nieco odwagi, by skorzystać z wypróbowanych sposobów. Oto najprostsze, które proponują redaktorzy pisma „Zew krwi”, kwartalnika dla początkujących zbrodniarzy:

- 1) zaprosz żonę na wycieczkę autem,
- 2) wpadnij w niekontrolowany poślizg,
- 3) porządnie uderz prawą burtą w drzewo.

Uwaga: za to można dostać osiem lat, ale zazwyczaj kończy się na wyroku

w zawieszeniu.

Innym sposobem pozbycia się kłopotu jest ordynarna zbrodnia w afekcie. Wystarczy wmanewrować żonę w zdradę:

1) w czasie, gdy małżonka ogląda swój ulubiony serial, zaproś do domu listonosza, hydraulika lub entomologa,

2) przekonaj go, że twoja żona lubi to robić z nieznanymi,

3) gdy koleś się do niej zbliży, wykończ oboje deską do prasowania.

Uwaga! Artykuł 148 § 4 kk wyraźnie stanowi, że: „Kto zabija człowieka pod wpływem silnego wzburzenia usprawiedliwionego okolicznościami, podlega karze pozbawienia wolności od roku do lat dziesięciu”. W czasie rozprawy wystarczy przeczytać sonet Szekspira i zemdleć, by dostać nie więcej niż dwanaście miesięcy.

Z tych praktycznych porad mogą skorzystać jedynie amatorzy, którzy zabijają tak, jak żyją: w pośpiechu, bez namysłu, byle jak. Mistrzowie, którzy dla obmyślenia zbrodni doskonale są w stanie poświęcić czternaście lat życia, nie trafiają do więzień, myśli Maksymilian. Ludzie są jednak zbyt leniwi, nawet do osiedlowego sklepu jeżdżą samochodami, więc komu by się chciało spędzić czternaście lat nad obmyśleniem morderstwa, którego nigdy nie da się wykryć? No cóż, podsumowuje Maksymilian, nie są to przemyślenia godne Sartre'a, ale czy Sartre za każdym razem, gdy jadł owsiankę, myślał o tym, że życie jest po to, by ciągle grozić nam śmiercią?

– Jak możesz jeść owsiankę?! – pyta w słuchawce Romuald.

– Łyżką, przesuwając ją od miski ruchem wznoszącym w stronę otworu gębowego – odpowiada Maksymilian.

– Znowu się mądrzysz. Zabiję tego kota. Dziabnął mnie. Jak możesz wytrzymać z tym skurwysynem?

– Nie mogę, dlatego zostanie u was.

– Po moim trupie! – mówi Romuald. – Daj jeszcze pożyc, synku.

– Synku?! Tatuś, ja mam czterdzieści lat.

– Trzydzieści dziewięć.

– Co za różnica? Tak czy siak, nie mów do mnie synku.

– Dobrze, dobrze. Czy możesz zabrać swojego kota?

– To nie jest mój kot. Mój kot by się tak nie zachowywał.

– Rzucił się też na matkę, wyobrażasz sobie? O mało nie odgryzł jej łydki.

Ale ma refleks, skubana. Dała mu ścierą po ryju. Teraz siedzi w łazience.

– Matka?

– Kot, nie matka. On jest naprawdę nienormalny.

– Ma to po swojej pani.

– Nie przesadzaj, nie była aż tak szurnięta, żeby się rzucać na niewinnych ludzi z pazurami. To co, wyjeżdżasz na Mazury?

– Tak, tato.

– Kiedy wracasz? W sobotę czy w niedzielę, bo nie pamiętam?

– W niedzielę będą wracać wszyscy, nie zamierzam spędzić pół dnia w korkach. Wrócę w sobotę.

– Wiesz, że ten idiota sprzedał tą alfę sto pięćdziesiąt sześć?

– Który idiota?

– Sobota.

– Co sobota?

– No ten mój sąsiad Sobota.

– Ach, OK. No i?

– No i kupił alfę sto pięćdziesiąt dziewięć, esbek pieprzony.

– Przypominam ci, że ty też pracowałeś w SB.

– Co to za SB było, daj spokój, papierkowa robota. Nigdy nie próbowałem nikogo poćwiartować albo posadzić na nodze od krzesła. A ten, popatrz, rzeźnik pierdolony!

– Boli cię?

– Tak, doktor powiedział, że trzeba wyciąć, nie ma się co męczyć.

– Nie pytałem o twój woreczek żółciowy.

– A o co?

– O to, czy cię boli, że Sobota kupił nową alfę.

– Mam go w dupie, niech se jeździ nawet lambordżini. I tak będę strzelał w te jego włoskie badziewia petami.

– Nie mówi się lambordżini, tato. Lamborgini, tak jak fungi, a nie fundzi.

– Wiesz, że jeden pomidor dziennie uchroni cię przed rakiem prostaty?

– Dlaczego mi o tym mówisz?

– Bo nigdy nie widziałem, żebyś jadł pomidora.

– No dobrze, ale skąd ci to przyszło do głowy akurat teraz?

– Gazetkę oglądam. W Carrefourze jest promocja. Dwójka chcą za kilogram. Kupić ci?

– Nie, dziękuję. Nie lubię pomidorów.

– Pamiętaj, prostatę masz tylko jedną. Na twoim miejscu polubiłbym pomidory i cynamon.

– A cynamon dlaczego?

– Bo ładnie pachnie. I też jest w promocji.

– No dobrze, muszę kończyć, więc może przejdiesz do rzeczy – mówi Maksymilian.

– Do jakiej rzeczy?

– Do rzeczy, po prostu. Przecież jesteś inteligentny chłop, wiesz, co to

znaczy – przejść do rzeczy. W SB też pracowali inteligentni ludzie.

– Coś się do tego SB tak przyczepił? Nagadali ci głupot, daj już spokój. To, że mieszkam w esbeckim bloku pod jednym dachem z oprawcami, nie oznacza, że sam się znęcałem.

– Do rzeczy.

– Właściwie to już jest po rzeczy. Wszystko ci chyba powiedziałem.

– To po co dzwonicz?

– Żeby się dowiedzieć, jak się czujesz.

– No i jak się czuję?

– Wściekły jesteś jak cholera.

– Jeśli chciałeś wiedzieć, jak się czuję, trzeba było zapytać.

– Po co mam pytać, skoro słyszę. Ja do niego.

– Co ty do niego?

– Matka pyta, kto do kogo dzwoni, więc mówię, że ja do niego, czyli że do ciebie. Też już jest wściekła.

– No to wszyscy troje jesteśmy wściekli.

– Ja nie jestem wściekły.

– A co z Sobotą?

– Z jaką sobotą?

– Z tym, który kupił alfę sto pięćdziesiąt dziewięć. Jesteś wściekły.

– E tam, wściekły. Po prostu wkurza mnie, że taki oprawca ma czelność obnosić się z wysoką emeryturą.

– Twoja też nie jest niska.

– Ale ja się nie obnoszę. I w życiu nikomu krzywdy nie zrobiłem.

– Polemizowałbym.

– Muszę kończyć, synku. Kręci się tu wokół mnie i patrzy spode łba, i jeszcze ten kot się czai, można umrzeć na zawał, a ja zamierzam dożyć setki. W niedzielę wracasz, tak?

– Tak, tak, w sobotę.

Rozdział siedemnasty

Powiedziała, że nic jej nie jest, nie ma żadnych wewnętrznych ani zewnętrznych obrażeń, nie licząc olbrzymiego siniaka na lewym udzie. To była ich pierwsza rozmowa przez telefon. Potem zapytała, czy żona się znalazła, a kiedy powiedział, że nie, skłamała, że jest jej przykro. Następnego dnia dostał od niej esemesa z pytaniem, czy lubi pływać żaglówką. Na myśl o szantach i żeglarskiej grypserze Maksymilianowi zrobiło się niedobrze, więc chciał odpisać, że nie znosi, ale skłamał, że uwielbia. No to może miałby ochotę wybrać się na długi weekend na Mazury? Jej ojciec kupił nową żaglówkę, więc jadą z przyjaciółmi, żeby ją wypróbować, będzie fajnie, no, daj się namówić, nie, nie będzie padało, w telewizji zapowiadali piękną pogodę.

Maksymilian przyjął zaproszenie, choć sporo go to kosztowało. Zwłaszcza kąpielówki, których szukał przez dwa dni. Najtańsze za 9,99 znalazł w Biedronce, ale w Biedronce nie było przymierzalni, więc z nich zrezygnował. W końcu trafił na okazję w Tesco – bardzo ładne niebieskie bokserki kąpielowe z napisem BodyGuard Style za 17,99, które – jak mu się wydawało – były idealne na tę okazję.

W dniu wyjazdu był nieco poddenerwowany. Kiedy po raz setny wyjrzał przez okno, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie zmienia się pogoda, przy oczku wodnym zobaczył stado spiskujących niań z panną Marple na czele, więc postrzelał do nich z mopa, potem zjadł owsiankę, porozmawiał z ojcem przez telefon, a gdy na wyświetlaczu Motoroli przeczytał esemesa o treści: „jesteśmy chwile wcześniej, nie spiesz się. poczekamy, luzik”, pożałował, że nie rozjechał Mileny.

„Luzik” to jedno z najohydniejszych słów, jakie słyszał. Może nie aż tak ohydne jak „spoks”, ale jednak ohydne. Nie wytrzymam tygodnia w towarzystwie kobiety mówiącej „luzik”, pomyślał Maksymilian, patrząc ze zwątpieniem na bokserki, które właśnie miał wrzucić do torby. Ostatecznie to go przekonało: do końca życia nie darowałby sobie, że jako bezrobotny wydał prawie dwie dychy na niepotrzebne gacie.

Luzik, mruknął pod nosem, chwytając torbę. Luzik, powiedział, zamykając drzwi. Luzik, luzik, luzik, mówił na kolejnych półpiętrach, żeby się uodpornić.

Luzik, luzik, luzik, powtarzał, idąc między blokami w kolorze lilaróż. Ten „luzik” to zły omen, pomyślał Maksymilian, który przed każdą podróżą musiał znaleźć jakiś zły omen, ale gdy minął bramę i zobaczył machającą przez okno samochodu Milenę, w jednej chwili zapomniał o luziku i złym omenie.

Milena siedziała za kierownicą błękitnego mercedesa 300 SE z 1962 roku. Samochód był starszy od Maksymiliana, ale – w przeciwieństwie do niego – w doskonałym stanie.

– Zachwycający! – powiedział zdumiony Maksymilian.

Milena tylko się uśmiechnęła.

– Cześć, mam na imię Amadeusz i jestem gejem – powiedział Amadeusz, będąc gejem, który wysiadł z samochodu, żeby otworzyć Maksymilianowi bagażnik.

Cześć, nazywam się Louis Vouitton i jestem podróbką, mrugnęła do Maksymiliana największa torba w bagażniku, będąc podróbką.

– Cześć, jestem Iwona, rozmawiamy właśnie o emocjonalnych traumach. No bo wiesz, jesteśmy pierwszym pokoleniem, które może śmiało powiedzieć, że transcenduje zwietrzały paradygmat niewolniczego familiaryzmu – powiedziała Iwona, będąc w stanie nieustającej słownej biegunki, gdy Maksymilian zajął miejsce na tylnym siedzeniu obok Amadeusza.

Również w środku mercedes 300 SE wyglądał, jakby przed chwilą zjechał z taśmy produkcyjnej. Maksymilian chętnie wsłuchałby się w przyjemne mruczenie trzylitrowego silnika, ale Iwona skutecznie zagłuszała jego bas swoim koloraturowym sopranem o barwie szlifierki.

Była typem typem elokwentnej idiotki, która musiała cały czas mówić, żeby się pozbyć przykrego wrażenia, że jej myśli płyną nadaremnie i znikają bezpowrotnie. Ponadto miała obsesję na punkcie artykulacji, bo choć od dwóch lat prowadziła w radiu program publicystyczny, wciąż nie mogła zdobyć karty radiowej, o której marzyła, więc każde słowo wymawiała z raniącą ucho Maksymiliana hiperpoprawnością, a więc „jabłko” zamieniało się w jej ustach w „jabłyko”, a „kastacja”, o której dość często wspominała na antenie, w „kasytryację”.

Maksymilian znosił to cierpliwie przez pół godziny, ale gdy stanęli w wielokilometrowym korku przed Nieporętem, dyskretnie wysunął ze szlufek spodni parczany pasek, owinał go wokół szyi Iwony i mocno szarpnął. Kark pękł z miłym dla ucha chrupnięciem, Iwona umarła w mgnieniu oka, ale nawet tego nie zauważyła. Miała do powiedzenia zbyt wiele istotnych rzeczy, żeby przejmować się drobiazgami.

W przeciwieństwie do swojej przyjaciółki, Amadeusz nic nie mówił, tylko grzecznie przytakiwał. Ale w końcu do tego służył.

Od dnia, w którym Polki poznały przygody krzywonożnej Carrie Bradshaw, co ambitniejsze z nich zapragnęły mieć w seryjnym wyposażeniu szpilki od Manolo Blahnika oraz powiernika geja, który idealnie skomponuje się z falbaniastą spódnicą i stukającymi pantofelkami. Amadeusz nie był ideałem, bo modę miał gdzieś i nie był przegięty. Gdyby nie to, że przedstawiając się, rzucił od niechcienia „jestem gejem”, Maksymilian nawet by się nie zorientował.

Czuł pulsujący ból głowy, gdy po pięciu godzinach jazdy wysiedli z samochodu przed luksusowo odrestaurowanym poniemieckim domem, który stał nad brzegiem jeziora Mamry. Milena weszła do środka, żeby przywitać się

z ojcem, ale oprócz gosposi w domu nie było nikogo.

Rozpakowali więc samochód i przenieśli bagaże na zacumowaną przy pomoście żaglówkę, na której burcie lśnił srebrny napis MILAREPA. Jak wyjaśniła Milena, Mila to straszny skrót od jej imienia, niech nikt nie waży się tak do mnie mówić, RE to Renata, czyli jej matka, a PA to Paweł, czyli ojciec. Amadeusz postawił żagle i wyprowadził żaglówkę z portu z taką zręcznością, jakby się tym zajmował codziennie od czasów Wielkiej Armady. Milarepa prześlizgiwał się dostojnie po falach, Iwona opowiadała o niedawnych czystkach w radiu, Milena milczała, a Maksymilian liczył gwiazdy. Gdy doliczył się 2373, zacumowali, zjedli kolację, wypili parę piw i położyli się spać, każde w swojej koi. Nad ranem Maksymilian poczuł, że ktoś kładzie się obok niego i delikatnie go obejmuje. Albo tylko mu się śniło.

Rozdział osiemnasty

Podinspektor Robert Neuman coś podejrzewał. Zadzwonił, gdy Maksymilian leżał akurat na dziobie Milarepy i gapił się na leniwie płynące cumulusy. Milena leżała obok niego i czytała *Fight Club* Palahniuka. Korzystali z ciszy, bo Iwona z Amadeuszem wzięli mercedesa i pojechali na przejażdżkę do Giżycka.

Minęły dokładnie dwa tygodnie od dnia, w którym zniknęła żona Maksymiliana, o czym, gdyby nie telefon podinspektora Neumana, Maksymilian nawet by nie pomyślał. Dwa tygodnie, co oznaczało, że jego żona nie wybrała się na wyprzedaż do Berlina ani nie została porwana dla okupu, bo gdyby tak było, już dawno dostałby cynk, gdzie i kiedy ma podzucić walizki wypchane pieniędzmi, których nie miał.

Maksymilian uczepił się wersji, że żonę porwali łowcy narządów. Teściowa Maksymiliana ograniczyła się jedynie do przypuszczenia, że jej córkę spotkało coś strasznego, choć czuła to właściwie od dnia, w którym po raz pierwszy zobaczyła przyszłego zięcia. Zofia uważała, że matkę pochłonął serial – ot, wskoczyła do telewizora, z którego nie miała zamiaru wracać, bo tam podobało się jej o wiele bardziej niż tutaj. Osiedlowa panna Marple wraz z watahą niań była pewna, że trzeba otworzyć piwnicę, żeby znaleźć słoiki oklejone etykietami „Peklowana wieprzowina 2003”. Maksymilian zastanawiał się, która wersja najbardziej przypadła do gustu podinspektorowi Neumanowi, o ile oczywiście nie miał własnej.

– Jak tam? – zapytał podinspektor Neuman, który najwyraźniej lubił spieprzyć sobie weekend i zamiast grillować albo zabrać dzieciaki do multipleksu na popcorn i film, wydzwaniał przy sobocie do domniemanego żonobójcy. – Coś pan wie?

– Nie, a pan? – odpowiedział pytaniem Maksymilian.

– Wiem trochę więcej niż wtedy, gdy się spotkaliśmy.

– Więc co nowego?

– Dla pana to raczej nic, ale dla mnie i owszem – powiedział wesoło podinspektor.

– Mianowicie?

– Chyba nic ważnego, ale kto wie, kto wie...

– Kto wie...

– Wie pan, chciałbym już coś wiedzieć ze stuprocentową pewnością, ale jak na razie to chyba wie to tylko pańska żona.

– Jeśli w ogóle coś jeszcze wie, biedaczka.

– Myśli pan, że może już nie wiedzieć?

– Nie wiem, ale tak jak pan wolałbym mieć stuprocentową pewność – powiedział Maksymilian, który najchętniej zamknąłby rozdział pod tytułem żona

i już nigdy do niego nie wracał.

– To oczywiste – powiedział podinspektor Neuman. W jego głosie dało się słyszeć entuzjazm kadeta, choć przecież niedoszły podróżnik zajmował się drugorzędną robotą policyjną od przeszło dwudziestu lat. Maksymilian był pełen podziwu. I czekał, kiedy wreszcie podinspektor Neuman przejdzie do rzeczy.

– Ale co, bo szczerze mówiąc, trochę się pogubiłem – powiedział Maksymilian.

– To kuter?

– Słucham?

– Wydawało mi się, że słyszę kuter. I mewy. Nad morze się pan wybrał, panu to dobrze. A ja tu się kiszę w moim biurze, obrastam kurzem, wędzę się w papierosowym dymie.

– Nie nad morze, na Mazury.

– Zazdroszczę.

– Tak, tylko strasznie tu tłoczno. W końcu to długi majowy weekend.

– Też chciałbym sobie tak ponarzekać, że na jeziorach tłoczno albo że słońce za bardzo przypieka.

– No to niech się pan wybierze gdzieś za miasto.

– Nierealne, niestety. Mamy braki kadrowe. Niedawno wymyślili urlopy tacierzyńskie i dwaj mi zwiali, żeby przewijać pieluchy, wyobraża pan sobie? No ale co się dziwić, skoro ich żony zarabiają więcej niż oni. Dlaczego nic mi pan nie wspomniał o pistolecie, że zapytam z czystej ciekawości?

– Zapomniałem – odpowiedział Maksymilian najbardziej bezbarwnym głosem, jaki potrafił z siebie wydobyć.

– Jak to zapomniałem?

– Po prostu.

– Myśli pan, że jestem w stanie w to uwierzyć?

– Myślę, że tak.

– To źle pan myśli.

– Nie sądziłem, że ta zabawka ma jakiegokolwiek znaczenie dla sprawy, to wszystko.

– Czy to prawda, że wygrażał pan żonie pistoletem?

– Nieprawda.

– A że chodził pan ze spluwą po mieszkaniu? – Choć podinspektor Neuman przeszedł od spraw błahych do, zdawałoby się, zasadniczych, ani na chwilę nie zmienił tonu. Wciąż był do rany przyłoż. Wciąż brzmiał jak zatroskany, miły gość, który postanowił zadzwonić do dawno niewidzianego przyjaciela. Maksymilian nie tracił spokoju. Gdyby podinspektor Neuman miał do niego poważną sprawę, nie dzwoniłby, tylko wezwał go na komendę. Przedstawiciele wymiaru sprawiedliwości nie dzwonią, gdy chcą kogoś skazać na dożywocie. Najwyraźniej

Halik się nudził.

– To prawda, chodziłem ze spluwą po mieszkaniu. Ale przecież to wiatrówka za pięć stów, replika Walthera P-88. Nawet gdybym chciał sprzątnąć żonę, nie mógłbym tego zrobić za pomocą wiatrówki, chyba to oczywiste. A poza tym po co miałbym ją zabijać? Przecież nie mam żadnych motywów.

– W sądzie mówi się na to niezgodność charakterów. Może na przykład chciał pan odejść od żony i nie wiedział pan, jak to zrobić, a może się pan z nią pokłócił, ostatnio przecież często się kłóciliście, zdenerwował się pan i uderzył ją niechcący tym Waltherem, no wie pan, nieszczęśliwy wypadek... Tak się tylko głośno zastanawiam... Ale zostawmy to, jest przecież długi weekend. Nie mam sumienia dłużej zawracać panu głowy. Miło było pogadać. Następnym razem niech się pan nie wstydzi powiedzieć, że chodził pan ze spluwą po mieszkaniu. I że się pan leczył psychiatrycznie. To w końcu nic takiego, nieprawdaż?

– Ataki paniki to sprawa nieco wstydliva. Może nie tak wstydliva jak hemoroidy albo syfilis, zwłaszcza syfilis po delegacji, ale jednak.

– Mnie się pan nie musi wstydzić. Ja już w życiu niejedno widziałem. Syfa też. I jeszcze na koniec drobna rada – proszę uważać na sąsiadów. Mam przed sobą całą stertę donosów na pana. A jak się żona gdzieś tam na jeziorach odnajdzie, niech pan da znać, to nam się statystyki poprawią. Aha, i niech pan wpadnie na komendę, żeby mi pokazać tą wiatrówkę, kiedy już pan wróci z wywczasów.

– To niemożliwe.

– Dlaczego?

– Bo zniknęła razem z żoną, tego samego dnia.

– Ciekawe. No nic, może się znajdzie. I żona, i wiatrówka. Pozdrawiam i do następnego. Aha, już naprawdę ostatnia rzecz. Lubi pan przetwory?

– Jakie przetwory?

– Mięsne, warzywne, owocowe. No takie przetwory spożywcze, rozumie pan.

– Rozumiem.

– To dobrze, że pan rozumie, ale czy pan lubi?

– A pan nie lubi?

– Ja lubię, ale chciałbym wiedzieć, czy pan lubi?

– Raczej tak. Ale chyba nie handluje pan na boku grzybkami marynowanymi, ha ha?

– Ha, ha, nie. Właściwie to tyle.

Maksymilian spojrział na Milenę, która podniosła głowę znad książki.

– To był ten mój policjant – powiedział, nerwowo uderzając telefonem o kolano.

– I co?

– Nic. Wciąż nic nie wiedzą.

– Kiedy rozmawiałeś ze swoim policjantem, zadzwoniła Iwona i powiedziała, że wróca później, bo wybrali się na masaż izometryczny.

– Co to jest masaż izometryczny?

– Nie mam pojęcia. Może elektrowstrząsy?

– Elektrowstrząsy dobrze by jej zrobiły – powiedział z przekąsem Maksymilian.

Milarepa obracał się wokół kotwicy rzuconej kilkadziesiąt metrów od brzegu. Maksymilian siedział na rufie zwrócony twarzą do jeziora, na którym roilo się od białych trójkątów. Zupełnie niespodziewanie poczuł ostry ból pod lewą łopatką. W ułamku sekundy w głowie Maksymiliana uruchomił się doskonale dopracowany schemat: zawał – umieram – telefon! – pogotowie przyjedzie tu w okolicach Bożego Ciała – wziąć xanax. Ale tym razem nie uległ panice. Odwrócił się za siebie, bo tuż po tym, jak poczuł ból, usłyszał głucho uderzenie o pokład. Podniósł z niego owinięty w białą kartkę kamień, którym oberwał w plecy. „Do dzieła, frajerze!”, przeczytał wykaligrafowaną dziecięcymi kulfonami wiadomość.

– Co ci jest? – zapytała Milena, przyglądając mu się z zaciekawieniem.

– Nic, wszystko OK – odpowiedział Maksymilian.

Na brzegu stał chłopiec z cygarem wielkości dorodnej cukinii w ustach. Gówniarz walił dłońmi o kolana i śmiał się do rozpuku, krztusząc się dymem.

Maksymilian wstał, podszedł do Mileny i ją pocałował. Pachniała tym czymś, czego Maksymilian nie czuł od co najmniej 5237 dni.

Rozdział dziewiętnasty

Jesteś pewna? – zapytała osiedlowa panna Marple, marszcząc czoło.

– Jestem pewna na sto procent, ciociu – odpowiedziała bez mrugnięcia Ula.

– Nie nazywaj mnie ciocią w pracy, do cholery! – zaskrzeczała ciocia Marta.

– Przecież nie jesteśmy w pracy.

– Ja zawsze jestem w pracy.

– Aha, to nie wiedziałam, przepraszam.

– Wyszedł sam czy z córką?

– Sam. Po córkę przyjechał już wczorek wieczorem ten stary dziad, który kiedyś do cioci, oj, sorry, do pani oko puścił.

– Oblech.

– No.

– No i co?

– No i zabrał tą Zosię i kota w klatce.

– Zmieścili się oboje?

– Czemu oboje?

– Powiedziałaś, że zabrał tą Zosię i kota w klatce.

– No nie, no Zosię i kota w klatce.

– No właśnie.

– Aha, no nie. Tylko kot był w klatce. Ta Zosia była na wolności. Niosła tą klatkę.

– W klatce to się nosi ptaki, jak na przykład papugi, kanarki, gile. Kota się nosi w transporterze. Jak chcesz mi pomagać, to wyrażaj się precyzyjnie.

– Przepraszam. Miał koszulę w taką zielono-niebieskawo-białą kratę i zegarek na prawej ręce, nie tak jak większość ludzi, która ma na lewej ręce.

– Kto miał ten zegarek?

– No ten stary.

– I co z tego?

– Miałam być bardziej precyzyjniejsza.

– Czasami mi się wydaje, że masz głowę tylko z tego powodu, żeby ci nie napadało do środka. Dobrze, że umiesz gotować, Uleńko. Przynajmniej z głodu nie zginiesz – powiedziała panna Marple, bawiąc się pękiem kluczy.

– Jest pani głodna? Mogę przynieść od Lipskich, mam obiad ze wczoraj, to odgrzeję.

– Nie trzeba, zjem w domu. Miał jedną torbę?

– Kto?

– Pojeb Z Czwartego, no naprawdę.

– Jedną, ale dużą. A dziad miał dwie. A dziewczynka jeszcze plecak. Na plecach.

- I nie pojechał swoim samochodem?
- Dziad pojechał swoim.
- Pytam o Pojeba.
- Nie pojechał swoim, przyjechali po niego, tak mówił Łukasz.
- Łukasz-Srukasz, jesteście siebie warci. Przecież on nie jest w stanie złączyć dwóch faktów razem do kupy, jak on w ogóle śmie pracować w ochronie, weź ty mi powiedz.
- No ale mówi, że ich widział. Go. Go widział. Że wsiadł do takiego odnowionego starego mercedesa i pojechali.
- Pewno pojechał na długi weekend, czyli nie wróci wcześniej jak za tydzień. Ale i tak na wszelki wypadek wejdziemy tam dzisiaj.
- A jak nas ktoś złapie na gorącym uczynku?
- Czyś ty już do reszty postradała rozum, dziewczyno? Jakim gorącym uczynku? Nie zapominaj, kim ja na tym osiedlu jestem! Mogę wejść do każdej piwnicy, każdej suszarni, każdego mieszkania, jakie tylko przyjdzie mi do głowy. I kto mi zabroni? Kto? No powiedz, kto?
- Nikt.
- To po co pleciesz o gorącym uczynku? Jaki to gorący uczynek, skoro pomagamy policji w ujęciu niebezpiecznego bandyty? No, zastanów się przez chwilę.
- No się zastanowiłam. To nie jest gorący uczynek, proszę panią.
- No widzisz. Masz klucz do ich piwnicy?
- Nie mam. Ta Zosia mi kazała się z jej tatami kątaktować.
- W jakiej sprawie?
- W sprawie kluczy. Ta Zosia powiedziała, że mi nie da tych kluczy do piwnicy bez wiedzy ojca.
- Zapytałaś ją wprost, czy da ci klucze do piwnicy?
- Nie czy da, tylko czy pożyczy.
- I powiedziałaś, po co ci te klucze?
- No że w sprawie zniknięcia jej mamy przecież.
- I dziwisz się, że ci nie dała?
- Nie.
- Właściwie czemu miałybyś się dziwić, co nie?
- Właściwie to czemu?
- Dobrze, wejdziemy mimo tego.
- To znaczy?
- Już nie pytaj. Nie odzywaj się. Po prostu słuchaj.
- Aha.
- Wejdziemy tam dzięki Łukaszowi.
- Fajnie!

– Słuchaj, a nie gadaj! Łukasz ma kolegę, który jest wyposażony w różne takie wytrychy, bo tak. Zawołamy go i on nam otworzy tą piwnicę. I potem tam wejdziemy, kiedy już będzie otwarte, rozumiesz, i wyciągniemy te słoiki. Tak ze dwa, żeby się pan Maksiu-Sraksiu nie zorientował. No i zawieziemy na policję, niech zbadają, bo on jak nic ją tam powkładał. Zanim wróci z tego majowego weekendu, będziemy wszystko wiedzieć. I dzięki naszemu śledztwu wręście go zamkną – powiedziała osiedlowa panna Marple, podejrzliwie rozglądając się po osiedlu. Zawsze rozgląda się tak, jakby na osiedlu działa się coś podejrzanego. Dzięki jej podejrzliwości mieszkańcy osiedla Lazur III czują się jeszcze bezpieczniej. Taki powinien być prawdziwy gospodarz. Wzbudzający bezpieczeństwo, myślała.

– Jest pięć po czwartej. Spotykamy się o dziewiątej.

– Gdzie? – zapytała Ula.

– Tutej – odpowiedziała osiedlowa panna Marple. – No przecież jak nie powiedziałam, że gdzieś indziej, to znaczy, że tutaj.

Rozdział dwudziesty

Gdy pocałował Milenę, poczuł coś, czego nie czuł od co najmniej 5237 dni. Patrzył na nią z czułością, gdy kładła mu głowę na kolanach. Miała na sobie dwuczęściowy strój kąpielowy w kolorze pogodnej zieleni i beżową, o trzy numery za dużą koszulę ojca z połyskującą pod kołnierzykiem metką Ermenegildo Zegna.

To coś, czego nie czuł od co najmniej 5237 dni, można by nazwać nagłym zapadnięciem się przepony, sympatycznym skurczem jelit albo miłosną kolką. Chociaż akurat sformułowania „miłosna kolka” Maksymilian raczej by nie użył. Jak większość mężczyzn, miał problem ze słowem miłość i jego pochodnymi. Nie miał natomiast problemu z tym, żeby zejść z Mileną do kajuty, zrzucić spodnie i przypomnieć sobie te komiczne ruchy posuwisto-zwrotne, charakterystyczne dla człowieka sapiącego, dumnego przedstawiciela królestwa zwierząt (podkrólestwo tkankowce, nadtyp wtórouste, rząd naczelne, infrarząd antropoidy, nadrodzina małpy wąskonose, rodzina człowiekowate).

Ciężka łódź kołysała się teraz w dwóch płaszczyznach. Wiatr huśtał nią z lewa na prawo, a Maksymilian przyczyniał się do delikatnych wychyleń na linii rufa-dziób. Był zadowolony, jakby sprzedał roczne szkolenie z gramatyki języka polskiego dla pięciu tysięcy nadwiślańskich niań. Cieszył się, że Iwona i jej wierny Amadeusz wybrali masaż izometryczny. Dość długi masaż izometryczny, bo gdy Milena i Maksymilian zasypiali koło pierwszej w nocy, ich wciąż nie było.

Połowy z nich miało nie być już nigdy więcej, o czym powiadomił Milenę Bardzo Rzeczowy Policjant z komendy w Węgorzewie, który zadzwonił bladym świtem.

– O kurwa – powiedział Maksymilian, gdy Milena streściła mu przebieg rozmowy. – Co teraz?

– Podpłyniemy do brzegu i jedziemy na komendę.

– Czym?

– Weźmiemy auto od ojca – powiedziała Milena, trąc oczy. – Ubierz się cieplej, bo na zewnątrz jest parę stopni.

I rzeczywiście, choć słońce już od jakiegoś czasu wdrapywało się ponad horyzont, jego zdolność grzewcza wciąż pozostawiała wiele do życzenia. Maksymilian, mimo że włożył polarową bluzę, trząsał się i siniał. Patrzył na Milenę, która zgrabnie wprowadzała łódź do portu. Gdy pochylił się, żeby wyrzucić na pomost linę, dostał w pysk lodowatą wodą. Zupełnie niepotrzebnie, pomyślał. Wiadomość o wypadku już dawno postawiła go na nogi.

Niewybredne żarty na temat inteligencji policjantów są krzywdzące. Bo choć rzeczywiście trzeba mieć nierówno pod sufitem, żeby za pół średniej krajowej wozić obrzyganych meneli na dołek, zdarzają się przecież wśród stróżów prawa niemalże bystrzaki, jak choćby podinspektor Robert Neuman, który przy odrobinie

szczęścia mógłby zostać nawet sławnym podróżnikiem albo pisarzem. Ale na Komendzie Powiatowej Policji w Węgorzewie, gdzie czuć było denaturatem i pastą do podłogi, z sobie tylko znanych powodów niezwykle błyskotliwi gliniarze udawali przed Mileną i Maksymilianem kompletnych półgłówków. Byli to jednak dobrzy ludzie, może nie aż tak dobrzy, jak wyobrażał to sobie Jan Jakub Rousseau, ale na pewno na tyle dobrzy, by nie przywłaszczyć sobie pięciu stów znalezionych przy nieprzytomnych ofiarach wypadku samochodowego, pomyślał Maksymilian.

– To właśnie tuż przed miejscowością Trygort ten piękny merc, ech, wozu też szkoda, tu mam dla pani kołpak na pamiątkę, auto wypadło z drogi w wyniku zaśnięcia lub prawdopodobnie wtargnięcia na jezdnię jakiegoś zwierzęcia udomowionego lub dzikiego albo też obywatela – mówił miejscowy Brudny Harry. – Nie zanotowaliśmy śladów hamowania, co dość dziwne, bo w takich sytuacjach kierowca raczej hamuje, więc wersja z zaśnięciem jest bardziej prawdopodobniejsza, to jeszcze zbadamy, koniec końców mercedes uderzył w przydrożne drzewo, co doprowadziło do nieodwracalnych obrażeń pasażera, a kierowcę do stanu ciężkiego, ale czy niezagrażającego życiu, to o tym na razie jeszcze nie wiadomo, bo jest na OIOM-ie w kętrzyńskim szpitalu, tam powiedzą więcej drobnych szczegółów.

Jak się okazało, Amadeusz stracił głowę. Niestety, nie dla przystojnego sprzedawcy ryb z Giżycka ani nie dla magika, który masażem izometrycznym sprawił mu ostatnią w życiu cielesną przyjemność. Amadeusz wyleciał przez przednią szybę mercedesa 300 SE tak niefortunnie, że jego łabędzia szyja spotkała się z linką od elektrycznego pastucha, więc na pokrytym soczystą trawą pastwisku wylądował już w dwóch częściach. Co ciekawe, jak napisali w raporcie policjanci z Węgorzewa, ten mniejszy z dwóch kawałków nieżywego denata (głowa) w czasie odnalezienia wciąż się uśmiechał. Godny odnotowania jest fakt, że przez chwilę policjanci zastanawiali się, czy głowa może się uśmiechać, czy raczej tylko twarz, ale postanowili niczego nie poprawiać, każdy wie, o co chodzi.

Iwona w czasie wypadku trzymała kierownicę tak kurczowo, że połamano rękę w nadgarstkach. O innych obrażeniach trudno w tej chwili coś powiedzieć, poinformował Milenę lekarz dyżurny. Jej przyjaciółka była w śpiączce. Mimo że na oddziale intensywnej opieki medycznej wsadzono jej w usta rurę, nadal nimi poruszała, opowiadając Amadeuszowi o wyższości klubu Chłodna 25 nad Czującym Barbarzyńcą, gdzie ostatnio dała spontaniczny miniwykład o wpływie feministycznego promiskuityzmu na europejską sztukę XXI wieku, a mimo to za kawę i ciastko musiałam zapłacić, czujesz?

Maksymilian przypomniał sobie, że tuż przed wyjazdem na Mazury rozmyślał o uderzeniu samochodem w drzewo, ale przecież nie konsultował tego z Iwoną. Oczywiście, Iwona mogła wpaść równolegle na ten sam pomysł, takie rzeczy się zdarzają, weźmy Darwina i Wallace'a, którzy w tym samym czasie

doszli do wniosku, że bliżej nam do małych wąskonosych niż do aniołów. Iwona tak jak Maksymilian mogła wymyślić zabójstwo samochodem, to w końcu nic trudnego, ale właściwie z jakiego powodu miałyby się pozbywać swojego ulubionego geja? Za to, że niebacznie skrytykował jej cięć do powiek?

Żona zniknęła, Amadeusz nie żyje, Iwona peroruje z rurą w ustach, o mały włos nie wprasowałem Mileny w asfalt – niezły bilans jak na dwa tygodnie, pomyślał Maksymilian. Ale ujrzał również jasne strony ostatnich dni: oddał Szwarcwalda rodzicom, uwolnił się od Jeszcze Brzydszego Kartezjusza, miał wizję na pustyni Mojave, nie musiał wciskać szkoleń, cztery razy w ciągu jednej doby pieprzył się z Mileną. Taką średnią miał w ostatniej klasie podstawówki, gdy miejsce Winnetou na ścianie zajęła Isabelle Adjani, którą Maksymilian zobaczył w słynnym filmie o krwiopijcach. Jak tak dalej pójdzie, znów pomyśli, że jest młody, bezkarny i wszechmogący.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Wielki czarny trójkąt przyklepiony do pokrzywionego prostokąta przesuwiał się po ścianie w kolorze lilaróż, który teraz, w świetle latarni, wyglądał nieco szlachetniej niż za dnia. To był cień Uli. Za nim podążały dwa inne cienie. Wyglądało to tak, jakby nos dobrodusznej niani służył im za kompas, za różę wiatrów, za drogowskaz. A przecież go nie potrzebowali. Doskonale wiedzieli, dokąd idą.

Choć mieli czyste intencje, musieli popełnić przestępstwo. Ta świadomość sprawiała, że w ich ruchach bez trudu można było dostrzec lekką nerwowość. Najbardziej zdenerwowany był cień osiedlowej panny Marple, który wyglądał jak olbrzymia rozedrgana kropla wody, przemierzająca świat na wypożyczonych w Bombaju słoniowych nogach. Trzeci cień, długi łuk z nabitą nań neandertalską czaszką, należał do Wytrycha, który nawet pannie Marple nie zdradził prawdziwego imienia i nazwiska.

Uważny obserwator nad cieniami dojrzałby dymki, dokładnie takie jak w komiksach, w których można było przeczytać myśli kłębiące się w głowach dziwnej trójki:

We więzieniu chyba nie ma dzieci, to jak mnie zamkną, co tam zrobię? Ciekawe, dlaczego kuje mnie pod pachą? Pewno z nerwów, zastanawiał się cień Uli.

No a jak już podkręcę silnik ze stu pięćdziesięciu tak na sto osiemdziesiąt koników, to potem jeszcze wymienię kaptcie na szersze, planował cień Wytrycha.

Jeśli wszystko pójdzie, jak zaplanowałam, i jeśli ta idiotka się nie wygada, zapuszczają go na wieki. Tylko spokojnie, tylko spokojnie, myślał wiadomo czyj cień.

Owszem, myśli te nie mówiły niczego nowego o świecie. Ale nawet gdyby zamiast nich na ścianie znalazła się odpowiedź na pytanie: „Skąd przychodzimy, kim jesteśmy, dokąd zmierzamy?”, nikt by jej nie zauważył. Mieszkańcy osiedla Lazur III nie byli uważnymi obserwatorami. Nie po to płacili dodatkowych parę stów miesięcznie za mur i ochronę, żeby jeszcze musieli być uważni. Poza tym, odpowiedź ta mogłaby zostać uznana za kolejny akt wandalizmu i osiedlowa panna Marple poprosiłaby swojego szwagra Tomka, żeby ją natychmiast usunął. Zwłaszcza że od jakiegoś czasu szarą eminencją osiedla Lazur III interesowało o wiele ciekawsze zagadnienie niż jakieś tam pytania, z których człowiek nie ma pożytku. To o wiele ciekawsze zagadnienie brzmiało: „Czy w dzisiejszych czasach jest jeszcze możliwa zbrodnia doskonała?”.

Żeby się tego dowiedzieć, musiała pokonać trzy stopnie wtajemniczenia. Po pierwsze, drzwi na klatkę schodową, po drugie, drzwi do piwnicy i po trzecie wreszcie, drzwi do piwnicy Pojeba Z Czwartego. Otworzyła je specjalnie

wypiętym z pęku kluczem. Równie łatwo miało pójść z drugimi drzwiami. W prawej kieszeni swetra klucz do klatki, w lewej kieszeni swetra klucz do piwnicy, dla ułatwienia również wypięty wcześniej z kilogramowego pęku. Ale przy drugich drzwiach okazało się, że klucz nie pasuje.

– To niemożliwe. Przecież ja się nigdy nie mylę – powiedziała osiedlowa panna Marple, patrząc z osłupieniem na Ulę i Wytrycha. – Może w naszych szeregach jest zdrajca, który podmienił klucz?

– Pani się odsunie – powiedział Wytrych, wyciągając z kieszeni swój mały przyborek, i pochylił się nad zamkiem.

Panna Marple poczuła, jak jej krew zamienia się w lawę. Był to efekt gniewu pomieszanego z obawą, że misternie obmyślany plan legnie w gruzach, i to przez jej własne niedopatrzenie. Bez paniki. Przecież gdyby ktoś ich nakrył, może powiedzieć, że Wytrych to nowy konserwator, albo nic nie musi mówić i też będzie dobrze. Te myśli powoli schłodziły jej krew. Jak na złość, zaczęła jej drzeć lewa powieka, co najprawdopodobniej było żywą ilustracją znanego powiedzenia „na złodzieju czapka gore” albo znakiem, że ma deficyt magnezu i witamin z grupy B.

Wytrych nie był arcy mistrzem, ponieważ dopiero uczył się swojego rzemiosła, ale otworzenie zamka i tak zajęło mu niecałą minutę.

– Cycuś glancuś – młasnął z zadowoleniem.

– Ale fajnie! Wyglądasz jak we filmie, naprawdę – powiedziała Ula.

– Nie gadaj tyle, tylko dawaj torbę! – fuknęła na nią panna Marple. – Tak jak się umawialiśmy, stoisz na czatach. Wiesz, co masz robić?

– No tak – odpowiedziała z przekonaniem Ula. – Zagaduję.

– Trudne, ale może dasz radę. Idziemy – szepnęła do Wytrycha.

– Ale tu to już się ktoś próbował dobrać do tej kłódki – powiedział Wytrych, gdy stanęli przed piwnicą Maksymiliana. – Tylko to jakiś tandeciarz był.

– Czemu?

– A bo wchodzić to trzeba tak, żeby nie było widać. A tu widać, że ktoś wchodził – rzucił pod nosem dwudziestodwuletni kryminalista.

Jego uwaga nieco zaniepokoiła pannę Marple.

– Dobrze, dobrze, pospiesz się. Mamy mało czasu – powiedziała.

Oczywiście mieli całe mnóstwo czasu, ale lepiej powiedzieć, że się ma mało czasu, bo w końcu brzmi to bardziej profesjonalnie i motywująco. Człowiek nie myśli wtedy o głupotach, tylko robi. Zwłaszcza człowiek, który, tak jak Wytrych, jeśli myśli, to na pewno wyłącznie o głupotach.

– To jakiś idiota jest – powiedział Wytrych, stękając nad kłódką.

– Kto znowu?

– No ten od tej piwnicy.

– Żebyś wiedział.

– No wiem.

- Ale dlaczego?
- Kto taką cholerną kłódkę zakłada, niech to szlag. Jak się ma ochroniarzy, to przecież można mieć nawet piwnicę bez kłódki, kto by się chciał tu włamać. To nie, ten sobie wstawił to kurejstwo z podwójnym grajcem.
- Chcesz powiedzieć, że tego nie otworzysz?
- Ja miałbym nie otworzyć? Bez przesadyzmu. Pewnie, że otworzę. Tylko się muszę z tym zdrowo ujebać.
- Bez takich mi tu – zaoponowała panna Marple, nerwowo miętosząc ekologiczną torbę w kwiaty. I w swojej podejrzliwości pomyślała, że może Wytrych oszukuje, mówiąc o jakimś podwójnym grajclu, bo chce ją naciągnąć na dodatkową stówę, ale zachowała czujność i nie zapytała, co to grajcel, żeby nie wyjść na amatorkę.
- Poszło. Panie przodem – powiedział Wytrych.
- Ciszej – syknęła panna Marple.
- O w mordę! – jęknął Wytrych, kiedy zobaczył wieżę stereo, telewizor Sony, dwa ekspresy do kawy i półki wypełnione drobnym sprzętem AGD made in Italy. – Nie, no teraz to czaję, czemu se pierdolnął takie zamykadło.
- Tylko mi tu niczego nie dotykaj – syknęła szefowa superskoku.
- Przecież mam rękawiczki.
- I tak niczego nie dotykaj. Biorę słoiki i wychodzimy. Potrzyj mi torbę.
- Tyle zachodu o kompoty? Zostawiamy sprzęt, a bierzemy żarcie? Tego akurat to już nie czaję.
- Nie musisz. Płacę ci nie za to, żebyś rozumiał, tylko żebyś mi kłódkę otworzył i zamknął. I żeby śladu nie było – powiedziała panna Marple, wkładając do torby dwa słoiki z etykietami „Peklowana wieprzowina 2003”.
- Może jeszcze ten kompicik truskawkowy? Napiłbym się, cholera.
- Ani mi się waż. Wychodzimy.
- To najdziwniejsza robota, jaką zrobiłem. Daje mi pani dwie stówki, żeby zajeść kolesiowi słoiki z mięsem. Co on w tych słoikach trzyma, sztuczne szczęki ze złotymi zębami? Bo jak to zwykle mięso, to za dwie stowy można by się nażreć nawet we Fukierze i jeszcze wódkę by podali.
- Fukierze-srukierze, ty nawet obok Fukiera nie przechodziłeś, więc nie gadaj głupot, dwie stowy... Za dwie stowy to ty tam się możesz co najwyżej poślinić do śledzika.
- Taa... Ale gdzie indziej to by się można najeść po pachy. Za dwie stowy to można wynieść z Tesco cały regał mielonki.
- Myślałam, że ty wynosisz taki regał bez płacenia. Zamykaj mi tą kłódkę i już nas tu nie ma. Nie filozofuj, tylko rób. Ciesz się, że masz dwie stowy. Ja się cieszę, że mam swoje mięso.
- Jazda, totalna jazda – powiedział Wytrych. Jak się okaże, że w tych

słoikach było coś zajebistego, to postraszy starą pizdę i mu odpali działkę, a jak nie, to ją wsypie i chuj. W ogóle się nie będzie pierdolił.

– Nikogo nie było? – zapytała Ulę panna Marple.

– No ja tu byłam. Cały czas. Tak jak pani kazała.

– Ty, a co ty do ciotki mówisz pani, pojebało cię?

– Nic ci do tego – warknęła panna Marple. – I bez takich. Idziemy.

I poszli w noc czarną jak opony stuningowanego golfa czwartej generacji. Dumny Wytrych porządnie nimi zapiszczał, ruszając spod bramy osiedla Lazur III. Ula musiała wracać do Lipskich, żeby sprawdzić, czy dwa słodkie robaczki smacznie śpią, tak jak je zostawiła.

Panna Marple zrobiła krótki obchód po osiedlu, jakby chciała szczątkom żony Maksymiliana po raz ostatni pokazać oazę szczęścia, wytchnienia i hipotecznej miłości. Po sprawdzeniu, że wszystko jest w porządku, administratorka podeszła do dwunastoletniej corsy, w której czekał Wincenty, włożyła słoiki do bagażnika, wgramoliła się do auta i sapiąc ciężko, cmoknęła męża w policzek.

– Zmachalam się, Wicusiu, no naprawdę.

– I pewno zgłodniałaś, Martusiu – powiedział Wincenty, ruszając spod bramy osiedla.

Panna Marple czasami czuła się naprawdę jak panna Marple, więc mąż imieniem Wincenty psuł jej obraz samej siebie. Pewnego dnia zwierzyła się Wincentemu ze swoich myśli, a on, podając jej indyjskie udo zatknięte na szczycie Czomolungmy z ziemniaków, powiedział miękki głosem:

– Nie martw się, Martusiu. Porucznik Columbo miał żonę, a przecież i tak zawsze wyglądał jak stary kawaler.

Popatrzyła na niego z czułością. Mimo spędzonych wspólnie dwudziestu lat, w czasie których niepostrzeżenie zamieniła się z gibkiej łani w dyszącą niedźwiedzicę, wciąż darzyła go tym samym uczuciem. Była to pobłażliwość cesarzowej, która nie ścina dworu, bo akurat zajęta jest wyrzynaniem imperium. Wincenty czuł w stosunku do niej podziw, z jakim na monarchinię patrzy koniuszy albo ogrodnik. Mógł być jej podnóżkiem – wystarczyła mu świadomość, że jego związek przynależności jest silniejszy niż jakikolwiek inny związek organiczny w znanym mu wszechświecie, czyli między ulicami Solec, Ludną a Wilanowską.

Następnego dnia przygotowali przesyłkę. Panna Marple postawiła przed Wincentym torbę ze słoikami, jej mąż włożył lateksowe rękawiczki, zapakował szczątki do kartonowego pudełka, w którym umieścił wcześniej napisany list. Ta kilkudzaniowa wiadomość zawierała wszystkie niezbędne informacje o zawartości słoików, a także wskazówki, gdzie można znaleźć pozostałe kawałki żony Maksymiliana i gdzie można znaleźć samego Maksymiliana, z wyrazami szacunku, Wzburzeni i Zatroskani.

– Tak jak ustaliliśmy, pojedziesz do restauracji Adler i zamówisz tam kuriera. Pamiętaj o rękawiczkach. Potem jedź za kurierem i sprawdź, czy dotarł na komendę. A kiedy dojedzie i wyjdzie z pustymi rękami, zadzwoń do mnie.

– Oczywiście, panno Marple. – Wincenty uśmiechnął się do Martusi, a Martusia uśmiechnęła się do Wincentego. Zjadła tłusty placek po zbójnicku polany kwaśną śmietaną, a jej mąż zmył naczynia i podał herbatę z szarlotką. Potem znowu pozmywał, a ona z wdzięczności westchnęła.

– Dziękuję, Wicusiu. Dobry z ciebie chłopiec...

– A z ciebie dobra dziewczynka, Martusiu.

– Może nie do końca dobra, ale za to sprawiedliwa.

Rozdział dwudziesty drugi

Niech ktoś do cholery wezwie saperów! – krzyknął przerażony Kozak, zwany przez Maksymiliana Serpikiem z Sochaczewa. – Mam złe przeczucia, mówię wam, czuję, że to się źle skończy, Halik nie otwieraj tego, błagam cię, za chwilę wszyscy wylecimy w powietrze, jak Boga kocham, zostaw to pudło, odsuńcie się od biurka!

– Kozak! Kozak, spójrz mi w oczy, popatrz na mnie i słuchaj – starał się uspokoić go podinspektor Robert Neuman, wskazując palcem na swoją twarz. – Słuchaj i odpowiadaj. Czy stacjonujemy w Bagdadzie?

– Nie.

– Brawo. A w Belfaście?

– Co w Belfaście?

– Czy nasz posterunek jest w Belfaście, czy się tam znajduje?

– Nie.

– Dobrze. Czy mamy długie kręcone pejsy i szlajamy się po Strefie Gazy?

– Nie.

– Zuch. Patrz na mnie, mówię. Czy ktoś kiedyś wysadził w tym kraju komendę policji?

– Nie wiem.

– To ja ci już mówię: nie. Nigdy! Po co ktoś miałby nas wybuchać, zastanów się, Kozak!

– Z zemsty?

– Z zemsty za co? Że zwinąłem komuś sprzed nosa w spożywcza ostatni sześciopak Warki?

– Może jakiś bandzior, którego wsadziłeś...

– A kogo ja do kurwy nędzy wsadziłem?! Don Corleone'a, Osamę, Ulrike Meinhof? Obudź się, chłopie. Nie jesteśmy we filmie. Jak pękasz, to skocz do kuchni po kawę, mocną, z trzema łyżkami cukru. I wsyp zabielaacza. Jak tu jest bomba, he, he, to w kuchni będziesz miał większe szanse na przeżycie.

Dwaj policjanci, którzy zza biurka przysłuchiwali się dialogowi, ryknęli śmiechem.

– Nie ma się co śmiać. To pudło mi podejrzenie wygląda – obruszył się Kozak. Gdy chwilę później stanął w drzwiach, trzymając w ręce kubek z kawą, pierwszy policjant wrzasnął: „Bum!”, a drugi walnął w nadmuchaną papierową torbę po śmieciojedzeniu.

– Trochę się pomoczyłeś – powiedział do oblanego kawą Kozaka. – Ale nie przejmuj się, my mamy gorzej. Poszczaliśmy się ze strachu, jak Halik otwierał paczkę, he, he!

– Żywnościową – dodał pierwszy. – Jesteś głodny? Halik z przyjemnością

się z tobą podzieli. Jak się człowiek naje, to mu drągał mocniej staje. I przestaje myśleć o głupotach. No, Kozak, przyjrzyj się.

– Tylko nie dotykaj – powiedział podinspektor Neuman, gdy Serpico wyciągnął rękę w stronę słoików.

– Nie lubię wieprzowiny – ogłosił Kozak, przyglądając się etykietce.

– A co, religia ci nie pozwala? – zarechotał drugi.

– Nie przejmuj się, to nie świnka. Tam w środku jest podobno śliczna kobitka. O, ta, zobacz – powiedział pierwszy, podając Kozakowi zdjęcie żony Maksymiliana.

– Rzeczywiście ładna. A jak ona się tam znalazła?

– No sama to raczej tam nie weszła. Ktoś jej musiał pomóc – powiedział drugi.

– Jeśli to ona – powiedział Halik, przeglądając teczkę. – Bo może jakiś świr przysłał nam świnię, w końcu przez ten tłuszcz nic nie widać, cholera wie, może to po prostu jakieś zapasy na zimę, a ktoś się chce zabawić naszym kosztem, rozumiecie.

– Tak czy tak, trzeba to zawieźć do laboratorium – zauważył pierwszy.

– Rabora... Labora, laboratorium – poprawił go drugi.

– Tak przecież powiedziałem.

– Powiedziałeś laboratorium.

– Gówno prawda.

– Wy się tu kłóćcie, a dama czeka – powiedział Halik. – No, Kozak, bierz octawię i jechana z tymi słoikami. Przewietrzysz się, dobrze ci to zrobi.

– Nie bój nic, kobitka nie wybuchnie – zarechotał drugi.

– I nawet ci nie zrobi awantury, jak przejedziesz na czerwonym świetle – dodał pierwszy.

– Dokąd mam ją zawieźć? – zapytał Kozak, zbyt głośno przetykając ślinę.

– Może do kina? Postawisz jej popcorn i colę, będziecie mieli czas lepiej się poznać – zawył z radości pierwszy.

– Albo na zakupy. Kobitki lubią zakupy. Może zasponsorujesz jej seksowną bieliznę – poradził mu drugi.

– W Aleje Ujazdowskie pojedziesz, Kozak – powiedział podinspektor Neuman.

– A co jest w Alejach Ujazdowskich?

– Laboratorium. Nasze laboratorium. Centralne. Aleje Ujazdowskie 7 – wyjaśnił podinspektor. – Zapisać ci czy spamiętasz?

– Jak zapomnę, to najwyżej zadzwonię, co nie? – rzucił Serpico z Sochaczewa.

– To niemożliwe, żeby ten gość to zrobił – powiedział podinspektor Neuman, gdy Kozak zamknął za sobą drzwi. – Widzieliście go?

- Ja nie pamiętam – powiedział drugi.
- Może i widziałem, ale nie kojarzę – pierwszy pokręcił przecząco głową.
- Był tu parę dni temu. Idealny morderca. W sensie, że ma taką gębę, którą trudno zapamiętać, nie mówiąc już o tym, żeby ją potem opisać. Gadaliśmy o Mongolii, nie kojarzycie?
- Ty z każdym gadasz o Mongolii.
- Fakt – przyznał Neuman. – W każdym razie ten koleś, tak po mojemu, to fujara. Nie dałby rady.
- Cicha woda brzegi rwie – powiedział drugi drab. – Nigdy nie wiadomo.
- Baba z wozu, koniowi lżej – dodał pierwszy.
- Koniom – poprawił go drugi.
- W końcu miała chyba jednego męża, a nie dwóch albo trzech, to chyba jednak koniowi.
- A nie koniu? Chyba koniu, jak się upierasz, że nie koniom. Co myślisz, Halik?
- To wszystko jest za proste. Najpierw facet zgłasza zaginięcie żony. Potem przychodzą te anonimy, że niby koleś jest niebezpieczny, bo gania po mieszkaniu z pistoletem, potem znowu kolejny list, że pokroił żonę i schował w piwnicy. Pomyślałem, że ktoś sobie jaja robi, no bo przecież kto wpadłby na pomysł, żeby pokroić żonę i zapakować do słoików, to nie Ameryka, ludzie! No i teraz te słoiki jako dowód. Wiecie, co tu piszą Wzburzeni i Zatroskani? Tak się podpisują, Wzburzeni i Zatroskani, piszą, że skoro nie uwierzyliśmy na słowo, że skoro nie przysłaliśmy nikogo, żeby to sprawdzić, że minął tydzień czasu, a niebezpieczny morderca wciąż sieje grozę na osiedlu Lazur III, więc oni przysyłają na dowód te oto dwa słoiki. No świry jakieś. W każdym razie musiał im nieźle zaleźć za skórę. Poczekamy na wyniki z labo i zobaczymy. Jeśli to nie świnka, a kobitka, której szukamy, trzeba będzie wziąć kołosa w obroty. Wydział zabójstw będzie miał zabawę. Ale tak na moje oko to Kozak właśnie zawiózł w Ujazdowskie cztery kilo peklowanej wieprzowiny.

Rozdział dwudziesty trzeci

Grzebanie w uchu patyczkiem kosmetycznym. Ciasne wchodzenie w zakręt ostrym samochodem. Poprawne akcentowanie wyrazów (nauka, przespaliśmy, Konstantynopol, wysadzilibyście, tiramisu). Jedzenie tiramisu. Wyrzucenie kośćmi trzy razy z rzędu szóstek. Wrzucenie na słuchawki *III Koncertu Fortepianowego* Rachmaninowa. Przeplukanie gardła lepkiem porto. Strzelanie z mopa do niań. Zaoszczędzenie dwóch stów miesięcznie na zakupach w supermarkecie.

Maksymilian mógł bez końca wymieniać rzeczy, które sprawiały mu więcej uciechy niż seks. Jak twierdził od niepamiętnych czasów, seks jest horrendalnie przereklamowany. Naprawdę dobry seks zdarza się ekstremalnie rzadko, a kiedy już się zdarzy, szybko się nudzi, no bo w końcu, gdy po raz setny łądujesz z kimś w łóżku, czym możesz go zaskoczyć?

Pierwsza narzeczona Maksymiliana podeszła do sprawy jak T.S. Eliot do poezji.

– Najwyższy czas usunąć błonę dziewiczą – powiedziała, proponując Maksymilianowi wizytę na działce rodziców. – Zjemy sobie trochę czereśni, posłuchamy muzyki, no i wiesz. Mam już szesnaście lat, a to coś ciągle tam jest. Wstyd.

Pierwsza narzeczona uważała, że Maksymilian to idealny kandydat do rozprawienia się z jej hymenem. Nie kochała Maksymiliana jakoś szaleńczo, więc jeśli spieprzy sprawę, nie będzie szlochów i rozpaczy. Maksymilian był wściekły. Ledwo pod jego pachami wyrosły włosy, a świat już kazał mu kopulować. Nienawidził przymusu, więc z pójściem na działkę ociągał się ładnych parę tygodni, ale w końcu uległ. Poddał się po tym, jak w czasie pikniku na zasmrodzonym chlorem basenie narzeczona publicznie zakwestionowała jego męskość. A potem jeszcze jego orientację seksualną. Gdy okazało się, że w ich klasie zrobili to już absolutnie wszyscy poza Helenką, której ambicją było pójść żywcem do nieba, Maksymilian musiał udowodnić swoją niewinność, czyli że po pierwsze, z jego narzędziem do rozdziawiania jest wszystko w porządku i po drugie, że tym narzędziem ma zamiar rozdziawić narzeczoną, a nie narzeczonego.

Po słodkich czereśniach, które nazywali sercówkami, na działce nie było już śladu, więc musiał się zadowolić kwaśnymi jabłkami. Zjedli trochę papierówek, potem posłuchali muzyki, no i wiesz. Gdy Maksymilian błyskawicznie osiągnął cel, rozprawiając się ze sromotną kolagenową tkanką, narzeczona powiedziała „auć”, a kiedy kilka sekund później zakończył zabieg, dodała:

– Natychmiast ze mnie wyjdź, zdejmij prezerwatywę, wyrzuć ją, a następnie umyj prącie. Aha, i Kocham cię.

Żeby nikt nie miał najmniejszych wątpliwości, że jest odjechałą

romantyczką.

Umyte prącie przez jakiś czas miało święty spokój. Maksymilian udowodnił światu, że potrafi i chce. Zdjął z narzeczonej piętno, zrobił z niej kobietę, a z siebie mężczyznę, więc mógł się zająć tym, co go naprawdę interesowało. Zapisał się do kółka strzeleckiego. Tam, pod wielokrotnie zastrzeloną tarczą, która wcielała się w złych ludzi, jacy nieustannie stawali mu na drodze, poznał swoją drugą seksualną partnerkę. Zrobił na niej wrażenie, regularnie posyłając kulki w czarne koło oddalone od muszki jego karabinka o pięćdziesiąt metrów.

– Wygląda to tak, jakbyś namagnesował środek tarczy, który przyciąga wszystko, co wystrzelisz – powiedziała z zachwytem.

Wystrzelić, trafić, spudłować, cel, pal – te słowa połączyły ich również w łóżku. W jej łóżku. W szerokim jak lotniskowiec Nimitz łóżku, w którym wymieniali się wiedzą o balistyce i rusznikarstwie. On chwalił się, że wie, skąd pochodzi nazwa pocisków dum-dum, ona opowiadała mu o Jamesie Puckle’u, brytyjskim pisarzu i wynalazcy, który w 1718 roku pokazał światu swoją superspluwę. Z jego flinty można było oddać dziewięć strzałów na minutę, podczas gdy ze standardowego muszkietu najwyżej trzy.

Maksymilian pokazywał jej foldery reklamowe firmy ATN, która produkuje świetne celowniki optyczne, ona z nostalgią wspominała dzień, w którym świat wymienił broń odprzodową na odtylcową. No i niestety, od czasu do czasu chciała, żeby również Maksymilian użył swojej odprzodowo-odtylcowej broni. Na szczęście nie musiał się jakoś specjalnie wysilać. W zupełności wystarczało jej kilkanaście energicznych podskoków, by nerwowo zapiszczeć z rozkoszy. I tylko kilka podskoków, pod warunkiem, że w tle leciał *O jeden most za daleko* albo jakieś inne batalistyczne cudo. Byleby dudniło od wystrzałów ciężkiej artylerii.

Gdyby nie to, że miała trzydzieści siedem lat, że była żoną dyrektora liceum, do którego chodził Maksymilian, że nieustannie nuciła piosenki Modern Talking (zwłaszcza „...jo ma ha!... jo ma so!...”), że używała frazy „pełen komplet”, że zbyt mocno uderzała go piętami w tyłek, kiedy na niej podskakiwał, byłaby idealną dziewczyną na czasy pierwszych hormonalnych burz i naporów. Ale seksualne manewry, na których zszedł Maksymilianowi drugi semestr trzeciej klasy, nie poszły na marne. Dyrektorka pomogła mu się upewnić, że jest genialnym podrywaczem i beznadziejnym kochankiem. Potrafi wykrzesać z siebie entuzjazm, gdy się skrada, podchodzi, flirtuje, pokonuje opór, oczarowuje i korci, ale kiedy ofiara się poddaje, natychmiast traci zainteresowanie.

Zanim poznał swoją przyszłą żonę, jeszcze pięciokrotnie dał się wciągnąć do łóżka przez amatorki seksu przed- lub pozamałżeńskiego. Można by to łaskawie przemilczeć, gdyby nie wielce pouczająca przygoda z Panną Supełek, jedną z najdziwniejszych istot, z jakimi Maksymilian miał do czynienia.

Panna Supełek zaczęła znajomość od złamania Maksymilianowi nosa. Stał

naprzeciwko niej w kółku dyskusyjnym, które zawiązało się na wieczorku zapoznawczym pierwszego roku filologii rosyjskiej. Kłócili się akurat o jedno z tych głupich pojęć typu wolna wola, za obronę lub obalenie których nabuzowane studenciaki są w stanie oddać życie, a przynajmniej połowę stypendium naukowego, czyli równowartość litra wódki. Kto skoczy, bo właśnie się skończyła?, zapytał gospodarz imprezy. Wolność jest iluzją, ludzie boją się nawet o niej pomyśleć, Fromm, łagry i tak dalej. Akademickie pitu-tutu. Okazało się, że Panna Supełek jest od niego szybsza nie tylko w gębie. Gdy Maksymilian był akurat o krok od wyrzucenia z siebie sentencji godnej Wittgensteina, Panna Supełek upuściła na podłogę złotą zapalniczkę zippo. Nie miał czasu się zastanawiać, czy zrobiła to, żeby wytrącić go z narracyjnego rytmu, czy po prostu dlatego, że była cholerną niezgułą. Jako jedyny facet z kółka pochylił się, ale Panna Supełek była zwinniejsza i kiedy Maksymilian się pochylał, ona już podnosiła głowę, żeby błyskawicznie zająć uprzednią pozycję i wykończyć w słownej szermierce śmiałka, który nieudolnie próbował zakwestionować jej rację. Niestety, nie zdążyła wykończyć go słowem, bo wcześniej zamknęła mu usta jego własną krwią, która pociekła rwącym strumieniem ze złamanego nosa.

Pojechała z Maksymilianem do szpitala i w poczuciu winy czekała pół nocy, aż lekarze przywrócą mu dawną nijakość twarzy. Gdy stanął przed nią z solidnie zabandażowaną trzewioczaszką, parsknęła śmiechem, a potem zaproponowała przeprosinową herbatę, ma akurat wolną miejscówkę, bo jej współlokatorka wyjechała do Wrocławia czy Inowrocławia, więc może nawet u niej przenocować. Nie wypadało odmówić, tym bardziej że zobowiązała się zapłacić za taksówkę.

Kiedy ruszyli spod szpitala, Panna Supełek zapytała, jak się Maksymilian czuje w tym unieruchomieniu, czy go to nie fascynuje, a Maksymilian zapytał, o co jej chodzi, bo nie bardzo rozumie, więc ona mu na to, że chodzi jej o uczucie ograniczenia, czy nie podnieca go to, że jest w pewnym sensie ograniczony. „W pewnym sensie zawsze jestem ograniczony”, Maksymilian na to, a ona, że nie chce już wracać do tego nieszczęsnego determinizmu, bo przecież nie walczyli na słowa „do pierwszej krwi”, choć oczywiście przypadkowo tak wyszło, ale teraz ona już nie chce walczyć, chce być grzeczna, chciałaby się zrelaksować, a jemu też by się przydała odrobina wytchnienia, i że jeszcze raz go bardzo przeprasza, i jak mogłaby mu wynagrodzić zadany ból, może chciałbyś mi oddać, może chciałbyś mi zadać ból, zapytała z nadzieją w głosie, co nieco zdziwiło Maksymiliana, więc odpowiedział pytaniem na pytanie:

– A może zagrałabyś ze mną w bierki?

Wtedy Panna Supełek powiedziała:

– Dobrze.

I zegrali w bierki, które zauważył na parapecie.

– To wszystko przez ten nos, normalnie jestem nie do pokonania –

powiedział Maksymilian.

– Nie wątpię – zapewniła go, wygrywając piąty raz z rzędu, a wtedy Maksymilian powiedział:

– Dosyć. Przecież to głupie. Jest szósta rano, a my gramy w bierki.

– Całkiem dobrze się bawię – powiedziała, a potem dodała, że jest zaskoczona, bo on wcale nie jest mięczakiem, jak jej się wydawało jeszcze parę godzin temu, że wręcz przeciwnie – bije od niego siła i męskość. Zalany krwią mężczyzna jest zawsze bardziej męski, powiedziała, a wtedy Maksymilian zaczął się poważnie zastanawiać, czy wszystko z nią w porządku, a wtedy ona wyznała mu, że tak naprawdę nie jest taka przebojowa i wyszczekana, że jest raczej typem uległym i lubi być związana.

– A nie jesteś z nikim związana? – zapytał Maksymilian.

– Nie o ten rodzaj związania mi chodzi. Lubię być związana sznurkiem, porządnym siedmiometrowym sznurkiem z konopi albo lnu, ważne, żeby był naturalny.

– Jakim sznurkiem? Co ty pleciesz? – zaniepokoił się Maksymilian.

– Juta, bawełna, len, abaka, sizal. Nie lubię polipropylenu, jest zbyt delikatny. Zobacz, o co chodzi – powiedziała, podając mu książkę z napisem *Shibari* na okładce.

– To jakaś odmiana sushi?

– Shibari wzięło się z hojojutsu, samurajskiej sztuki wiązania jeńców. Zaledwie parę metrów sznurka, a tyle przyjemności.

– Przecież ona wygląda jak wędzona polędwica w siatce – powiedział Maksymilian.

Miał przed sobą zdjęcie ciasno obwiązanej Japonki, która wisiała na przyczepionych do drewnianej belki linach.

– Pokażę ci zdjęcia Arakiego. Mam wszystkie jego albumy. Kiedy je obejrzysz, będziesz chciał zostać moim nawashi.

– Kim?

– Nawashi to ten, który wiąże kobietę, czyli juujun. Juujun można przetłumaczyć jako uległą. Wiązesz na trzy sposoby. Karada, czyli tak jak na tym zdjęciu, po całości, uplatasz taki gorset – to pierwszy sposób. Drugi nazywa się shinju, czyli obwiązywanie piersi, które dzięki temu stają się niezwykle wrażliwe na dotyk. Trzeci sposób, sakuranbo, polega na zawiązaniu sznurka tak, by przechodził przez biodra i dokładnie między nogami, żeby się wrzynał, no wiesz. To naprawdę niesamowite czuć to przez cały dzień. Nawashi wiąże, każe się ubrać swojej juujun, a ona idzie między ludzi i przeżywa orgazm za orgazmem, samotna w tłumie, związana, lecz wolna, wyzwolona – tłumaczyła z zapalem, prezentując kolejne techniki na odpowiednich fotografiach poglądowych. A kiedy wyjaśniła, że przy sakuranbo ważne jest, by upleść supelek, który będzie nieustannie stymulował

łechtaczkę, Maksymilian zrozumiał, że już nigdy nie nazwie jej inaczej niż Panna Supełek.

Gdy weszli pod kołdrę, powiedziała, że byłoby jej bardzo miło, gdyby Maksymilian choćby potrzymał końcówkę sznura, który oplotła sobie wokół bioder i że uszczęśliwiłby ją, gdyby od czasu do czasu za tę końcówkę pociągnął. Posłusznie chwycił, ale nie zdążył pociągnąć, bo zasnął.

Kiedy się obudził, o mało nie umarł z przerażenia. Pochylona nad nim Panna Supełek miała zupełnie białą twarz, krwistoczerwone usta i zalane czernią powieki. Udusiłem ją przez sen, ale skoro mruga, może jeszcze żyje, pomyślał, patrząc na trupioblada strzygę. Była umalowana jak gejsza, miała na sobie kimono w kwitnące wiśnie, czarną perukę i wachlarz z wizerunkiem plującego smoka.

Podawała mu zieloną herbatę, żeby się rozbudził, i zaciągnęła go do łazienki. W półokrągłej wannie czekały już na niego płatki kwiatów i oleiste mazidło, które zabarwiło wodę na kolor bursztynu. Gdy wszedł do wanny, Panna Supełek wskoczyła za nim. W kimonie. Z wachlarzem w dłoni. Z szaleństwem w oku. I z ogromną ochotą na, jak się wyraziła, bezkompromisowy seks. Maksymilian odetchnął z ulgą, gdy się okazało, że nie zabrała ze sobą sznurków ani składanej szubienicy.

Biegała za nim z tymi swoimi powrozami przez dobrych parę miesięcy. Na szczęście dość szybko udało im się ustalić zasady gry. Maksymilian zgodził się, że będzie ją chwycił za włosy i ciągnął, ale że jej nie zwiąże ani nie zawiesi pod sufitem, bo boi się, że zemdleje, gdy będzie ją krępował, a wtedy ona, dyndając jak polędwica w wędzarni, całkiem się przeterminuje.

Podziwiał ją za to, że ma jakąś pasję, choć żałował, że to shibari, a nie haft richelieu albo wyplatanie koszyków. Mogłaby się wyżyć w okolicach Wielkiejnocy i jeszcze na tym zarobić, a przez resztę roku Maksymilian miałby święty spokój.

W końcu jednak potrzeba związania całkowicie nią zawładnęła. Panna Supełek wręczyła Maksymilianowi na urodziny unikatową książkę. Było to pierwsze wydanie *Księgi węzłów Ashleya* z 1944 roku. Na okładce ilustracja autorstwa George'a Giguera – siedzący na moło marynarz z fajką w ustach prezentuje węzeł kapitański. W środku siedem tysięcy rysunków, dzięki którym można wykuć na blachę prawie cztery tysiące węzłów.

– Oczywiście nie wszystkie są aktualne. Część nie może być zawiązana na syntetycznych linkach, na przykład na nylonie czy polipropylenie, które mają mniejsze tarcie niż sznury naturalne. No, ale my nie używamy syntetyków, więc nie ma problemu – wyjaśniła Panna Supełek, gdy rozpakował swój prezent.

Jest. Jest problem, pomyślał. Przede wszystkim w zdaniu: „No ale MY nie używamy syntetyków”. Maksymilian nie chciał się wiązać. I nie chodziło mu tylko o cholerne powrozy.

– Musisz znaleźć prawdziwego nawashi. Ja nawet ze sznurówkami sobie nie

radzę – powiedział w mowie końcowej.

Gdy ruszał przed siebie w zimne objęcia samotności, Panna Supełek zwyczajowo wypuściła z kanalików łzowych dwie duże krople, ale na szczęście jej rozpacz nie trwała zbyt długo. Już po tygodniu czuła się jak najcudowniejszy zapleciony węzeł gordyjski. Chodziła na smyczy za jakimś czułym drabem z politechniki i szczyrzyła zęby. Maksymilian cieszył się razem z nią.

Po przygodzie z Panną Supełek wymyślił, że prawdziwą satysfakcję może mu przynieść jedynie seks po bożemu. O tym, że się mylił, ostatecznie przekonał się podczas piątej próby doprowadzenia żony do orgazmu. Starał się na różne sposoby. Najpierw pojękiwał, potem szeptał jej do ucha wyrazy przywodzące na myśl erupcje i wybuchy: lawa, gejzer, fontanna, eksplozja, kałamarnica. Nie pomogło. Seks to droga donikąd, pomyślał zrezygnowany, schodząc z ziewającej Dziniusi. Jakimś cudem albo raczej siłą rozpędu dobili do tuzina i dali sobie spokój. Gdy ciąża zrobiła się bardzo widoczna, Maksymilian zaopatrzył się w branżowe czasopisma i filmy.

Dzięki dziewczynom z rozkładówek nie musiał nadwierać wyobraźni za każdym razem, gdy chciał sobie zrobić dobrze, na co miał ochotę najwyżej raz w tygodniu.

Znacznie częściej fantazjował o zbrodniach, które przychodziły mu o wiele łatwiej. Były bardziej plastyczne i sprawiały większą rozkosz. A na pewno przynosiły chwilową ulgę.

Nawet gdy żona odzyskała pełnię formy po ciąży, Maksymilian nie chciał z nią sypiać. Miał swoje dziewczyny z filmów i czasopism. Ona miała swoich facetów.

Ale – w przeciwieństwie do męża – nie poprzestawała jedynie na marzeniach. Z zapalem i nadzieją oddawała się każdemu, kto obiecał, że wpuści do jej sypialni choćby promyczek nadziei. Chętnych, którzy chcieli ją napromieniować nadzieją, nigdy nie brakowało. Najpierw rekrutowali się spośród mężów przyjaciółek i koleżanek (tacy zawsze zagwarantują maksimum dyskrecji), potem, gdy już wszyscy mężowie i narzeczeni przyjaciółek powpuszczali swoje promyczki, przyszła kolej na tajemniczych nieznanym. Kiedy internet rozkręcił się na dobre, oferując całkiem spory wybór ogłoszeń typu „Jacek_22_cm zadowolony mężatkę”, poczuła się jak dziewiętnastowieczny beneficjent rewolucji przemysłowej, którego manufaktura z dnia na dzień przeobraża się w potężną fabrykę ze sterczącymi dumnie kominami.

Żona Maksymiliana nie raz poznała smak rozczarowania, gdy strzelisty brunet o oczach jak węgle czarne, którego oglądała na przesłanych mailem zdjęciach, w rzeczywistości okazywał się sobowtórem Władimira Władimirowicza Putina, albo gdy rzekomy posiadacz śmigłowca, maybacha i domu na Lazurówym

Wybrzeżu na pierwszą randkę przyjeżdżał ikarusem linii 175, twierdząc, że chciał się poczuć jak za starych dobrych lat, kiedy do dziewczyn na randki docierał dzięki uprzejmości komunikacji miejskiej. I choć kochankowie rzadko zbliżali się do ideału, który uosabiał Adam, bohater jej ulubionego serialu, nadużyciem byłoby stwierdzenie, że większość absztyfikantów srogo ją zawiodła. Nawet brzydale i nudziarze, z którymi nie miała zamiaru wylądować w łóżku, nawet oni oferowali to, na czym zależało jej najbardziej: zachwyty w oczach. Na palcach jednej ręki mogłaby zliczyć dziwaków, którzy na jej widok zachowali niewymuszoną obojętność.

Maksymilian niczego się nie domyślał. W swoim niezmiernym egocentryzmie uznał, że skoro seks jako taki właściwie go nie interesuje, podobnie musi być z większością ludzi, również z jego żoną. To, że w czasie ich ostatniego stosunku płciowego zasnęła (i to jeszcze zanim cokolwiek zrobił), było dla Maksymiliana wyraźnym sygnałem, że seks nudzi ją tak samo jak jego. A może jeszcze bardziej.

Dlaczego więc teraz znowu mi się chce?, pomyślał, patrząc z ukosa na Milenę. Miał ochotę zjechać na pobocze audi A8 z 326-konnym dieslem, którym wracali z Mazur do domu, i znów to z nią zrobić. To okropne – Amadeusz właśnie stracił głowę, zatopiona w śpiączce Iwona gada przez plastikową rurę, a Maksymilian myśli o rżnięciu. Gdyby prowadził pozbawioną wyrazu toyotę avensis, a nie bestię, która wtryskuje mu do krwiobiegu hektolitry adrenaliny, z nudów mogłoby mu przyjść do głowy największe głupstwo. Jeszcze parę dni temu nie miałyby najmniejszych wątpliwości: jeśli mógłby wybierać między rocznym darmowym karnetem do holenderskiego burdelu a godzinną przejażdżką audi A8, oczywiście wybrałby audi. Teraz oddałby wszystko za szybki seks z Mileną.

Może to psikus, jaki robi mu jego mózg przed zbliżającą się wielkimi krokami andropauzą, czyli ostatnie podrygi organizmu, który za chwilę zacznie się dramatycznie sypać? Tak czy inaczej, z radosnym zdziwieniem Maksymilian stwierdził, że od kilkunastu godzin jest tylko proteinowym zapleczem dla swojego nowego szefa. Pan Kierownik Fiut rządził na całego.

Rozdział dwudziesty czwarty

Czyli że on po prostu mógł nas tu wszystkich z zimną krwią wymordować, a my byśmy się nawet nie zorientowali. To przerażające! To normalnie przerażające i niesamowite. Czyli że człowiek się zaharowuje, siedzi od rana do nocy we firmie, żeby zapracować na elementarne poczucie bezpieczeństwa, a tu, jak widać, nigdzie nie może czuć się bezpiecznie. Że też byłam taka głupia, że na to nie wpadłam! Przecież psychopata też może być zamożny i zamieszkać na osiedlu strzeżonym, i może nas po prostu załatwić od środka. I na co nam ten mur, ta ochrona, te rolety antywłamaniowe? Przyjdzie taki, że niby chce szklankę cukru pożyczyć, i ręka, noga, mózg na ścianie. Niesamowite rzeczy pani nam tu opowiada, pani Marto – powiedziała Lipska, matka słodkich robaczek, którymi opiekowała się Ula.

– Och, żeby to była opowieść! Ale to prawda jest, niestety – westchnęła osiedlowa panna Marple.

– To straszne – jęknęła Lipska i osunęła się ciężko na jedną z ławek przy oczku wodnym, gdzie zebrali się obserwatorzy niecodziennych wydarzeń na osiedlu Lazur III. – O mój Boże, a jeśli ja będę następną?

– No co też ty opowiadasz, Agatko? Już go złapali – powiedział Lipski, gładząc żonę po piegowatym ramieniu.

– Tak, ale czy zanim go złapali, ktoś by pomyślał, że to morderca z zimną krwią?

– Ja – odpowiedziała panna Marple.

– Pani to co innego, pani Marto. Bóg nam panią zesłał, jak nic. Co my byśmy bez pani zrobili? Pani jest wyjątkowa. A ja... No ja nigdy bym nie pomyślała. A teraz po prostu mogę być następną.

– Agatko, już się nie wywinie, poszła po niego brygada uzbrojonych policjantów.

– Ty cały czas nie rozumiesz. Wy, mężczyźni, chyba naprawdę jesteście z innej planety. Chodzi mi o to, że wyglądał na porządnego człowieka, a jednak siedziała w nim bestia. Ty też wyglądasz na porządnego człowieka, Pawełku, rozumiesz?

– Daj spokój, kochanie. Nawet sobie tak nie żartuj. Przecież mnie znasz.

– Jej się też, biedaczce, wydawało, że go zna. Bo skoro by jej się nie wydawało, to by od niego uciekła, tak czy nie? No ale wydawało jej się, że go, do cholery, zna. I co? Wynoszą ją teraz w słoikach, pokrojoną na kawałki. I to na takim porządnym osiedlu... Ja chyba zaraz zwariuję.

– Patrzcie, patrzcie, prowadzą skurwysyna – syknęła panna Marple. I zawołała w stronę zatrzymanego: – Wreście!

Maksymilian miał ochotę wyrwać się swoim opiekunom i skrócić jej kark,

ale tylko spojrział na nią z nienawiścią i wyszeptał:

– Pieprzone suki.

– Ciekawe, co on tam mruczy pod nosem, zwyrodnialec jeden – powiedział Lipski.

– Też bym chciała wiedzieć, ale nie czytam z ruchu warg jak jakaś CIA – powiedziała Lipska.

Pieprzone suki, powtarzał pod nosem Maksymilian, gapiąc się na osiedlową pannę Marple, a właściwie na dwie osiedlowe panny Marple, bo obok osiedlowej panny Marple stała jej siostra bliźniaczka, którą od panny Marple można odróżnić po mężu, bo o ile Wicuś, mąż panny Marple, był równie pokąźny, co żona i jej siostra, o tyle szwagier panny Marple wyglądał jak wyciągnięty z zielnika fiołek bagienny.

– Wczoraj był u nas pan Tomek, złota rączka, konserwator, odpowiedział nam kaloryfery – powiedziała Dziniusia mniej więcej rok wcześniej do Maksymiliana. – Nie rozumiem, jak taki przystojny mężczyzna może żyć z takim tłustym babskiem – dodała, dziś sama zalana tłuszczem, wynoszona z piwnicy w kawałkach, odprowadzana wzrokiem przez osiedlowych Ludzi Ciekawych Wszystkiego na czele z panną Marple, jej siostrą, ich mężami, idiotką Lipską i Lipskim-kretynem.

Odprowadzana w towarzystwie skutego kajdankami męża, który na pożegnanie uśmiechnął się do gapiów. Gdyby wybrani spośród Ludzi Ciekawych Wszystkiego sędziowie ludowi ustawili go przed plutonem egzekucyjnym i kazali odpowiedzieć, dlaczego się uśmiecha, musiałby coś zmyślić. Nie miał pojęcia.

Sam się dziwił, że zachował spokój. A to nie takie proste, gdy w niedzielny poranek na wczesne śniadanie wprasza się banda wygolonych mięśniaków, którzy zamiast: „Dzień dobry” wrzeszczą: „Policja!”, a zamiast: „Jak leci?” informują cię, że za zrobienie z żony bulionu nie wyjdiesz z pierdła do końca swoich dni.

– Czy oprócz ciebie ktoś jeszcze jest w domu? O żonę nie pytam, bo już wiem, że trzymasz ją w piwnicy – powiedział na przywitaniu nalany tajniak z wąsikami przyciętym à la macho z Salwadoru.

– Nie pamiętam – odpowiedział Maksymilian.

– Czego nie pamiętasz?

– Żebyśmy byli na ty.

– Słyszeliście? Mamy tu murgrabiego! Zaraz dostaniemy lekcję sawłarwiweru – zarechotał Salwador. – Ciesz się, że jesteśmy w cywilizowanym kraju, a nie w jakiejś dziczy, bo za to, co zrobiłeś, już dawno byśmy ci rozkwasili mordę, a może nawet odstrzelili łeb...

– Gdybyśmy byli w cywilizowanym kraju, jeździlibyśmy po autostradach i używali mydła, nie uważa pan? – przerwał mu Maksymilian.

– Morda w kubeł. Odpowiadaj... PAN. Jest tu ktoś czy nie?

– Córka.

– Gdzie? Dla odmiany trzymasz ją pan w piekarniku?

Maksymilian nie reagował na zaczepki i grzecznie odpowiadał. Gdy Zofia wyszła z pokoju, powiedział jej, że musi na jakiś czas zamieszkać u dziadków.

Zdziwił się, że również Zofia była spokojna. Patrzyła na niego z wyrzutem, ale nie dlatego, że sprzątnął mamusię. Była wściekła, że znowu odetną ją od internetu.

– Dobra, zwijamy murgrabiego, labo wchodzi na salony i do piwnicy, wyczescie mi tu smakołycki, żebyśmy nie musieli zbyt długo się z panem Maksymilianem wozić, jazda! – zarządził Salvador, po czym nie patrząc na Zofię, zapytał: – A co zrobimy z tobą, młoda?

– Sama się sobą zajmę, stary – odpowiedziała, marszcząc brwi.

– Pyskata jesteś. Chcesz, żebym też cię przymknął?

– Sam się przymknij.

– Już dobrze. Spakuj się i cierpliwie czekaj na dziadka – poprosił Maksymilian.

– Chodź pan, murgrabi, idziemy – powiedział Salvador.

Przed Maksymilianem szło dwóch mundurowych, obok niego cywilni, za nim kolejnych dwóch, a wokół biegał miłośnik wideofilmowania, który dokumentował zatrzymanie psychopatycznego żonobójcy. Materiały filmowe przydają się nie tylko w pracy operacyjnej, ale przede wszystkim jako karma dla mediów. Dzięki tym zdjęciom policja po raz kolejny udowodni, że jest nowoczesna, sprawna i skuteczna. A zatrzymanie groźnego zabójcy i to niespełna dwa tygodnie po tym, jak sam zgłosił zaginięcie denatki, to jedna z najbardziej spektakularnych akcji stołecznej policji w ostatnim czasie.

Maksymilian uśmiechał się szeroko do obiektywu. Dlaczego się nie uśmiechać? Jest w końcu piękny dzień. Xanax działa. Wszyscy już wiedzą, że Dzinusia ma święty spokój, Maksymilian ma święty spokój, a mieszkańcy osiedla Lazur III mają niedzielę inną niż wszystkie. Bo przecież mógł to być ich kolejny koszmarny weekend z obowiązkowym spacerem po okolicznych supermarketach, przejażdżką rowerową, kręglami, kebabem i tak dalej. Mogło być jak zwykle, tymczasem dzięki Maksymilianowi i jego żonie w słoikach sąsiedzi mieli szansę na prawdziwe emocje, obezwładniający strach, odrazę i współczucie. Mogli przypomnieć sobie czasy liceum i pomyśleć o tych wszystkich modnych wówczas rzeczach typu *vanitas vanitatum*, *memento mori*, czarne golfy, szklane klosze, cięte żyły, trupie jady, puste oczodoły.

– Ten psychopatyczny morderca w żywe oczy się uśmiecha – powiedziała z oburzeniem Lipska.

– Oszalał – pokiwał głową Lipski.

– Nie oszalał, nie oszalał, to wszystko jest udawane. Myśli sobie, że jak

zagra na żółte papiery, to się wywinie. Ale się nie wywinie – powiedziała panna Marple.

– O której otwierają Tesco? – zapytał pan Tomek, złota rączka, szwagier panny Marple.

– Jak pan może w takiej chwili myśleć o zakupach?! – westchnęła ze zgrozą Lipska.

– Nie myślę o zakupach, strzeliłbym sobie setkę, powiem szczerze – odpowiedział szwagier panny Marple.

– Na stację se skocz, nie masz o wiele dalej – poradziła mężowi siostra panny Marple. I odwróciwszy się do Lipskiej, syknęła: – A nawet jakby myślał o zakupach, to co z tego?

– Właściwie to racja. Szok szokiem, ale trzeba jakoś żyć. Może pójdziemy na pizzę? – zapytał Lipski.

– Pizza była wczorej – odpowiedziała Lipska.

– A no tak, przecież. To już nie wiem. Może kebab?

Rozdział dwudziesty piąty

Oraz być może Zofia w domu dziecka. A na sto procent cela, w której koledzy zrobią ci z dupy krater. Widoki na dalszą przyszłość masz nieciekawe, na najbliższą zresztą też. Za chwilę skopię cię po bebechach! – Komisarz Puc, nazwany Salwadorem, chciał mieć jak najszybciej podpisane zeznania, więc co chwilę wymyślał nowe groźby pod adresem Maksymiliana.

– Tylko że to nic nie daje. Schwytany niemal na gorącym uczynku czubek nie chce się przyznać. Robi to specjalnie, żeby wyprowadzić mnie z równowagi i zmusić do wzięcia pieprzonych nadgodzin, za które nikt mi nie zapłaci – po pierwszym dniu przesłuchań Puc poskarżył się mamie, która przyszła umyć mu okna w kawalerce.

– To bardzo nieuprzejmie z jego strony – odpowiedziała matka Puca, jedyna kobieta, której przez chwilę wydawało się, że go kocha.

W przeciwieństwie do podinspektora Neumana, komisarz był wyjątkowo nieapetyczny. Miał nalaną, spuchniętą twarz, jaką większość ludzi może zobaczyć, gdy przyłoży nos do choinkowej bombki. Kąciki jego ust były wiecznie białe, a wargi spieczone. Nad nimi błyszczał przetłuszczony wąsik. Ale Puc miał też zalety. W każdym razie tak uważał. Będąc pozbawiony wdzięku i poczucia humoru, błyskawicznie zdobywał uznanie w oczach przełożonych. Brakowało mu polotu, ale za to mógł się pochwalić niewyczerpanymi pokładami ambicji, na czym z kolei cierpieli koledzy i podwładni, których potrafił bez mrugnięcia okiem wsypać. Ta życiowa postawa przynosiła profity: zamiast uganiać się za gówniarzami, którzy dali nogę z domu, ścigał prawdziwych zakapiorów. Puc robił karierę, nie oglądając się za siebie. Nie miał przyjaciół, więc nie musiał obawiać się zdrady i zawodu. Dzielił świat na dwie nierówne połowy. Większa połowa, czyli mniej więcej 99,9 procent, to byli jego wrogowie. Mniejszą połowę, czyli 0,1 procent, stanowili ci, którzy mogli go awansować. Kiedy osiągał ich poziom, automatycznie trafiali do większej połowy.

– To co, powiesz mi wreszcie, dlaczego ją wykończyłeś? – zapytał pochylony nad Maksymilianem.

– Przyznam się do wszystkich zbrodni popełnionych w ciągu ostatniej dekady.

– Mi wystarczy, jak się przyznasz do zabicia żony.

– A co z gejem, który stracił głowę?

– Dla ciebie?

– Nie, ale dla ciebie też nie. Tylko nie rozpaczaj, nie był w twoim typie. Ty chyba wolisz mięśniaków w skórach. Gej, który zginął na Mazurach.

– Co z nim?

– Słyszałeś?

- O czym, gościu?
- O tym wypadku.
- Słyszałem, czytałem.

– To moja robota. Wykończyłem stocznie, huty szkła, a potem geja. Kiedy pierwszej nocy wszyscy poszli spać, zszedłem z łodzi na ląd i podpiłowałem linkę hamulcową. Ta głupia krowa Iwona grała mi na nerwach, więc kiedy usłyszałem, że chce pożyczyć mercedesa, nie wahałem się ani chwili. Po prostu wziąłem brzeszczot i zrobiłem, co trzeba. Jeśli zadzwonisz do Węgorzewa, powiedzą ci, że nie było śladów hamowania. Szkoda, że zamiast niej zginął Amadeusz. Ale suka przynajmniej jest w sypialni. I może nigdy się nie wybudzi. Śmiesznie wyglądała z tą rurą w gębie. Myślałem, że umrę ze śmiechu. Widziałeś kiedyś biegającą kurę bez głowy? To było mniej więcej tak samo śmieszne. Wykończyłem też cztery nianie i jednego głupiego psychologa. Przyjął dziewięć kulek na klatę. Ale mi grzeje. Możesz to wyłączyć?

– Nie uda ci się, gościu. Takie rzeczy nie przejdą. Czubka to ty możesz sobie udawać przed kadrową.

- Nie mogę.
- A to niby dlaczego?

– Bo jestem bezrobotny, ha, ha, ha.

– No widzisz, jak chcesz, to kontaktujesz. Po co wygadujesz te bzdury? Ja tego nie kupię, prokurator tym bardziej. To, żeś pokroił żonkę na kawałki i wrzucił do słoików, wcale nie jest okolicznością łagodzącą. Może i leczyłeś się psychiatrycznie, ale jesteś poczytalny. Kończmy te wygłupy, wypowiadaj się, potem to podpisz i do widzenia. Dostaniesz pokutę, a gdy po długich latach spędzonych w celi zamkniesz wreszcie powieki, zresocjalizowany pójdiesz do nieba.

– Nie pójdę. Uprawiałem seks przedmałżeński i nigdy się z tego nie rozliczyłem.

– Będziesz miał mnóstwo czasu, żeby się rozliczyć. Chociaż za kratą nie zabraknie też okazji do grzechu. Oj, dobiorą ci się do dupy, murgrabi, dobiorą.

- Jakoś wątpię.
- Ja jakoś nie. Dlaczego ją zabiłeś, gościu?
- Już mówiłem.

– Nie mówiłeś. Mówiłeś, że jej nie zabiłeś, a ja pytam się nie o to, dlaczego jej nie zabiłeś, tylko właśnie wręcz przeciwnie. Dlaczego zabiłeś swoją żonę w dniu czternastego kwietnia, przypomnę, że była to sobota, na osiedlu Lazurowym III?

- Bo się zdenerwowałem.
- Na co?

– Że się nie mogę dodzwonić do Putina – powiedział Maksymilian.

Posiniały ze złości Puc postanowił przerwać te wygłupy. Odwrócił się

błyskawicznie i przyłożył czubkowi pięścią w sam splot słoneczny. Maksymilian pofrunął razem z krzesłem i wylądował na podłodze. Leżąc na plecach, próbował zaciągnąć się głęboko powietrzem, ale zupełnie mu to nie wychodziło.

– Ostrzeżenie numer jeden. Numer dwa naprawdę cię zaboli, panie murgrabi. Zacznijmy od początku – powiedział, podnosząc Maksymiliana razem z krzesłem.

– Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię. Ziemia zaś była bezładem i pustkowiem, ciemność była nad powierzchnią bezmiaru wód, a Duch Boży unosił się nad wodami – wyrecytował Maksymilian, badając, jak daleko może się posunąć. Puc znów się zagotował, ale trzymał ręce przy sobie. – No już dobrze, dobrze, na pewno chodziło ci o to, co się wydarzyło trochę później. No więc trochę później...

– Nie wkurwiał mnie tylko – poprosił grzecznie Puc.

– ...gdy Bóg ukończył w dniu szóstym swe dzieło, nad którym pracował, odpoczął dnia siódmego po całym swym trudzie, jaki podjął. Może i my już dzisiaj odpoczniemy, komisarzu?

– Dziś jest poniedziałek, nie niedziela. Wczoraj mogliśmy podpoczywać i za chwilę też będziemy mogli podpoczywać. Wystarczy, że mi powiesz, do cholery, jak było! Od początku do końca. Po kolei. Zaczynaj, murgrabia, współpracować, a odpocznieś sobie, ile dusza zapragnie.

– OK. Mogę papierosa?

– Jasne – powiedział Puc. – Rogal, wyskocz z fajki.

– Mam dwie ostatnie – zaproponował Rogal.

– No to akurat, jak znalazł. Też sobie zapalę – poinformował go Puc.

– Palicie szmuglowane? Nie mogę! – zachichotał Maksymilian, gdy z paczki bez banderoli wyciągnął przedostatniego camela.

Zapowietrzony Rogal spojrział wyczekująco na Puca.

– Bierz, jak dają, i nie gadaj – powiedział komisarz, przypalając mu papierosa.

– Jak chcesz – odpowiedział Maksymilian.

– Jak nie przestaniesz ze mną pogrywać, to naprawdę zaczniemy się nie lubić.

– Zapewniam cię, że nie lubimy się od pierwszego wejrzenia.

– Dlaczego ją zabiłeś?

– A dlaczego babcia miała wąsy?

– O co ci chodzi, gościu? – zapytał Puc, przejeżdżając palcem po swoim obleśnym wąsiku.

– O bezsensowność twojego pytania. Nie możesz mnie pytać, dlaczego ją zabiłem, skoro nie wiesz, czy ją zabiłem. Żeby dowiedzieć się, dlaczego ją zabiłem, musisz najpierw mieć pewność, że ją zabiłem. To proste. Dacie mi popielniczkę czy mam strzepywać na podłogę?

– Zabiłeś ją? – zapytał zrezygnowany komisarz. Bo choć był dobrym psem gończym, który potrafił bez wytchnienia miesiącami uganiać się za ściganym, gdy już dopadł ofiarę, tracił nie tylko entuzjazm, ale i pewność siebie.

– Nie zabiłem. Przysięgam.

Rozdział dwudziesty szósty

Tylko w minionym roku żona Maksymiliana miała pięciu kochanków. A trzeba dodać, że nie był to dla niej szczególnie urodzajny rok, bo w czasach świetności co najmniej raz w miesiącu zapraszała między nogi premierowego fagasa. Wszystkie statystyki można było znaleźć pod adresem znudzonazona.blogspot.com. W internetowym dzienniczku żona Maksymiliana skrupulatnie zapisywała daty, krótkie charakterystyki postaci, rozmiary, poziomy czułości (w skali od 0 do 10) i poziomy ryzyka (w tej samej skali, gdzie 0 oznaczało, że Maksymilian jest w delegacji na Sumatrze, a 10, że gmera dłonią między nią a jej kochankiem w poszukiwaniu pilota do ryczącego telewizora, przy którym we trójkę zasnęli, czego nie zauważył, bo był akurat zajęty umieraniem).

„Szmato, dziwko, niedorzęta fantastko”, pisali krytycznie nastawieni goście bloga w komentarzach. „Tak trzymaj, nie martw się, któregoś dnia w końcu spotkasz prawdziwą miłość”, pocieszali ją fani. Pod ostatnim postem, datowanym na 13 kwietnia, godz. 12.47, znalazły się trzy wpisy. Pierwszy, autorstwa uleglejmisi brzmiał: „za ten opis śliniącego się dziadka w coffee heaven masz u mnie sto kaw!!! lol :) buuuuzzzzziiii!!!”. Drugi sprokurowała claudia_88: „jeżeli nie boisz się Boga, może pomyśl o rzerzacze i innych tego typu »przyjemnościach« niepozdrawiam k.”. Trzeci komentarz był lakoniczny, a przez to niezwykle elegancki: „zabiję cię ty kurwo. zdradzony”.

Zdradzony rzeczywiście mógłby mieć powody do gniewu, jeśli oczywiście był tym, za kogo się podawał. Nawet średnio rozgarnięty czytelnik, a w końcu również takiego jakimś cudem dałoby się znaleźć, bez kłopotu doliczyłby się siedemdziesięciu dwóch kochanków autorki bloga. W porównaniu z dokonaniem obficie obdarzonej Lisy Sparxxx, która w 2004 roku pobiła seksualny rekord świata, zaspokajając jednego dnia 919 dżentelmenów, taki wynik wygląda żałośnie, ale w końcu żonie Maksymiliana zawsze było bliżej, przynajmniej jeśli chodzi o wizerunek, do skromnej gospodyni domowej niż do profesjonalnego lachociąga.

To, że siedemdziesiąt dwa jest nie tylko liczbą kochanków, ale też słoików ze szczątkami zamordowanej, komisarz Puc skojarzył podczas rozmowy z patomorfologiem, do którego wybrał się z rutynową wizytą roboczą.

– Zgadza się. Siedemdziesiąt dwa. Powinno ich być siedemdziesiąt dwa, ale niestety mamy ich siedemdziesiąt jeden – powiedział doktor Kucyk, lekarz medycyny sądowej,

– A dlaczego miałyby być ich siedemdziesiąt dwa? Skoro jest siedemdziesiąt jeden, to może miało być siedemdziesiąt jeden – odparł Puc.

– Otóż nie miało ich być siedemdziesiąt jeden, gdyż ponad wszelką wątpliwość, kochanieńki, jednego brakuje. Jeśli spojrzysz pan na puzzle, jakie udało mi się ułożyć z ciała denatki, zauważy pan, że świętej pamięci ślicznotka, proszę

śmiało podejść bliżej, nie gryzę, jest cokolwiek niekompletna – powiedział z dobrodusznym uśmiechem doktor Kucyk. – Jak pan widzi, w zagubionym weku morderca zapeklował serduszko.

– Aha – stwierdził komisarz Puc. – Ale reszta się zgadza?

– Reszta, o ile dobrze widzę, jest na swoim miejscu, kochanieńki. Choć w tym wypadku sformułowanie „na swoim miejscu” brzmi dość niefortunnie, bo idę o zakład, że zamordowana wolałaby raczej leżeć teraz na rozgrzanej plaży gdzieś w Turcji czy Hiszpanii niż na tym zimnym blacie tutaj.

– No dobra, a czy coś pan ciekawego znalazł?

– Włos.

– Jaki włos?

– Długi, cętkowany, kręty. Żartowałem. Oto i on. Znalazłem go między językiem a podniebieniem denatki.

– A to nie jest po prostu jej włos?

– W żadnym wypadku.

– No to już po tobie, murgrabi! – powiedział Puc pod nosem, gdy znalazł się wreszcie na świeżym powietrzu.

Po każdej wizycie u doktora Kucyka co najmniej przez tydzień wydawało mu się, że śmierdzi trupem.

– Ja tam nic nie czuję, tylko tą twoją wodę kolońską – pocieszała go matka, której zwierzył się ze swojej obsesji.

– Mam dość – powiedział Maksymilian, kiedy Puc powiedział mu o włosie i laptopie żony, który znaleźli w piwnicy.

– To dobrze – ucieszył się komisarz. – A więc się przyznajesz? To dla ciebie lepiej, bo i tak się nie wywiniesz. Czy nie sądzisz, że to interesujący zbieg okoliczności: siedemdziesięciu dwóch kochanków i siedemdziesiąt dwa kawałki? Musiałeś wpaść w szal, kiedy się dowiedziałeś, że się dmucha na lewo i prawo. Rozumiem cię. Na twoim miejscu też bym wpadł.

– Szkoda, że nie wiedziałem wcześniej, mógłbym to wszystko inaczej rozegrać... – zasępił się Maksymilian.

– Twój włos i komentarz pod ostatnim wpisem na tym blogu, brak alibi, zeznania świadków, że ciągle się kłóciliście i że groziłeś jej pistoletem, do tego opinia osiedlowego furiata... Masz przesrane, gościu. Jak wyjdiesz z pierdła, jeśli w ogóle wyjdiesz, twoja córka będzie w tym wieku, co ty teraz, nie zobaczysz, jak z dziewczynki zamienia się w kobietę – wszystko przejdzie ci obok nosa. Wpierdoliłeś się po uszy.

Maksymilian rzeczywiście znalazł się w dość trudnej sytuacji. Choć nie najgorszej, bo przecież denatka leżąca na stole doktora Kucyka mogłaby go bez wysiłku przelicytować. Miała kilka powodów do narzekań więcej: była nieumalowana, zmarznięta, czuła się rozbita, a do tego była bez serca. Świadomość

tego, że inni mają gorzej, znakomitej większości ludzi przynosi radość i ulgę, jednak Maksymilian, który przecież niejednokrotnie rechotał z uciechy, gdy Lipski złapał gumę albo kupił telewizor Sharp, tym razem wcale nie czuł się jak prezes Międzynarodowego Związku Hurraoptymistów.

Mimo to próbował poszukać jasnych stron. Najbardziej cieszył go fakt, że siedząc w areszcie, oszczędza na wodzie, prądzie i jedzeniu. Przekonał się nawet, że tutejsze śniadania smakują niewiele gorzej od jego owsianek. Poza tym zauważył, że przebywanie w ciasnym jednoosobowym apartamencie, do którego wracał po spotkaniach z Pucem, nie wywołuje w nim napadów paniki. To było naprawdę coś, bo przecież jeszcze parę tygodni wcześniej na samą myśl o tym, że ma pojechać windą w Ośrodku Psychoterapii Indywidualnej Empatia robiło mu się słabo.

„Widzisz, Maksiu, życie jest piękne”, mówił na dobranoc dyżurny aniołek. Niestety, nie była to cycata pogodynka, tylko w istocie jakieś bezpłciowe nie wiadomo co. „Odetchnij głęboko i uśmiechnij się, jutro będzie lepiej”, dodawał naiwnie. „Pierdolisz, cherubin”, odpowiadał diabełek, który nieustannie przypominał Maksymilianowi, że wkrótce trafi do celi trzy na trzy z sześcioma napalonymi mięśniakami i że napalone mięśniaki będą chciały, żeby został ich chłopakiem, więc właściwie dobrze się składa, że ostatnio otworzył się na seks i że znalazł w tym elementarną przyjemność. I gdy tylko wygłosił swoją kwestię, chwycił adwersarza za blond pukielek i walnął jego główką o ścianę. „Wybacz mu, bo nie wie, co czyni”, zacharczał aniołek, plując krwią.

Nocami diabełek wyżywał się na aniołku, a w ciągu dnia komisarz Puc próbował zamęczyć Maksymiliana. Zło triumfowało.

- Gdzie ją ukryłeś? – zapytał trzeciego dnia po śniadaniu.
- Co ci się dziś śniło? – zapytał Maksymilian.
- Nie odpowiada się pytaniem na pytanie, nigdy o tym nie słyszałeś?
- Dlaczego?
- Bo to niekulturalne. Taki murgrabi jak ty powinien o tym wiedzieć najlepiej. Gdzie ją ukryłeś, że powtórzę?
- Ale co?
- Pikawę.
- Jaką znowu pikawę?
- No serce. Serce twojej żony.
- Moja żona nie miała serca, więc jak mogłem je ukryć?
- Psycholożka, z którą właśnie gadałem, wytłumaczyła mi, że sobie zrobiłeś z tego serca totem. Że dla ciebie to nie tylko pamiątka po zbrodni, ale przede wszystkim symbol, no ten totem właśnie, coś w rodzaju indiańskiego skalpu.
- Wiesz, ile lat straciłem na rozmowach z psychologami?
- No ile?

- Czternaście. A wiesz, czego się przez te czternaście lat nauczyłem?
- Czy mi się zdaje, czy jeszcze nie odpowiedziałeś na żadne moje pytanie, tylko sam ciągle pytasz?
- Naprawdę?
- Mam ci założyć elektrody na jaja, żebyś zaczął współpracować?
- Nie mam jaj. Gdybym miał jaja, to bym już dawno... No nie wiem, ale coś bym zrobił, coś, co robią faceci z jajami. Co robią faceci z jajami?
- Gdzie schowałeś te serce?
- To serce! – jęknął Maksymilian. – Znow popelniasz ten sam błąd logiczny. Najpierw musisz zapytać, czy w ogóle je schowałem.
- Nie udawaj głupszego, niż jesteś. Przecież wiesz, że wiem, że schowałeś. Gdybym nie wiedział, to bym nie pytał. Wkrótce będę miał dowód z labo. Twój włos w jej ustach. Prokurator będzie zachwycony.
- Nie będzie. Bo to nie mój włos.
- Jasne, a więc gdzie jest serce?
- W skrytce na lotnisku Kansai.
- Znow się pogrążasz. A tak obiecująco się zaczęło – powiedział komisarz Puc, patrząc na Maksymiliana z obrzydzeniem, jakby Maksymilian był cholernym zwierciadłem.
- Ty też. Ale cóż, nie każdy ma mózg Herculesa.
- Chyba mięśnie?
- Poirot. Miałem na myśli Herculesa Poirot.

Rozdział dwudziesty siódmy

Maksymilian został skazany na dożywocie. Ale nie tylko, bo dwukrotnie go ukamienowano, raz ścięto na gilotynie i raz powieszono.

Przy wieszaniu nie obyło się bez kłótni. Część sędziów ludowych wniosowała, żeby zacisnąć pętlę na szyi, jak Pan Bóg przykazał, część jednak żądała, żeby powiesić złoczyńcę za jaja, by uzyskać lepszy efekt odstrasżający, a przecież o to głównie w karze śmierci chodzi.

„Zero tolerancji!”, zawołała radykalna część opinii publicznej, gdy obiektywne i niezależne media wyprzedziły ślamazarnych prokuratorów i wydały jedyny sprawiedliwy wyrok.

Tak, trzeba to uczciwie przyznać, dziennikarze, którzy postanowili ogrzać się w blasku nagłej sławy Maksymiliana, odwalili kawał naprawdę dobrej roboty. Zwłaszcza redaktorzy dwóch poczytnych gazet, których czołówki równie często wieszczą koniec świata, co ogłaszają, że na koncercie w Berlinie Madonna śpiewała z playbacku i bez majtek.

Na redaktorach poczytnych pism, niesprawiedliwie nazywanych szmatławcami, bo w końcu to właśnie dzięki nim znakomita większość rodaków F.F. Chopina nie straciła jeszcze kontaktu ze słowem pisany, ciąży wielka społeczna odpowiedzialność. Dlatego też dokładają oni wszelkich starań, aby język giętki, którego używają, powiedział wszystko, co pomyśli głowa, jeśli oczywiście tak się nieszczęśliwie złoży, że akurat pomyśli.

Głowa jednego redaktora pomyślała, co umiała, czyli mniej więcej tyle, że psychopatę, który pokroił własną żonę na siedemdziesiąt dwa kawałki, należy bezzwłocznie ukatrupić. Jak pomyślała głowa, tak redaktorska ręka napisała. Nazajutrz po zatrzymaniu Maksymiliana na okładkę poczytnego dziennika trafiła odezwa do ministra sprawiedliwości: „ŻĄDAMY KARY ŚMIERCI DLA RZEŹNIKA Z URSYNOWA!”.

W artykule poświęconym zbrodni Maksymiliana znalazła się wypowiedź pana Bogdana, lat 42, hurtownika z Goleniowa, który zaoferował, że w czynie społecznym wraz z kolegami z branży spożywczej chętnie ukamieniuje zwyrodnialca, tak, tak, dzieci, pić mleko, zwłaszcza mleko z moich hurtowni, a będziecie kiedyś tak silne, że same poradzicie sobie ze zwyrodnialcami. Pozdrawiam żonę Basię i synków Bartoszkę i Błażejka, powiedział, ale tego już w gazecie nie napisali.

Z równym entuzjazmem, co hurtownik z Goleniowa, podjęli wyzwanie stolarze spod Poznania, którzy, cytujemy, zgłosili gotowość wybudowania szubienicy, a elektromonterzy z Rudy Śląskiej zaproponowali, że wykonają kopię krzesła elektrycznego, na którym w 1989 roku stracono Teda Bundy'ego, zabójcę trzydziestu kobiet. Gdyby nie spostrzegawcza pani Marta, lat 45, administratorka

z osiedla Lazurowe, kto wie, ile jeszcze niewinnych kobiet padłoby ofiarą naszego rodzimego szaleńca. Wiadomo, że mnóstwo. Takim nigdy nie wystarcza jedna zbrodnia.

Dziennikarze konkurencyjnej gazety również nie próżnowali. Wracając z Suwałk, gdzie spotkali się z emerytowaną księgową, która od dekady żywi się wyłącznie uryną, a raz w tygodniu zupa z pokrzyw według własnego przepisu, zatrzymali się we wsi Ateny, woj. podlaskie, żeby strzelić parę zabawnych fotek przy tablicy z nazwą miejscowości. W krzakach, w które udał się za potrzebą fotoreporter, znaleźli przeciętego na pół psa. Nieszczęsny kundel stał się zacznym artykułu o szajce naśladowców Rzeźnika z Ursynowa, którzy kombinują, jak tu pociąć na kawałki wszystko, co się rusza. „Dziś wasze psy, jutro nasze dzieci”, ostrzegał w komentarzu na drugiej kolumnie redaktor naczelny, który w imieniu czytelników żądał, by politycy nie chowali głów w piasek, nie zasypiali gruszek w popiele i nie odwracali kota ogonem. Koniec z pobłażaniem mordercom i psychopatom! Chcemy się czuć bezpiecznie we własnym domu!

Wincenty, mąż osiedlowej panny Marple, z dumą wycinał wszystkie te artykuły i wklejał je do osiemdziesięciokartkowego zeszytu w kratkę. Gdy dwa dni po ujęciu mordercy jeden z popularnych dzienników opublikował zdjęcie jego żony, Wincenty upiekł na jej cześć tort czekoladowy wielkości Pałacu Kultury. Panna Marple dostała po nim straszliwej kolki, ale czymże jest kolka wobec chwili triumfu i głębokiej satysfakcji? No cóż, straszliwa kolka wciąż jest straszliwą kolką, ale za rozkosze podniebienia, jakich dostarcza tort Wincentego, panna Marple mogłaby dać się posiekać, no naprawdę.

Chwilę satysfakcji przeżyła również Ula, która znalazła się w jednej z gazet na zdjęciu razem z panną Marple. I choć na fotografii można było zobaczyć jedynie kawałek ręki i rozwiane przez wiatr włosy, był to jednak kawałek jej ręki i jej włosy, więc Ula pękała z dumy, że w wieku niespełna dwudziestu lat – co prawda we fragmentach, ale zawsze – trafiła na łamy wysokonakładowej prasy.

Mniej powodów do radości miała Zofia. Nauczyciele patrzyli na nią ze współczuciem pomieszanim z obawą. Obawą, której nikt nie odważył się głośno wyrazić, a którą dzielali wszyscy odpowiedzialni pedagodzy i niektórzy rodzice: czy mianowicie Zofia nie wpadnie nagle na pomysł, żeby na lekcji historii albo angielskiego wyciągnąć z plecaka piłę tarczową i pokroić nią kilka krzesel i ławkę, razem z koleżanką z ławki?

Dziadkowie starali się jakoś poprawić jej humor, więc już następnego dnia po aresztowaniu Maksymiliana podłączyli się do internetu, wybierając najlepszą, czyli najtańszą ofertę.

Aresztowanie syna miało dla Romualda i jego żony skutki nie tylko finansowe (obliczyli, że koszty łącza internetowego i żarcia dla kota zdestabilizują ich opartą na promocjach gospodarkę domową). Musieli również odpierać ataki

dziennikarskich hien, nieustannie polujących na newsy o Rzeźniku z Ursynowa, i ukrywać się przed teściową syna, która próbowała wyrwać Zofię z rąk rodziny zbrodniarza.

– No i co pan teraz powie?! – wrzasnęła do słuchawki, gdy Romuald w końcu odebrał komórkę.

Telefon stacjonarny już od dawna milczał. Po mniej więcej dwudziestej propozycji wywiadu rodzice Maksymiliana przestali podnosić słuchawkę, potem wyciszyli dzwonek, a na koniec, gdy jakiś dziennikarz zaproponował im pięć tysięcy za rozmowę o trudnym dzieciństwie ich syna, odłączyli aparat od sieci.

– A niby co byś chciała usłyszeć? – zaperzył się ojciec Maksymiliana.

– Nie jesteśmy już rodziną, więc proszę się tak do mnie nie zwracać.

– Aha.

– Czy pan wie, że kilka dni po zamordowaniu Dzinusi ten zwyrodnialec przyszedł do mojego domu z Zosią i jak gdyby nigdy nic zjadł pomidorową z makaronem czterojajecznym i pierogi? Ładnie go pan wychował, nie ma co. Jak to jest wychować potwora?

– To chyba powinnaś, powinna pani wiedzieć najlepiej.

– Jak pan śmie?! I proszę natychmiast oddać mi wnuczkę!

– Nie zabierałem jej ani jej nie pożyczałem, więc nie muszę oddawać. Ale z przyjemnością oddam kota. Jest bardzo dobrze wychowany.

– Ty esbecki oprawco!

– Przecież mieliśmy nie mówić już więcej do siebie per ty, ty cholerna nadęta histeryczko z pretensjami!

– Och, ty chamie, niech cię piekło pochłonie! Zabraliście mi córkę, teraz jeszcze wnuczkę... Ludzie bez serca, bez wiary, bez właściwości, jak cały ten wasz PRL, wy czerwone świnię, pacholki sojuza!

– Sama jesteś świnią, a na dodatek głupia jak teleturniej. Nie ma żadnych dowodów, że to mój syn zabił, ale ty już najlepiej wiesz, zawsze wszystko wiesz najlepiej, ta twoja świętej pamięci puszczańska córka, no dobrze, o zmarłych może rzeczywiście nie należy mówić źle, ona, ta twoja córunia, pieprzona dziwka, też zawsze wszystko wiedziała najlepiej. Pomyśl przez chwilę, głupia babo, zastanów się, zanim zaczniesz wywijać jęzorem. Wszyscy wiedzieli, poza moim nieszczęsnym synem, że ta dziwka puszcza się na lewo i prawo, więc stul pysk i uszy po sobie!

– Mój Boże, ty nawet nie jesteś chamem, tylko zwykłym psychopata! To u was rodzinne. Poza tym przypominam, że moja córka nie zmarła, lecz została z zimną krwią zamordowana.

– Być może. Ale wcale nie jest powiedziane, że zrobił to akurat mój syn. Jakiś przydupas ją posiekał i tyle. Mimo wszystko wyrazi współczucia.

– Nie udawaj, że nagle chcesz okazać serce. Mam gdzieś twoje współczucie.

Oddaj mi Zosię!

– Ani mi się śni. Zresztą Zosia wcale nie chce z tobą mieszkać. I nie ma się co dziecku dziwić. Kto by chciał przebywać pod jednym dachem z taką zimną, popapraną suką? Przy tobie to nawet kaktusy usychają z rozpacz.

– Żaden kwiat mi nigdy nie usechł, nawet najbardziej wymagające kaladium, więc nie kłam w żywe oczy! – zawołała, po czym wpadła w nerwowy szloch.

– Nie wierz jej. Nigdy nie uroniła ani łzy – oświadczyła matka Maksymiliana, która od paru minut przysłuchiwała się rozmowie. – Tylko się nie rozłączaj. Niech zapłaci jak za zboże, stara jędza.

– Ona ma darmowe minuty w abonamencie – wyszeptał Romuald, zasłaniając ręką słuchawkę.

– O tym nie pomyślałam – powiedziała z żalem w głosie matka Maksymiliana.

W tej samej chwili, w której Romuald odpierał atak wielbicielki doktora Brinkmanna, komisarz Puc przeżywał potrójne rozczarowanie.

Po pierwsze, jak się wyraził, w temacie włosa. Znaleziony w ustach ofiary włos, choć niemalże na sto procent męski, nie był włosem Rzeźnika z Ursynowa. A jeśli był włosem Rzeźnika z Ursynowa, to Rzeźnik z Ursynowa nie był Maksymilianem. Po drugie, w temacie wpisu. Komentarz na blogu znudzonazona.blogspot.com o treści „zabiję cię ty kurwo. zdradzony” został wprowadzony w kafejce internetowej przy Cinema City w Arkadii. Początkowo wszystko szło lepiej, niż komisarz Puc mógł sobie wymarzyć. Okazało się, że ochroniarze dysponują odpowiednim materiałem wideo, na którym widać jak na dłoni wszystkich klientów kafejki w dniu, w którym pojawił się wpis. Wśród nich nie było, niestety, nikogo przypominającego Maksymiliana. Przed komputerami siedziało kilku gówniarzy i jeden podstarzały grubas. Być może któryś z nich działał w porozumieniu z domniemanym żonobójcą, ale odnalezienie ich wszystkich nie będzie takie proste i potrwa wieki.

– Pamiętasz, co ci mówiłam, kiedy byłeś mały? Język ci poczernieje, jak będziesz używał brzydkich wyrazów – powiedziała matka komisarza Puca, gdy po raz trzeci powtórzył brzydki wyraz „kurwa”, waląc przy tym pilotem od telewizora w oparcie fotela, wskutek czego pilot uległ uszkodzeniu, co naraziło komisarza Puca na nieplanowany wydatek rzędu dwóch dych.

Ostatnim filarem potrójnego rozczarowania komisarza była informacja, że Maksymilian ma nieprawdopodobne znajomości w prokuraturze i że ani nagonka w prasie, ani poszlaki, ani zawziętość Puca nie wystarczą, by zatrzymać podejrzanego w areszcie. Podobno lada dzień prokurator wyznaczy kaucję w wysokości trzystu tysięcy złotych i pan Maksymilian zrobi fruuum! Będzie mógł odpowiadać z wolnej stopy. A pieniądze? Już są, czekają, żeby je przelać na konto.

– Waląc tym Bogu ducha winnym pilotem, na pewno go nie naprawisz.

Lepiej policz od jednego do dziesięciu i z powrotem. I oddychaj przy tym głęboko – powiedziała matka komisarza Puca, prasując śliczną koszulę z Tesco, którą kupiła synowi na dzień policjanta.

– Daj spokój, matka! Przecież nie zwariowałem, żeby oddychać! Co ja, kurwa, jogin jestem?! Jeszcze mnie stać na to, żeby raz w roku rozwalić pilota, kiedy się wścieknę! – wrzasnął czerwony ze złości Puc. – Przynajmniej się przejdę te parę kroków do telewizora.

Rozdział dwudziesty ósmy

Nawet komisarz Puc wie, że naprawianie pilota nie ma sensu. Ktoś o zapędach filozoficznych, jak na przykład podinspektor Neuman, mógłby stwierdzić, że do przedmiotu, który raz się popsuł, już nigdy nie będziemy mieli zaufania. Na takiej rzeczy zawsze pozostanie widzialna lub niewidzialna rysa, ślad wątpliwości, nawet jeśli po naprawieniu rzecz działa lepiej niż kiedykolwiek.

Ale komisarz Puc nie jest kimś, kto posiada zapędy filozoficzne. W zupełności przekonuje go fakt, że kupienie nowego sprzętu to oszczędność czasu i pieniędzy. Dzięki temu, że mamy więcej czasu i pieniędzy, możemy produkować więcej rzeczy, które, miejmy nadzieję, znów szybko się psują, żebyśmy mogli wyprodukować jeszcze więcej rzeczy, które się psują i które znów wymienimy na nowe, gorsze i tańsze, więc zdecydowanie lepsze. Niestety, choć producenci robią, co mogą, żeby zalać rynek pierwszorzędną tandetą, większość rzeczy, które kupiliśmy, i tak prędzej się nam znudzi, niż popsuje.

Podobnie jest z ludźmi. Żona Maksymiliana popsuła się na dobre dopiero po czternastu latach małżeństwa, a przecież tak naprawdę zdążyła mu się znudzić jeszcze przed ślubem.

OK, przecierpiał swoje, ale dostał bonus – kiedy tylko uwolnił się od żony, natychmiast trafił na atrakcyjną zmienniczkę. O jej wyższości nad Dziniusią mógłby opowiadać godzinami: młodsza, ładniejsza, mądrzejsza, bogatsza... Oto druga kobieta w jego życiu, którą, jeśli się tylko postara, mógłby naprawdę pokochać. Pierwszą była Zofia.

Maksymilian czuł, że wreszcie spotkało go szczęście. I że na nie zasłużył, bo w końcu przez większość życia solidnie dostawał w dupę, więc teraz sprawiedliwości staje się zadość. Otrzymuje godziwą rekompensatę za te wszystkie beznadziejne lata spędzone u boku, jak się właśnie dowiedział, pospolitej dziwki.

– To w sumie szczęście, że ten nasz głupi syn poznał w końcu prawdziwe oblicze swej żony – powiedziałaaby matka Maksymiliana, gdyby jego niespełna rozumu ojciec nie przegonił dziennikarza, który zaoferował za wywiad z rodzicami Rzeźnika niebagatelne pięć tysięcy. – Za te pieniądze można by wymienić boazerię w przedpokoju na dębową – dodałaby na stronie.

Nie ten jest szczęściarzem, kto nie wpada kłopoty, lecz ten, kto się z kłopotów wydostaje. Podobnie jak odważny nie jest ten, kto się niczego nie boi, lecz ten, kto potrafi przezwyciężyć własny lęk – powiedziałaby ktoś równie rozumny jak matka Maksymiliana, czyli na przykład szympanś Szymon ze stołecznego zoo, który z nudów zjadł pozostawiony przez wrażliwą opiekunkę egzemplarz *Alchemika*. I przeżył.

Znakomita większość krewnych Szymona z rodziny człowiekowatych uważa, że szczęście im się po prostu należy. Słusznie, bo w końcu nie bez powodu

w 1776 roku Ojcowie Założyciele napisali w Deklaracji Niepodległości, że my, naród, mamy prawo do szczęścia. Co prawda Jefferson i Adams napisali jedynie o dążeniu do szczęścia (*the pursuit of happiness*), czyli że my, naród, mamy prawo do dążenia do szczęścia, a nie prawo do szczęścia, ale to chyba oczywiste, że ojcowie demokracji mieli na myśli coś więcej niż samo dążenie. Po co komu byłoby prawo do samego dążenia, skoro nie miałyby prawa do szczęścia? Dąży się w końcu po to, żeby osiągnąć cel, a nie po to, żeby go nie osiągnąć, to chyba jasne dla każdego, kto nie jest matką Maksymiliana.

Skoro więc dążymy, mamy prawo wymienić żonę, kiedy żona nam się znudzi, bo przecież żona, która się znudziła albo popsuła, nie pomaga w dążeniu do szczęścia, lecz wręcz przeciwnie. To się tyczy również popsutych pilotów do telewizorów, telewizorów, sokowirówek i innych sprzętów gospodarstwa domowego, mężów, przyjaciół i tak dalej. Ten, kto zezłomował popsutą żonę, ma prawo domagać się lepszej żony, bo to mu obiecuje konstytucja, w każdym razie piękna konstytucja amerykańska, na której powinny się wzorować wszystkie inne konstytucje na świecie. Lepsza żona bardziej pomaga w dążeniu do szczęścia niż gorsza żona, więc utrwała demokrację, co przynosi o wiele lepsze efekty niż uganianie się po pustyni za talibami.

Teraz więc już wiemy, że gdy Maksymilian wjechał w Milenę, stało się to w imię demokracji. W chwili, kiedy po raz pierwszy spojrzeli sobie w oczy, nie mogli oczywiście wiedzieć, że czuwają nad nimi Ojcowie Założyciele, i nie mogli też wiedzieć, że dzięki pokrętnej łaskawości losu dostaną wreszcie to, na co czekali stanowczo za długo. Nie tylko Maksymilian. Milena również.

Zanim wylądowała na masce białej toyoty avensis, jej życie było względnie bezpieczne, komfortowe i nieznośnie puste. Kiedy jesteś córką jednego z czterdziestu siedmiu najzamożniejszych rodaków F.F. Chopina (dziennikarze piszący o ojcu Mileny, obok jego nazwiska zawsze wstawiają przepisana z Wikipedii formułkę: „jest jednym ze stu najbogatszych Polaków”, ale to dość krzywdzące dla kogoś, kto jest czterdziesty siódmy, bo przecież numer czterdzieści siedem różni się tym od numeru sto, że ma prawie czterysta milionów na koncie więcej; mała rzecz, a cieszy), no więc kiedy jesteś córką cholernego milionera, masz dylemat rodem z ulubionego serialu żony Maksymiliana: nigdy nie wiesz, czy facet kocha ciebie, czy raczej pieniądze twojego papy. Milena miała nadzieję, że pewnego dnia ktoś ją pokocha mimo pieniędzy papy.

Czekając na wielką miłość, czytała sporo literatury fachowej (od *Dumy i uprzedzenia* po *Skok Safony*) i przeżywała kolejne rozczarowania, bo mężczyźni, których poznawała, w porównaniu z bohaterami jej ulubionych powieści byli papierowi i nieznośnie przewidywalni.

Dlatego zamiast po zajęciach z procesów poznawczych pójść na lunch z kolegami z roku, usiadła na ławce w parku Krasieńskich, żeby zapłakać nad losem

Walthera Fabera.

Dokończyłaby powieść o miłosnym fatum, gdyby nie deszcz i ból głowy. Pozbierała więc zmoczone manatki i ruszyła do apteki po tabletki, ale zamiast w aptecce, wylądowała na masce białej toyoty.

Gdy podjechała twarzą aż do przedniej szyby, zobaczyła podpuchnięte, szeroko otwarte oczy Maksymiliana. A w tych oczach odbicie swoich szeroko otwartych oczu, w których odbijały się jego oczy, w których zobaczyła coś, co ją zahipnotyzowało: unikalne, nieskończenie piękne, autentyczne przerażenie.

Milena nie potrafiła wytłumaczyć, co takiego ujęło ją w Maksymilianie. Bo przecież nie to, że był naprawdę przystojny i że miał najpiękniejsze dłonie, jakie kiedykolwiek widziała, ani to, że przez całe życie bał się ćwikły, ani też to, że mówił włączać i lubił peklować swoje kobiety. Nie miała pojęcia, dlaczego bezwarunkowo i nieodwołalnie pokochała mężczyznę, który chciał ją zabić.

I choć zdjęcia rozpixselowanej twarzy Maksymiliana znalazły się w większości gazet, a film z zatrzymania Rzeźnika, który rozstawił osiedle Lazur III, pokazały wszystkie ważniejsze stacje telewizyjne, Milena była pewna, że to nie on pokroił kobietę, która była jego żoną, na siedemdziesiąt dwa kawałki. Dlatego spotkała się z najlepszym prawnikiem w mieście, a potem zadzwoniła do ojca, żeby mu powiedzieć, że właśnie wypłaca z konta trzysta tysięcy na kaucję dla niewinnego zbrodniarza.

– A jeśli to zrobił? – zapytał ojciec. – Skąd masz pewność, że jest niewinny? A jeśli wyciągniesz go z aresztu, a on cię w zamian pokroi i zapakuje do słoików?

– To będę najszcześniejszą na świecie pokrojoną frajerką – odpowiedziała Milena.

– Wolałbym mieć córkę w jednym kawałku.

– Będziesz miał. Obiecuję.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Ale kiedy kilka dni później uśmiechnięty dziko Maksymilian stanął przed nią z nożem w ręku, nie była już taka pewna. Przez głowę błyskawicznie przeleciały jej obrazy: ojciec, który szlocha nad kolekcją słoików z etykietami: „Zapeklowana frajerka_01”, „Zapeklowana frajerka_02”, aż do: „Zapeklowana frajerka_66” (Milena jest drobniejsza od żony Maksymiliana), zakrwawiony Maksymilian, który mówi do niej: „Przepraszam, byłeś dla mnie naprawdę dobra, ale to jest silniejsze ode mnie”, triumfująca Zofia, która rzuca na jej trumnę czarne tulipany, nagłówki w gazetach: „Rzeźnik z Ursynowa pokroił największą idiotkę w kosmosie”.

Po chwili oprzytomniała. Zaraz, zaraz, przecież weszła do kuchni, a w kuchni ludzie czasami używają noży. Zresztą Maksymilian nie wywija przed nią maczetą, tylko trzyma w ręce nóż do smarowania pieczywa, pomyślała.

W jednej ręce trzymał nóż, w drugiej rogalik. I nie uśmiechał się dziko, tylko raczej głupawo. Miał powody, żeby się uśmiechać: uwolniła go od niekończących się rozmów z komisarzem Pucem i ocaliła przed wytatuowanymi przystojniaczkami z celi.

Kochała ten głupawy uśmiech. Wszystko w nim kochała. Darzyła bezbrzeżną miłością również jego woreczek żółciowy, okrężnicę i ślinianki, tak przynajmniej myślała. Kiedy Maksymilian odwrócił się w jej stronę i zamarł z tym swoim głupawym uśmiechem, czekając, aż ona coś powie, Milena zaczęła się zastanawiać, patrząc w jego oczy z delikatną mongolską fałdą, co by zrobiła, gdyby się dowiedziała, że facet, którego dzięki pieniądzom i znajomościom ojca wyciągnęła z aresztu, zamierza ją jednak zapeklować.

– Masz ochotę na rogalik z masłem i dżemem truskawkowym? – zapytał Maksymilian, wciąż trzymając w ręku nóż. – Co to za dziwna mina? Coś jest nie tak?

– Nie.

– Odpowiedziałas na pierwsze pytanie czy na drugie?

– Na oba. Nie jestem głodna.

– No dobra, ale coś się stało, prawda?

– Przestraszyłam się.

– Czego?

– Że jestem głupia.

– Wiesz, że nie jesteś, przecież masz iloraz ponad sto pięćdziesiąt.

– Nie mówię o rozwiązywaniu idiotycznych rebusów. Wiesz, o co mi chodzi.

– Nie mam pojęcia.

– No, naiwna. Przestraszyłam się, że jestem naiwna.

– I że... zadajesz się z Rzeźnikiem?

– Tak.

– Nie jesteś naiwna, przecież wiesz. Znajdę skurwysyna, który mnie zrobił w tę garmazeryjną zadymę – powiedział Maksymilian.

– Pomogę ci.

– Już mi pomogłaś. W życiu nikt tak mi jeszcze nie pomógł.

– Pomogliśmy sobie nawzajem – uśmiechnęła się Milena.

– Nic ci nie pomoże – powiedział komisarz Puc, gdy Maksymilian opuszczał areszt. – W końcu i tak tu wrócisz. Wszystkiego nie da się kupić.

– Na pewno nie chcesz rogalika? – zapytał Maksymilian.

– Na pewno, wierzę ci – odpowiedziała Zofia. – Chociaż wszyscy poza dziadkami mówią, że to ty ją zabiłeś.

– Na pewno nie, nie jestem głodna – powiedziała Milena.

– Przykro mi. Ale daję ci słowo, że już tu nie wrócę – odpowiedział Maksymilian Pucowi.

– A w takim razie kto? – dopytywała się Zofia.

– Tego się właśnie muszę dowiedzieć.

– Nie wciskaj kitu. Nikt się na te tanie sztuczki nie nabierze – powiedział Puc.

– A może jednak? Może powinnam zjeść kawałek? Tylko wołałabym miód zamiast dżemu.

– Dobrze – powiedziała Zofia.

– Dobrze – odpowiedział Maksymilian, otwierając szafkę. – Wolisz lipowy czy wielokwiatowy?

– Wszystko jedno. Może za rok, może za dwa, ale w końcu wyrok zapadnie i wrócisz do pudła – zakończył spotkanie Puc.

– Nigdy więcej tam nie wrócę, obiecuję. I będę cię zawoził do szkoły.

– Wiesz co, sama zrobię śniadanie. Chcesz coś oprócz tego rogalika? – zapytała Milena, całując go w szyję.

– Owsiankę. Mam ochotę na glutowatą owsiankę z rodzynkami.

– Chyba nie mam rodzynek. Czy rodzyneków? Jak się mówi, bo, cholera, nie mam pojęcia.

– Wszystko jedno. Jak ci się bardziej podoba.

– Chyba rodzynek. Kocham cię, wiesz?

– Ja jednak wolę rodzyneków – odpowiedział Maksymilian.

Rozdział trzydziesty

Nigdy mi nie powiedziałeś, że mnie kochasz – powiedziała, kiedy prysnął jej w twarz odrobiną piany.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Czy to, że nigdy tego nie powiedziałeś, oznacza, że mnie nie kochasz?

– Skąd taki pomysł? – zapytał Maksymilian

– Jaki pomysł? Nie rozumiem.

– Ja też nie.

– Czy możesz odpowiedzieć? Zadałam ci pytanie – powiedziała płaczącym tonem żona Maksymiliana, zanim została jego żoną.

– Może dolejemy ciepłej wody? – zaproponował Maksymilian, próbując przełożyć nogę ponad jej kolanem.

Po kąpeli z Panną Supełek starał się unikać tego typu przygód, ale większość kobiet, z którymi do tej pory miał do czynienia, widziała we wspólnym włożeniu do wanny coś więcej niż oszczędność wody i energii elektrycznej, czego nigdy, mimo najszczerzych chęci, nie mógł pojąć. Gdyby jeszcze ta cholerna wanna była większa i dałoby się w niej zagrać w siatkówkę wodną, to OK, jakoś mogłoby to zrozumieć, ale męczyć się w imię chorej bliskości to przesada. Więc kiedy wzbraniał się przed uświęconym rytuałem wspólnej kąpieli w ciasnej wannie, jego przyszła żona wyjaśniła mu, że w ten sposób buduje się intymność, rozwija czułość i opiekuńczość i można się sobą nawzajem nacieszyć.

– Możesz dolać ciepłej wody, chociaż wydaje mi się, że woda jest w porządku. Natomiast ty nie jesteś w porządku, bo nie odpowiadasz na moje pytanie.

– Nie oznacza.

– Co nie oznacza?

– A o co pytałaś?

– Nie pamiętasz?

– Jak to? Oczywiście, że pamiętam, ale ty najwyraźniej zdążyłaś już zapomnieć.

– Nie zapomniałam. Jak mogłabym zapomnieć?

– No to świetnie.

– Zapytam w takim razie wprost, skoro wciąż stosujesz te swoje uniki. Kochasz mnie?

– Nie.

– To straszne!

– Tak, to straszne, ale nic na to nie poradzę. Myślałem, że jestem w tobie zakochany, ale po tych dwóch tygodniach, które spędziliśmy razem, dochodzę do

wniosku, że jednak nie. Przykro mi.

– Tobie? Tobie jest przykro? A co ja mam powiedzieć?

– A więc nam obojgu jest przykro.

– Nieprawda! Nie oszukuj mnie, ty koryfeuszu. Wiem, że masz to gdzieś!

A jednak nie sądziłam, że chodziło ci tylko o seks...

– Może jednak chciałaś powiedzieć: faryzeuszu? Nie chodziło mi o seks.

W każdym razie nie bardzo – powiedział Maksymilian, skubiąc gąbkę.

– Ależ jesteś podły! Nie dość, że wykorzystałaś moje uczucia, to jeszcze chcesz odebrać mi poczucie własnej wartości, dyskredytując to, co się wydarzyło w łóżku. Jeśli mnie nie kochasz i jeśli nie podoba ci się seks ze mną, to o co ci chodzi? Po co mi zwracasz głowę?

– Nie powiedziałem, że mi się nie podoba. Powiedziałem, że nie spotykam się z tobą dla seksu.

– Nic już nie rozumiem – załkała.

Maksymilian wyszedł z wanny i sięgnął po niebieski ręcznik w żółte koła sterowe.

– Co zamierzasz w tej sytuacji? – zapytała, pochlipując.

– Jak to? – zdziwił się Maksymilian. – Zamierzam się wytrzeć.

– A potem?

– Ubrać się i wyjść.

– Nie możesz mnie tak zostawić!

– Dlaczego?

– Bo nie.

– Uff... myślałam, że jest jakiś inny powód.

– A jeśli jestem w ciąży?

– To niemożliwe.

– Możliwe! Nie powiedziałam ci o tym wcześniej, bo chciałam być całkiem pewna...

– To niemożliwe, żebyś po dwóch tygodniach wiedziała, że jesteś w ciąży.

– Zrobiłam test.

– No i?

– No i już wiesz. Jestem w ciąży.

– Czy ten test pokazał też, że jesteś w ciąży ze mną?

– A z kim miałabym być?

– Z kimś innym. To ty powinnaś wiedzieć.

– Nie obrażaj mnie bardziej niż to konieczne. Jeśli musisz mnie obrażać, rób to z klasą. Sądziłam, że jesteś dżentelmenem, ale wyszło sztydło z worka.

– Byłaś u lekarza?

– Mam wizytę za tydzień. Ale to tylko formalność, bo wiem, że jestem w ciąży, kobieta takie rzeczy wie. I to w ciąży z facetem, który mnie nie kocha.

– Skąd wiesz, że cię nie kocham?

– Bo tak powiedziałaś.

– No dobrze, powiedziałem, ale tylko dlatego, że za bardzo naciskałaś. Źle znoszę, kiedy ktoś na mnie naciska. Mam tak od czasu, gdy matka wpadła na pomysł, żeby nauczyć mnie jeść brukselkę. Nie wyjdiesz na podwórko, jak nie zjesz brukselki, wiesz, te sprawy. Po godzinie się poddałem, zrobiło mi się niedobrze i zwymiotowałem wszystko na stół przykryty ceratą z nadrukowanymi owocami cytrusowymi. Dopiero kiedy matka zrozumiała, że moja awersja do brukselki nie jest jedynie zwykłym widzimisię, dała mi spokój. Musisz zrozumieć, że od tamtej pory po prostu źle znoszę, kiedy ktoś na mnie naciska.

– Ja nie naciskałam. Po prostu chciałam wiedzieć. Powiedziałam ci już trzy razy, że cię kocham, a ty ani razu. Chyba mam prawo usłyszeć, co czuje do mnie mężczyzna, który jest ojcem mojego dziecka.

– Jeszcze nie jest. I nie wiadomo, czy będzie.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytała, nie przestając szlochać.

– Już przestań. Przestań się mazać. Wytrzyj nos – powiedział, podając jej listek papieru toaletowego.

– Chyba żartujesz!

– Dlaczego?

– Do wycierania nosa służą chusteczki higieniczne. Są w szafce po lewej od lustra.

– Aha, przepraszam. Nie wiedziałem.

W szafce po lewej od lustra Maksymilian oprócz chusteczek higienicznych znalazł różową suszarkę do włosów marki Philips. Wystarczyło ją włączyć i wrzucić do wanny. Właśnie wtedy po raz pierwszy pomyślał o tym, żeby zabić tę kobietę.

Ma co najmniej piętnaście lat i ciągle działa. Niektóre przedmioty są bardziej uparte niż ludzie, pomyślał Maksymilian, odkładając na miejsce różową suszarkę do włosów, która spadła mu na głowę, kiedy w piwnicy przeszukiwał porozstawiane na regałach kartony. Wciąż liczył na to, że jakimś cudem znajdzie srebrnego Walthera, którego Dzinusia ukryła gdzieś po wizycie panny Marple.

Żeby nie wzbudzać niepotrzebnych sensacji, na osiedle Lazur III przyjechał późnym wieczorem. Sąsiedzi już wiedzieli, że wyszedł z aresztu, bo przecież niektórzy czytają prasę, a wszyscy oglądają telewizję, więc było dla nich jasne, że wcześniej czy później się tu zjawi.

Przez bramę przeszedł właściwie niezauważony, bo nierozgarnięty ochroniarz uznał, że nie ma sensu przyglądać się komuś, który zna kod, więc mieszkańcy nie zostali w porę ostrzeżeni, że oto nadchodzi Rzeźnik z Ursynowa, *mayday, mayday, mayday!*

Na parterze jak zwykle ujądał histeryczny minisznaucer, ale poza nim na

klatce schodowej nie dały o sobie znać inne formy życia.

Na osiedlu Lazurowym właściwie nikt nie chodzi po schodach, wszyscy jeżdżą windą, nawet jeśli muszą pokonać tylko jedno piętro, w myśl zasady, że skoro coś jest, trzeba z tego korzystać. Kiedy człowiek chce zadbać o formę, idzie do fitness klubu, a nie chodzi po schodach, w końcu nie jest dozorcą czy listonoszem.

Z mieszkania Maksymilian zabrał tylko wietnamski plecak, który dostał od matki na trzydzieste urodziny, spakował do niego trochę ubrań i zszedł do piwnicy, gdzie oberwał w głowę różową suszarką, co wywołało bolesne wspomnienie wspólnej kąpieli z żoną sprzed wieków.

Zamknął piwnicę i wbiegł na parter. Jeszcze tylko drzwi wejściowe, jakieś czterdzieści metrów przez podwórko, brama i znów dosiądzie audi A8.

Tuż przed klatką schodową zobaczył objuczoną torbami z Tesco Lipską.

– Dobry wieczór – powiedział uprzejmie Maksymilian, a wtedy Lipska, wwiercając się w niego znieruchomiałymi nagle oczami, osunęła się na ziemię. Maksymilian rzucił plecak i kucnął obok niej.

– No już! Niech się pani przestanie wygłupiać! Wstajemy i idziemy do domku, gdzie czekają na nas śliczne dzieciaczki i kochany mężuś. Nie ociągamy się! Już, już! No wstańżeż, ty paszczurze jeden obrzydliwy, niech cię szlag. Nie rób mi tego, kurwa! W skamielinę mi się tu zamieniła, ja pierdołę... Błagam cię, Lipska – przemawiał do niej czule, klepiąc ją po piegopatym policzku.

– Co robisz, ty skurwysynu?! – wrzasnęła Lipska, który nagle wybiegł z klatki.

– Próbuję... – zaczął wyjaśniać Maksymilian, ale mąż szpetnej pieguski rzucił się na niego z pięściami.

– Pali się! – krzyknął Maksymilian, zgodnie z zaleceniami mistrzów od samoobrony miejskiej.

Lipski odskoczył.

– Co? – zapytał przestraszony.

– Nic. Tak się mówi.

– Co jej zrobiłeś?

– Nic. Po prostu zemdląca na mój widok.

– Dziwisz się?

– Niespecjalnie. Zadzwoń po pogotowie.

– O mój Boże, wiedziałam! – wrzasnęła Lipska, która właśnie odzyskała przytomność. – Działacie w zмовie! Wiedziałam, że będę następna, mówiłam, przeczuwałam! Ratunku!

– Żeby ktoś zareagował, trzeba krzyknąć: „Pali się!”. Na zwykłe: „Ratunku” nikt nie zwróci uwagi – poinformował sąsiadkę Maksymilian.

– Mordercy, ratunku! – zawołała znowu Lipska, ale po chwili się poprawiła: – Pomocy, pali się!

- Brawo – pochwalił ją Maksymilian.
 - Uspokój się, kochanie. Czy on ci coś zrobił? – dopytywał się Lipski.
 - Zaczaił się na mnie na klatce, wyjął nóż i przystawił mi go do gardła – fantazjowała Lipska, przewracając oczami.
 - Zaraz przyjedzie pogotowie – powiedział Maksymilian. – Poproście o lewomepromazynę. Niezły odlot, polecam.
 - Chodź do domu, kochanie – nachylił się do żony Lipski, próbując podnieść ją z ziemi.
 - Boję się iść z tobą do domu! Mordercy, pali się! Ja zwariuję z tego wszystkiego...
- Lewomepromazyna będzie idealna, pomyślał Maksymilian, podnosząc z ziemi plecak. Chciał jak najszybciej spotkać się z Mileną. Obiecała mu przecież niespodziankę.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Gdy ruszył spod osiedla Lazurowe III, ciekłokrystaliczny wyświetlacz pokazywał godzinę 23.17.

Masz za mało paliwa, usłyszał. Audi zaczęło go przekonywać, żeby skręcił na stację benzynową, bo w przeciwnym razie za siedem kilometrów stanie, ale Maksymilian nie zamierzał tracić czasu.

– Nie wierzę ci, ty sukinsynu – powiedział do audi. – Zawsze jest jakiś margines błędu. Masz dojechać, bo cię zezłomuję.

Ha, ha, odpowiedziało audi, które należało do ojca Mileny.

Zapaliłby. Ale jakoś głupio palić w pożyczonym samochodzie. Przyspieszyłby. Ale spotkanie z policjantami było ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzył. Wolał nie ryzykować. Za pięć kilometrów odmówię współpracy, powiedziało audi, a Maksymilian spojrzął na nawigację, która powiedziała, że do celu pozostało 7,5 kilometra.

– No dobra, zatankuję – powiedział do szantażującego go samochodu. – Wygrałeś.

To nie przypadek, że właśnie teraz zabrakło mi paliwa, pomyślał, wlewając do baku dziesięć litrów ropy, żeby oszczędzić czas i żeby oszczędzić pieniądze. To nie przypadek, powtórzył, gdy przy dystrybutorze obok zobaczył cycatą pogodynkę.

– A gdzie gówniarz w bejsbolówce? – zawołał, ale pogodynka nawet się nie odwróciła.

– Aaaaa! – wrzasnął Maksymilian.

– Aaaaa! – wrzasnęła równocześnie Milena.

Zderzyli się w przedpokoju, gdy Maksymilian wszedł do mieszkania, a Milena właśnie wychodziła z łazienki.

– Ale mnie nastraszyłeś! – jęknęła, głęboko wciągając powietrze, jakby chciała nadrobić roczne niedobory tlenu.

– Ty mnie też. Nie odbierałaś, więc pomyślałem, że coś ci się stało. Jadąc tu, wyobraziłem sobie, że ten ktoś, kto zabił moją żonę, cały czas mnie śledzi. Że był z nami na Mazurach i zorganizował wypadek, w którym zginął Amadeusz, a teraz chce zabić ciebie i mnie w to wrobić. Albo że chce cię porwać dla okupu i dopisać to do mojego rachunku. Pamiętasz tę pogodynkę, którą spotkałem na pustyni? Znowu ją widziałem. Na stacji benzynowej.

– Nie pamiętam. Jaką pogodynkę? – zapytała Milena.

– Nieważne. Czy wiesz, że kiedy Siergiej Tkacz, zabójca ponad stu kobiet, opowiedział o wszystkich swoich mordach, z więzień na Ukrainie wypuszczono dziewięciu niewinnych ludzi, którzy odsiadywali karę za popełnione przez Tkacza zbrodnie? Nie zamierzam dać się wrobić.

– Ciekawe, czy boisz się bardziej o mnie czy o siebie? – zapytała Milena, nalewając herbatę do filiżanek.

Maksymilian, który nie miał wątpliwości, że człowiek zawsze boi się bardziej o siebie, zostało to już nie raz udowodnione, postanowił zmienić temat.

– Prawie zabiłem Lipską – powiedział.

– Kto to jest Lipska?

– Sąsiadka. Matka dwóch rozwydrzonych bachorów, którymi opiekuje się najgłupsza niania na tej półkuli. Nie powinnaś pić wrzącej herbaty. Można od tego dostać raka przełyku.

– Dlaczego chciałeś ją zabić?

– Nie chciałem. Wystarczyło, że mnie zobaczyła i omal nie umarła na atak serca. Jaką masz dla mnie niespodziankę? – przypomniał sobie Maksymilian.

– Leży na stoliku koło telewizora – powiedziała Milena, uśmiechając się zagadkowo.

– Mercedes?

– Co mercedes?

– Kupiłaś mercedesa?

– Dlaczego?

– No bo tu leżą kluczyki od mercedesa.

– Nie, to zapasowe od tego, w którym rozwalila się Iwona.

– Raczej w którym rozwalila Amadeusza – mruknął Maksymilian i wziął do ręki leżącą obok kluczyków kopertę. – O kurwa! – zawołał, kiedy zobaczył zawartość, która wysypała się na podłogę. – Jak to zdobyłaś?

– Policjanci też muszą coś jeść. Cieszysz się?

– Nie wiem, jak ci się odwdzięczę – powiedział oszołomiony Maksymilian.

– Na przykład możesz mi teraz sprawić drobną przyjemność – wyszeptała, przyciągając go za pasek do siebie.

Jak na możliwości Maksymiliana, ta drobna przyjemność trwała niewiarygodnie długo, bo co najmniej jedenaście minut, a jeśli litościwie doliczyć szamotanie się przy zdejmowaniu spodni, nawet dwanaście.

To, że przy Milenie Maksymilian odnalazł radość z seksu, nie oznaczało wcale, że odnalazł radość z długiego seksu. Żeby móc kochać się dłużej niż kwadrans, trzeba mieć coś w rodzaju kondycji, a kondycji Maksymilian nigdy nie miał i mieć nie zamierzał.

Dwunastominutowe bzykanko i tak sytuuje duet Milena & Maksymilian zdecydowanie powyżej średniej krajowej. Bo choć najnowsze badania przeprowadzone w polskich sypialniach wskazują, że rodacy F.F. Chopina robią to przeciętnie osiemnaście minut, Maksymilian da sobie rękę uciąć, że respondenci lżą w żywe oczy. To jasne, że większość odpytywanych prędzej przyznałaby się, że marzy o seksie z owcą, niż że ich numerek trwa góra trzy minuty. Tego, że

ankietowani kłamią w żywe oczy, dowiódł Alfred Kinsey, ten, który badał życie seksualne Amerykanów w połowie dwudziestego wieku. Kinsey poprosił wówczas mężczyzn, żeby w zaciszu domowych ognisk zmierzyli sobie długość sterczącego fiuta. Po zsumowaniu danych otrzymał średnią 15,5 centymetra. Ale gdy do pomiarów zabrał się personel medyczny, by uwiarygodnić dane do raportu Kinseya, okazało się, że przeciętnie sterczący fiut mierzy ni mniej, ni więcej, niestety, nie więcej niż 13 centymetrów.

Maksymilian, którego sterczący fiut, podobnie jak fiuty mężczyzn na całym świecie, miał dwa różne rozmiary, po dwunastominutowym numerku był kompletnie wykończony. Ledwie dysząc, sięgnął po leżącą na szafce paczkę i wyjął z niej papierosa. Dopiero po paru minutach, gdy udało mu się opanować lekkie drżenie rąk i ustabilizować oddech, zabrał się do przeglądania zawartości żółtej koperty, w której Milena przyniosła niespodziankę, czyli towar kupiony od kolegów komisarza Puca: zeznania, stenogramy, anonimy, listy, zdjęcia i filmy.

– Oglądamy? – zapytał, wkładając płytę do odtwarzacza.

Pierwszy film był relacją z zatrzymania Maksymiliana, drugi był niezwykle wciągającym dokumentem, który pokazywał jeden dzień z życia pewnej kafejki internetowej.

– O kurwa – powiedział po raz drugi tej nocy Maksymilian, gdy po czterech godzinach wpatrywania się w monitor wśród gości kafejki rozpoznał znajomą twarz. – Znam tego faceta! Hej, znam tego gościa, słyszysz?!

– Aha. Która godzina?

– Czwarta trzydzieści dwie. Ojej, przepraszam, przecież ty śpisz.

– Już nie śpię. Jakiego gościa?

– Tego z kafejki.

– No i kto to jest?

– To mąż babsztyla, którego tysiąc razy miałem ochotę zastrzelić.

Rozdział trzydziesty drugi

Wygląda jak wyrzucony na plażę wieloryb. Od dobrej godziny leży nieruchomo i grzeje kości we wściekle przypiekającym słońcu. Gdyby nie drewniany domek w stylu niemalże podhalańskim, byłaby dominującym elementem przestrzennym na sielskiej polanie, którą obserwują ukryci w krzakach intruzi. Z domku w stylu niemalże podhalańskim dochodzą do nich odgłosy i zapachy gotowania.

W krzakach słońce nie przypieka co prawda tak mocno jak na polanie, ale i tak możesz się udusić w sosie własnym, jeśli oczywiście wcześniej nie zjedzą cię rozjuszone mrówki i komary, którym ochoczo wystawiłeś się na drugie śniadanie.

– Długo jeszcze? – pyta Milena.

– Nie wiem – odpowiada Maksymilian.

– A jak sądzisz?

– Ciszej!

– Przepraszam. Więc ile? – pyta ciszej Milena.

– Jeszcze trochę.

– Lepiej żeby to było krótkie trochę, bo już nie mam miejsca.

– Na co?

– Na kolejne ukąszenia.

– Nie narzekaj, proszę cię.

– Nie narzekam, choć muszę przyznać, że wolałabym być teraz gdzie indziej.

– A ja wolę być tutaj niż tam.

– Tam jest pojęciem dość pojemnym.

– Wolę być tutaj, niż na przykład w celi.

– Ja też wolę, że jesteś tutaj niż w celi. Co nie oznacza, że nie wolałabym być z tobą na przykład w łóżku na Filtrowej. Na Filtrowej czy przy Filtrowej? Popatrz! Za chwilę znowu będą jedli!

– Jesteś głodna?

– Mam wrażenie, że ostatni raz coś jadłam w okolicach Pierwszej Komunii Świętej.

– Jeszcze trochę, wytrzymaj.

– Chcę, żebyś wiedział...

– Co takiego? – zaniepokoił się Maksymilian.

– ...że mimo ukąszeń, głodu, pragnienia i ogólnego poczucia dyskomfortu w kategorii *open* to jedna z najprzyjemniejszych przygód mojego życia. Ale wciąż mi nie powiedziałeś, w jaki sposób chcesz zdobyć jego włos.

– Bo wciąż nie wiem. Może zadzwonię po kilku radykalnych członków Polskiego Ruchu Przyjaciół Indian i poproszę, żeby zdjęli z niego skalp. A może poproszę ciebie.

– Żeby mu zdjęła skalp? Wiesz, że to uwielbiam!

– Ja nie mogę tam pójść, to jasne, ale ciebie nigdy nie widzieli. Więc gdybyś na przykład wybrała się do nich i zaproponowała kosiarkę za pięć dych albo że im w ramach akcji „Dzień dla Ziemi” wysprzątasz za darmo działkę...

– Daj na chwilę lornetkę.

– Widzisz coś ciekawego? – pyta Maksymilian, gdy Milena lustruje polanę kupionym na potrzeby śledztwa bushnellem.

– Nic.

– A co chciałaś sprawdzić?

– Czy już się poparzyła.

– Jeszcze nie. Ale mam nadzieję, że w nocy przeżyje piekło.

Kiedy Maksymilian uśmiecha się, wyobrażając sobie katusze przypalonej panny Marple, na progu domku w stylu niemalże podhalańskim staje ubrany w żółte szorty Wincenty. Ledwo je widać, bo wylewa się na nie rozedrgany, pokryty czarną szczeciną brzuch. Gdyby do tego mąż panny Marple miał na sobie żółte podkolanówki i przykrótką żółtą koszulkę, wyglądałby jak wyrośnięty trzmiel.

– Co tam masz? – pyta panna Marple, spoglądając z zainteresowaniem w stronę męża.

– Gulasz.

– Gulasz...

– Gulasz. Przyjdiesz do kuchni, kochanie?

– Słońca mi szkoda, Wicusiu. Zjem tutaj.

– I co teraz? – pyta Milena.

Maksymilian czuje na szyi jej gorący oddech, a w nozdrzach ostatnie nuty Angel Muglera.

– Poczekajmy jeszcze chwilę. Może jednak pójdą nad rzekę.

– Przecież powiedziała, że jej się nie chce.

– Może przypiekło ją tak, że będzie się musiała ochłodzić.

– OK, i co wtedy?

– Poszukamy włosów w kuchni. Albo na ganku.

– Zgłodniałam już tak, że nie wiem, no naprawdę – żali się panna Marple, gdy Wincenty podaje jej miche gulaszu.

– Ja też – mówi Wincenty.

– Mnie też burczy w brzuchu – mówi Maksymilian.

– Słyszałeś coś? – pyta panna Marple Wincentego.

– Ale co? – pyta Wincenty.

– Głosy.

– Nie słyszałem.

– To posłuchaj.

– Oprócz ciebie nikogo nie słyszę.
– Przestań gadać, bo tak to tylko słyszysz sam siebie, no naprawdę.
– Dalej nic – mówi Wincenty.
– A ja słyszę.
– Ale co?
– No te głosy.
– Hm... to może radio. Albo te chamy po drugiej stronie rzeki drą się na cały regulator. Ale ty czujna jesteś, Martusiu, ja nie mogę.

– Już się taka urodziłam, że nic mi nie umknie, Wicusiu.

Milena drapie się i jęczy, kiedy po dziesięciu minutach przedzierania się przez krzaki wydostają się na prowadzącą wzdłuż lasu drogę, przy której zaparkowali samochód.

– Myślisz, że nas słyszała? – pyta Milena.

Maksymilian patrzy na Milenę, boleśnie mrużąc oczy w słońcu, i nie może się nadziwić, że wytrzymała bite sześć godzin w krzakach na podglądaniu panny Marple i jej męża, który tak naprawdę jest wyrośniętym trzmielcem.

– Jak się masz? – pyta Maksymilian.

– Dobrze, choć oczywiście jak zwykle boli mnie głowa, a teraz również nogi i trochę szyja, a poza tym mam ochotę zedrzeć sobie skórę, bo wszystko mnie swędzi – mówi Milena. – Ale wytrzymam, bo jestem dzielna jak Róża Luksemburg, ulubiona bohaterka Iwony, au!

Maksymilian też jest dzielny, choć nie tak dzielny jak Róża Luksemburg, bo w końcu kobiety są dzielniejsze od mężczyzn, mają więcej estrogeny, więc lepiej znoszą zawały, a niektóre nawet potrafią urodzić siedmioraczki, a potem jeszcze zapamiętać ich imiona. Kobiety lepiej sobie radzą z życiem, o czym świadczy liczebna przewaga wdów nad wdowcami, i dlatego Maksymilian ma moralne prawo narzekać, że pada na pysk, skrzypią mu powieki, kiedy je przymyka, bo od kilku nocy w ogóle nie spał, a do tego jeszcze to słońce, ten głód, to pragnienie i zainstalowany poniżej przeciętnej próg bólu, więc Milena mogłaby się nad nim użalić, bo przecież on z natury ma gorzej, może kultura jest po jego stronie, lecz natura sprzyja kobietom, więc Maksymilian ma prawo bardziej narzekać, ale OK, dziś z niego nie skorzysta, pokaże jej hart i siłę ducha.

Droga jest piaszczysta, nadbużańskie pola porażają nadobnym pięknem, słowiki albo skowronki realizują postulat Horacego i chwytają dzień, kręcąc beczki i pętle – cała ta urzekająca scenografia, dla której stęsknieni na emigracji twórcy tracą głowę i poczucie humoru, by wysmarować zapierający dech w piersiach opis przyrody, ta scenografia, czyli w tym wypadku drzewostan sosnowo-dębowo-brzozowy z lewej i łąny trawowo-kwiatowe z prawej powinny nasycić duszę Maksymiliana, zwłaszcza że jeszcze kilkanaście dni temu Maksymilian mógł podziwiać jedynie grzyb porastający ścianę celi, ale widok

jakże wzruszający, ta przepiękna mazowiecka scenografia nie nasycza duszy Maksymiliana, ponieważ jedyną rzeczą, jaka może w tej chwili nasycić duszę Maksymiliana, jest widok świeżo utoczonej krwi.

Maksymilian wciąż nie ma planu. Ale wciąż nad nim pracuje. Na razie poznaje zwyczaje i harmonogram dnia Wincentego, który na blogu znudzonazona umieścił wpis „zabiję cię ty kurwo. zdradzony”.

Maksymilian już wie, że Wincenty nigdy nie przekracza dozwolonej prędkości, że robi zakupy w Makro, że co drugi dzień odkurza, a raz w tygodniu pastuje parkiety, że nie znosi beczynności, że kocha swoją działkę nad Bugiem oraz swoją małżonkę, pannę Marple.

– Ma tak dobroduszną twarz, że aż trudno mi w to uwierzyć – mówi Milena, gdy dochodzą do samochodu. – Może jednak lepiej zostawmy to policji?

– Policji? Policji możemy zostawić najwyżej mandaty za złe parkowanie – odpowiada Maksymilian tonem prawdziwego macho.

Rozdział trzydziesty trzeci

Spojrzyć na białą wstążkę ciągnącą się za samolotem i powiedzieć: „Boeing 737” albo powiedzieć: „Nie, no co ty, to nie jest Airbus A320, Airbus A320 ma mniejszą rozpiętość skrzydeł”. Albo powiedzieć: „Jumbo”, jeśli akurat po niebie ślizga się jumbo. Innym razem, nie patrząc nawet w stronę huczącej bestii, powiedzieć mimochodem: „Rafale”. Powiedzieć: „Dassault Rafale”, gdy ktoś powie: „Dassault Mirage”, założyć się i wygrać.

Gdyby Wincenty miał z kim się zakładać, byłby dziś nieprzyzwoicie bogaty. Ale ludzie nie chcieli się z nim zakładać, bo wiedzieli, że Wincenty zna do ostatniej śrubki wszystko, co lata, więc Wincenty, który miał duszę hazardzisty, zakładał się sam ze sobą. Patrzył w górę i mówił pod nosem: „737”. Mówił: „Wygrałeś”. Albo pytał: „Ojej, jak na to wpadłeś?”. I odpowiadał: „No wiesz, to nie takie trudne, wystarczy trochę wprawy, tylko 737 ma tak spiczasty nosek”. Mówił: „Jesteś niesamowity, niezły z ciebie mózgowiec, mistrzu”.

– Ty sukinsynu! Niech cię piekło pochłonie! – zwrócił się Wincenty do Boga, który obrócił w proch jego marzenia o podboju przestworzy, złośliwie umieszczając mu w sercu wypadający płatek.

Wypadający płatek pozwala żyć, ale nie pozwala zostać pilotem naddźwiękowca, a Wincenty od zawsze w najpiękniejszych marzeniach widział, jak wrzuca zajadłemu wrogowi do talerza bombę, a w poślednich marzeniach widział, jak przewozi japońskich turystów z wyspy Hokkaido do miasta Frankfurt nad Menem, jak spogląda z kilku tysięcy metrów w dół i nareszcie widzi wszystko w odpowiedniej perspektywie, jak słyszy dzieciaki, które wołają do niego z podwórka na Solcu: „Panie pilocie, dziura w samolocie!”, wyobrażał sobie, jak patrzy z pogardą na kolesiów, którzy z powodu astygmatyzmu, ataków paniki albo wypadającego płatka nie mogą wznieść się w powietrze i mogą tylko powiedzieć, kiwając głowami ze znawstwem: „B-1 lancer”. Wincenty doskonale czuł, że tylko ponad chmurami może poczuć prawdziwą wolność, więc kiedy na komisji lekarskiej bezwzględny doktor pokijał końską łepetyną i powiedział z wymuszonym uśmiechem: „*Arrivederci*”, nazwał Boga sukinsynem po raz pierwszy.

Również po raz drugi Stworzyciel usłyszał przekleństwo z ust Wincentego w obecności lekarza. Lekarza i panny Marple, która siedziała obok Wincentego i ze łzami w oczach patrzyła za okno.

– Na pewno? – Wincenty zapytał doktora, a najlepszy ginekolog w mieście powiedział, że ze stuprocentową pewnością, że jak najbardziej, że nic się nie da zrobić.

– Ale czyja to wina? – Panna Marple chciała wiedzieć, kto nawalił: Wincenty czy ona.

– Tu nie ma winnych, są tylko pokrzywdzeni – powiedział lekarz tonem, jakby przemawiał z kościelnej ambony.

– No więc, które z nas nie może? – naciskała panna Marple.

Na to doktor, że oboje nie mogą. Że nie może Wincenty. Żeby nie wiem jak się starał, nie da rady. I że nie może również panna Marple, że też z całą pewnością nie da rady, żeby nie wiem jak się starała.

– To szczęście w nieszczęściu – stwierdziła panna Marple.

– Co pani ma na myśli? – zapytał doktor.

– No, że trafiliśmy na siebie. Gdyby mój mąż trafił na kobietę, która może, i gdybym ja trafiła na mężczyznę, który może, to byłoby nas czworo nieszczęśliwych. A tak jest nas tylko dwoje.

Kiedy wyszli na ulicę, panna Marple chwyciła męża za spoconą dłoń i powiedziała:

– Chodź, zjedzmy coś na to akonto. Zapraszam cię do restauracji. Francuskiej.

Tak się zaczął ich garmażeryjny taniec godowy.

Tak się pocieszają od dwudziestu czterech lat.

Wołowina, frytki, ser.

Jagnięcina, kasza, sos.

Goloneczka, piwko, chleb.

Mieloneczka, masło, chrzan.

Deska serów.

Stolik serów.

Pałac serów.

Kartofelki.

Paszteciki.

Deska wędlin.

Boeing wędlin.

Schaboszczaki.

Do popicia kompot z gruszek.

Coś na ząbek.

Kisiel, budyń, ciasto, mus.

Cukier, sól.

Rozkosz, ból.

Z każdym dniem, tygodniem i rokiem Wincenty czuł coraz silniejsze oddziaływanie ziemskiej grawitacji. Jego ciało zamieniło się w magazyn energii, której już nigdy nie uda mu się spalić. No i co z tego, że wyglądał jak gumowy stwór z logo Michelin, co z tego, że groziła mu cukrzyca, bezdech senny, zawał, udar i rak, no co? Miałby dożyć setki, odmawiając sobie jedynej prawdziwej przyjemności, jaka mu została? Żeby być szczęśliwym, trzeba spróbować

wszystkiego. Tak, to zdanie jest tak nieprawdopodobnie efektowne, że mogłoby być jego życiowym credo, gdyby oczywiście ktoś kiedyś zapytał Wincentego o jego życiowe credo.

Mimo kilku życiowych niepowodzeń Wincenty był pogodny, uczynny i do rany przyłóż, jak powiedziałaaby żona Maksymiliana. Dlatego wśród nadbużańskich chłopów Wincenty cieszył się sympatią. Gdy stawiał daczę, może i mu nie pomogli, ale też nie ukradli nawet deszczułki, co w dziejach tej okolicy zostało odnotowane po raz pierwszy.

Wzruszony tym faktem nadbużański podhalańczyk z Warszawy wręczył najbliższym sąsiadom po litrze autorskiego bimbru cytrynowego, który nie wypalił im oczu ani żołądka, więc nadbużanie w rewanżu zaprosili Wincentego na świniobicie.

Zaszlachtowali dwustukilowego tuczniaka, ułożyli w drewnianym korycie, sparzyli, rozpruli. Wyciągnęli z niego parujące flaki i podroby. Do kotła wrzucili podgardle. Poddusili z cebulą i liśćmi laurowymi. Zjedli. Wódki się napili, bo bimber już się dawno skończył. Wódka dobra, od ruskich. Głowa po niej boli, ale tania jest i porządnie nogi płacze.

Wincenty patrzył na swoich nowych przyjaciół z podziwem. Podziwiał ich między innymi za to, że mogą wypić litr wódki na głowę i mimo to potrafią zachować pozycję w miarę wyprostowaną, a także konwersować w zaskakująco szerokim spektrum tematycznym, choć posługują się niewielkim zasobem słów. O ile Wincenty dobrze policzył, wystarczyło im zaledwie siedem czasowników (pierdolić, polewać, szczać, iść, żreć, rzygać, leżeć) oraz dziesięć rzeczowników (kurwa, chuj, gówno, wódka, kielich, chłop, morda, złodziej, polityka, syf). Zabawiali go opowieściami o walce dobrego (chłop) ze złem (złodzieje politycy). O potędze smaku (wódka) i sile natury (pierdolić, żreć, szczać i tak dalej).

Wzruszony chciał im się odwdziaczyć historią szwedzkiego pilota, który oblatując myśliwiec JAS 39 Gripen w 1989 roku, nie zdołał się katapultować, spadł na płytę lotniska w Linköping i nic mu się nie stało, no, jedynie złamał rękę. Cztery lata później znów wsiadł do gripena i znów o mały włos nie zginął, jednak tym razem się katapultował. Czy ten facet to pechowiec czy szczęściarz? Wincenty chciał zagaić dyskusję, ale jego kompani bynajmniej nie mieli ochoty na rozmowę o awiacji (nie pierdol, Wicek, polej) i szczęściu (chuj z tym, polej).

– No to następnym razem pójde z tobą – stwierdziła panna Marple, kiedy zachwycony Wincenty wyznał jej, że świniobicie jest piękniejsze niż *Przeminęło z wiatrem*, ulubiony film panny Marple z czasów, gdy panna Marple lubiła jeszcze filmy o miłości.

– Dobrze – powiedziała, gdy zapytał, czy mógłby wybudować na działce wędzarnię. Bo kiedy chłopci przynieśli mu salceson, a tydzień później kielbasę, pomyślał, że sam chce kiedyś zaszlachtować świnię i ją obrobić.

Znów napędził bimbru cytrynowego i zaniósł nowym przyjaciółom, więc znowu go zaprosili na świniobicie, a on znowu napędził bimbru, i tak się sobie odwdzięczali, on im paliwo, oni mu mięsiwo. Podglądał ich i się uczył. Jak rozpruć brzuch. Jak zlać do wiadra krew, by nie uronić ani kropli. Jak oddzielić mięso od kości. Jak wypłukać jelita i wypełnić je mięsem tak, by nie popękały. Jak solić. Jak wędzić.

Kiedy parę miesięcy później po raz pierwszy zaprosił na kiełbasę własnej roboty szwagierkę i jej męża, jedli przez dwa dni bez przerwy. Jedli i pili, i nie mogli przestać, tak im smakowało.

– Ależ nasze żonki mają apetyt – powiedział pan Tomek, złota rączka. – Wypijmy za to.

I wypili. Nie mogli wypić za urodę żon, więc wypili za apetyt, a potem za spryt bliźniaczek. A kiedy wypili, Magdusia, żona pana Tomka, powiedziała:

– Idź, zobacz, czy dzieci śpią.

Pan Tomek wspiął się na pięterko domu w stylu niemalże podhalańskim, otworzył drzwi do pachnącego boczkciem pokoju i wrzasnął na cały głos:

– Śpicie?!

Czternastoletni Kamilek, który był pulchny jak mamusia, oraz dwunastoletnia Kamilka, która była tyczkowata jak tatuś, zgodnie przytaknęli.

– To dobrze – powiedział pan Tomek. – Bo nie ma to jak zdrowy sen – westchnął, siadając na progu, oparł się plecami o framugę, po czym rzewnie zapłakał. A to dlatego, że – podobnie jak większość ludzi – chciał być w zupełnie innym miejscu, niż był. Pochlipał przez chwilę i zasnął.

Gdy jakiś czas później jego żona też zaczęła płakać, bo przesadziła z chrzanem do kiełbasy, pan Tomek na pięterku zdradzał ją z najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu widział. We śnie, ale zdradzał. Była to żona Maksymiliana. Białożębna. Gładkowłosa. Szczupluteńka. A co niebagatelne, wciąż w jednym kawałku.

Rozdział trzydziesty czwarty

Od dnia, w którym Magdusia ostro przesadziła z chrzanem, minęło dokładnie jedenaście miesięcy. Od śmierci żony Maksymiliana prawie trzy. Od czasu, gdy pięć tygodni temu Maksymilian zaczął śledzić Wincentego, lubi mieć przy sobie:

1. lornetkę Bushnell Trophy 9x63,
2. Canona 40D z teleobiektywem 70-300 mm,
3. aerozol marki Dr Alex Sadlek, odstraszaający komary, kleszcze i meszki,
4. Handymana 1.3773, tj. czerwony scyzoryk firmy Victorinox, który kryje w sobie m.in.:

- piłkę i dłutko do drewna,
- nożyczki,
- hak wielofunkcyjny,
- otwieracze do puszek i do kapsli,
- śrubokręt,
- kombinerki z przecinakiem drutu i zaciskaczem ciężarków,
- przyrząd do zdejmowania izolacji,
- pęsetę

(i choć Maksymilian dotąd użył jedynie pilniczka do paznokci, nie wyobraża sobie, jak mógł przeżyć prawie czterdzieści lat bez scyzoryka firmy Victorinox),

5. telefon firmy Motorola,
6. srebrnego Walthera.

Nie był to tamten srebrny Walther, lecz w odróżnieniu od tamtego, ten srebrny Walther. Maksymilian tyle opowiadał o srebrnym Waltherze, o tamtym srebrnym Waltherze, że Milena zrobiła mu niespodziankę i kupiła tego srebrnego Walthera. Ten srebrny Walther nie mógł się oczywiście równać z tamtym srebrnym Waltherem, bo choć technicznie w niczym mu nie ustępował – był wciąż piękną repliką prawdziwej spluwy – w sensie emocjonalnym nigdy nie zastąpi tamtego srebrnego Walthera. Maksymilian właściwie go nie potrzebował, bo nie miał już żony, więc nie musiał robić scen, ale nie chcąc robić Milenie przykrości, codziennie rano wkładał go za pasek.

Maksymilian wychodził o wpół do siódmej, a wracał między dwudziestą trzecią a północą. Czasami robił sobie w ciągu dnia przerwy, żeby odwiedzić Zofię u dziadków, ale jeszcze częściej zabierał ją do Mileny, gdzie Zofia spędzała coraz więcej czasu.

– Mam dość siedzenia w krzakach – powiedział Maksymilian, włączając czajnik.

– To może zostawisz to policji? – zaproponowała Milena.

– Powtarzasz to od pół roku.

- Pół roku to my się nawet nie znamy.
- To taka hiperbola. Chciałem przez to powiedzieć...
- Wiem, co to jest hiperbola. Powtarzam, bo mi przykro, że się tak męczysz.
- Daję sobie czas do końca tygodnia. Jeśli mi się nie uda znaleźć czegoś więcej, pójdę na policję z tym, co mam.
- Zrobisz, jak zechcesz. Chyba trzeba zrobić Zofii pobudkę.
- O, w mordę! – krzyknął Maksymilian i pobiegł pod drzwi pokoju, w którym spała Zofia.

Pół godziny później mieli się stawić na najbardziej śmierdzącym dworcu w Euroazji, skąd Zofia wyruszała na trzytygodniowy obóz dla dzieci uzdolnionych plastycznie.

- Nie śpię – zawołała, gdy ostrożnie zapukał.
- Musimy wyjść za dwadzieścia minut. Zjesz owsiankę? – zapytał, pochylając się nad złotą klamką, jakby była mikrofonem.
- Nie. I mam dość poruszania wciąż tych beznadziejnie prozaicznych kwestii. Czy wydaje ci się, że nie potrafię mówić o imponderabiliach?
- Na miłość boską! – Maksymilian jęknął do klamki.
- Co na miłość boską?
- Skąd znasz takie wyrazy?
- Jakie takie?
- Trudne.
- A co jest trudnego w wyrazie imponderabilia?
- Zostało dziewiętnaście minut. Jeśli dłużej się podroczymy, wyjdiesz stąd z pełną głową, ale z pustym żołądkiem, a to bardzo niezdrowe.
- Ślicznie wyglądasz – powiedział Maksymilian, gdy Zofia stanęła w drzwiach kuchni.

Miała na sobie czarną bluzkę z błękitną czaszką. Czaszka była pozbawiona ośmiu pierwszych zębów, a w jej oczodołach zagnieździły się białe robaki. Na piszczelach widniał różowy napis KISS ME BABY. Maksymilian pozwolił sobie na uszczypliwe pytanie:

- Jesteś pewna, że to dobry pomysł?
- Pytasz o moje ciuchy?
- Owszem.
- Tak, to dobry pomysł – odpowiedziała Zofia, wruszając ramionami.
- Świetnie. I czujesz się w nich komfortowo?
- Zajebiście.
- Fajna bluzka! – pochwaliła Milena, która weszła do kuchni.
- Nie udawaj – odfuknęła Zofia.
- Mówię szczerze.
- Przecież za nią zapłaciłaś, więc nie ściemniaj, że widzisz ją po raz

pierwszy...

– Zapłaciłaś za tę bluzkę? – zapytał z niedowierzaniem Maksymilian.

– Tak, a co w tym złego? – zachnęła się Milena, po czym spytała Zofię: – Chcesz herbatę?

– Nie zdążę, napiję się coli – powiedziała Zofia.

– A może szklaneczkę krwi? – zaproponował Maksymilian

– Mam nadzieję, że żałujesz tego, co powiedziałeś. – Zofia spojrzała na ojca z wyrzutem numer pięć. – Jesteś inteligentnym facetem, więc wiesz, jak mogło mi się to skojarzyć.

– Przepraszam – powiedział Maksymilian.

– No ja myślę – odparła Zofia.

– Już dobrze. Wszystko gra?

– Może u ciebie. U mnie nie. Chyba że pogrzebowa orkiestra dęta.

– OK, daj już spokój – powiedział Maksymilian.

– OK, nie ja zaczęłam. Czasami mam cię naprawdę dość. Najczęściej rozmawiamy o jedzeniu. Poza kiszka mi jeszcze mózg, do diabła!

Maksymilianowi zrobiło się głupio.

– Idziemy? – spytał.

– Macie jeszcze pięć minut – powiedziała Milena.

– Pieprzona wieczność – westchnęła Zofia.

– Jesteś satanistką? – zagadnął lalusiowaty blondasek, wypchnięty przez grupkę czekających na pociąg dzieciaków.

– Spakowałeś clearasil? – odpowiedziała pytaniem Zofia, wpatrując się w jego czoło tak intensywnie, że spłoszony młodzieniec wycofał się do szeregu.

Maksymilian patrzył na nią z podziwem.

– Nie boisz się? – zapytał.

– Czego?

– Że cię nie polubią?

– Myślisz, że to mnie uszczęśliwi?

– Co?

– Ich polub, polubienie.

– Lepiej być lubianym niż nielubianym.

– Skąd ci to przyszło do głowy? Nie poznaję cię, tatusiu.

– Może jednak powinnaś w pociągu zmienić bluzkę?

– Zmienię. Ale na pewno nie dzisiaj.

– Nie podoba mi się, że ubrałaś taką bluzkę. Mam nadzieję, że wzięłaś ze sobą również jakieś normalne stroje? – zapytała wychowawczyni grupy, w której znalazła się Zofia.

– A to niby dlaczego? – syknął Maksymilian.

– Ponieważ ta bluzka jest nieco szokująca.

– Szokujące to jest, proszę pani, gdy opiekunowie młodzieży kaleczą język. Bluzkę się wkłada, a nie ubiera, ty cholerna półanalfabetko! – wrzasnął na cały peron.

– Dzięki, tato, ale dam sobie radę. Idź już, dobra? – powiedziała Zofia, cmokając go w policzek. – Parszywego dnia!

– Parszywego! Zadzwoń, gdy dojedziesz na miejsce – odpowiedział, ściskając trochę za mocno jedyną kobietę, za którą bez wahania dałby się pokroić. Choć akurat wolałby dać się zastrzelić albo otruć, żeby nie skończyć tak samo jak Dzinusia. – *Kiss you!* – zawołał na odchodne. Niech wszyscy wiedzą, że czarna bluzka z błękitną, szczerbatą czaszką i napisem KISS ME BABY na pischelach jest naprawdę w porządku. I że czarny lakier do paznokci i glany są również w porządku. W końcu trudno oczekiwać od trzynastolatki, której całkiem niedawno pokrojono matkę na siedemdziesiąt dwa kawałki, żeby nosiła różową sukienkę albo T-shirt z wizerunkiem Barbie i Kena. No, chyba że byłaby to Barbie z siekierą w głowie albo Ken na krześle elektrycznym.

Maksymilian wzdygnął się na swój widok, gdy spojrzął w lusterko wsteczne srebrnego audi A6. Wyglądał jak czaszka z bluzki Zofii. Był kredowobiały, miał przekrwione, błyszczące oczy i zapadnięte policzki.

Już niedługo weźmie się za siebie. Po pierwsze, wyśpi się, po drugie, będzie się kochał z Mileną przez tydzień bez przerwy, a po trzecie, zje kontener owsianki. I zacznie traktować Zofię poważnie. Już nigdy więcej nie będzie z nią rozmawiał o jedzeniu i coli. Zabierze ją od rodziców. Będzie normalnie. Maksymilian wzdygnął się po raz drugi, bo słowo normalnie napawało go obrzydzeniem, choć nie bardzo wiedział, dlaczego.

Szósta siedem, powiedziała kobieta w radiu, gdy uruchomił samochód. Z parkingu spod najbardziej śmierdzącego dworca w Eurazji ruszył w stronę Powiśla rozkopanymi Alejami Jerozolimskimi.

Szósta osiemnaście, powiedziała kobieta w radiu, gdy zatrzymał audi niedaleko domu panny Marple i jej męża. Z samochodu wziął dwa oblane centymetrową warstwą lukru pączki, które wcisnęła mu kobieta w sklepie na Centralnym, butelkę wody mineralnej, gazetę, papierosy i rozsiadł się na ławce pod gigantyczną wierzbą białą, czyli inaczej wierzbą płaczącą, która za każdym razem, gdy pod nią siadał, przypominała mu partyzancką piosenkę, więc i tym razem przypomniał sobie i zanucił:

– Rozszumiały się wierzby płaczące, / rozplakała się dziewczyna w głos... – A kiedy doszedł do fragmentu: – Do tańca grają nam / Granaty, wisów szczęk, / Śmierć kosi niby łąn, / Lecz my nie znamy, co to lęk – w jego przekrwionych oczach zakręciły się łzy wzruszenia.

Choć w przeciwieństwie do partyzantów Maksymilian dokładnie znał, co to znaczy robić w portki ze strachu, i to nie tylko przy grających do tańca granatach,

ale nawet przy piosenkach ABBY, od przygody na pustyni Mojave wciąż pozostawał spokojny. Mógł zjeść ćwikłę, jeździć windą i pomyślał nawet (co prawda dopiero raz), że być może ewentualnie przypuszczalnie w pewnym sensie pewnego dnia poleci samolotem. Na szczęście, żeby zdemaskować Wincentego, nie musiał siadać za drążkiem sterowym myśliwca.

Na razie siedział na ławce pod wierzbą i obserwował okolicę.

Za dziesięć siódma. Niebawem Wincenty wyjdzie z domu, żeby kupić w piekarni świeże pieczywo. Dwa paluchy combicorn, cztery bakaliowe, cztery kajzerki. No i jeszcze rogale z makiem. I dwa precelki wiedeńskie. A po ile te drożdżowe z morelą? Potem wjedzie na drugie piętro windą, bo gdyby spróbował wejść, nie miałby kto zrobić śniadania Martusi, zaparzy kawę, rozłoży pierwsze śniadanie przed swoją cesarzową, drugie i trzecie zapakuje do torebek, a torebki umieści w dwóch pojemnikach z zielonymi pokrywkami. Potem wsiądzie z żoną do corsy, zawiezie ją do pracy, pojedzie do Makro (jak zwykle w każdy piątek i poniedziałek), żeby uzupełnić zapasy w lodówce. Następnie ugotuje obiad i kolację, posprząta przed weekendem w domu, zapakuje jedzenie do corsy, pojedzie po żonę na osiedle Lazur III i ruszą na działkę.

Aż do momentu upchania panny Marple i jej torby z prowiantem w corsie wszystko szło zgodnie z harmonogramem. Zanim jednak Wincenty usiadł za kierownicą, tuż przed nim zatrzymał się rozklekotany citroën. Ze szkaradnego dostawczaka wyskoczył żywo gestykulujący mężczyzna, który poruszał się w tempie postaci z niemego filmu. Maksymilian, który siedział już za kierownicą, żeby ruszyć za Wincentym i jego żoną, dopiero po kilku chwilach rozpoznał w wysokim chudzielcu pana Tomka, szwagra panny Marple. Żałował, że jest cholernym amatorem i że nie oblepił pluskwami całego świata, w którym porusza się Wincenty i jego żona, żałował też, że zamiast studiować filologię rosyjską, nie wybrał kursu czytania z ruchu warg. Patrząc na nich, mógł się jedynie domyślać, że pan złota rączka tłumaczył się z czegoś Wincentemu albo za coś przeproszał. Po krótkiej wymianie zdań Wincenty wręczył Tomkowi pęk kluczy, uściśli sobie dłonie i rozeszli się do swoich samochodów.

Dla odmiany pojedą za chudzielcem, pomyślał Maksymilian. Wiedział przecież doskonale, co się wydarzy w najbliższych godzinach w życiu Wincentego i panny Marple, a w każdym razie, co planują, postanowił więc urozmaicić sobie nudną robotę detektywa i pośledzić nowy obiekt.

Już po kilku minutach przekonał się, że było warto. Gdy precyzyjnie się przez zapchany most Śląsko-Dąbrowski, Maksymilian zorientował się, że zmierzają na północny wschód. Tam, gdzie dziarsko płynie siny Bug.

Rozdział trzydziesty piąty

Zeby dojechać do działki Wincentego, trzydzieści trzy i pół kilometra od granicy Warszawy, trzeba skręcić w nieoznakowaną drogę szutrową w lewo. Po stu pięćdziesięciu metrach wjeżdżasz w zagajnik, za którym rozciąga się pocięty działkami iglasty las. Jedziesz jakiś kilometr wśród letnich rezydencji warszawiaków, po czym wylatujesz na porażające nadobnym pięknem nadbużańskie pola. Przez trzy do czterech minut podziwiasz piękno tutejszej przyrody – bursztynowy świerzop i śnieżnobiałą grykę, a do tego dzięcielinę, co obowiązkowo pała – aż w końcu dojeżdżasz do ściany sosen, dębów oraz brzołek i tam zostawiasz swój wóz. Jeśli jesteś Maksymilianem. Jeśli jesteś Wincentym lub Tomkiem, jedziesz wzdłuż drzewostanu pół kilometra i skręcasz w niewidoczną nawet z kilkudziesięciu metrów dróżkę, prowadzącą prosto do rozległej polany, na której co weekend Marplowie i ich pociotki odpoczywają od gwaru miasta.

Maksymilian przez całą drogę trzymał się kilka samochodów za notorycznie wyprzedzającym na trzeciego panem Tomkiem, a kiedy pan Tomek skręcił w szutrowkę, Maksymilian pojechał dalej pół kilometra prosto, zawrócił i dopiero wtedy zatrzymał samochód na skraju lasu, włożył do plecaka wodę i pączki, zawiesił na szyi canona i ruszył ku polanie.

Ulokował się w tym samym miejscu, w którym ostatnio siedział z Mileną. „Siedze w krzakach na działce u grubasow. Zadzwonie pozniej”, napisał do niej w esemesie. Odpisała: „Dobrze. Nie daj się komarom. Ja siedzę u Iwony. Gadamy. Dokładniej rzecz ujmując, ona gada. Ma pomysł na książkę o pedalskim thanatosie. I całą masę innych pomysłów. Całuję, m”.

Maksymilian nigdy nie napisałby takiego esemesa. Takiego, który ma sto siedemdziesiąt sześć znaków. Nawet, gdybym miał tyle pieniędzy, co ojciec Mileny albo Ingvar Kamprad, próbowałbym się zmieścić w stu sześćdziesięciu znakach, pomyślał. A gdybym się z jakiegoś powodu nie zmieścił, to coś bym dopisał, żeby nie zmarnować aż stu czterdziestu czterech znaków. Ale tego jej nie napisze. Nie będzie marnował pieniędzy. Poza tym dzisiaj już przegiął, kupując pączki na Centralnym, gdzie przepłacił co najmniej dwa razy.

O poczuciu winy na szczęście pozwolił mu zapomnieć pan Tomek, który zaczął się mocować z rozsuwaną drabiną. Najwyraźniej miał ją zamiar oprzeć o bok domku w stylu niemalże podhalańskim. Pstryk! W końcu ustawił drabinę tak, by dostać się na dach. Pstryk! Chwycił ją mocno obiema rękami i spróbował poruszyć. Pstryk! Upewniwszy się, że drabina go utrzyma, zaczął po niej niezdarnie wchodzić, a gdy znalazł się na szczycie dachu, pstryk!, usiadł na nim okrakiem, pstryk!, i zaczął się powoli przesuwac w stronę komina.

Pan Tomek zadawał szyku czerwoną flanelową koszulą w czarną kratę i drelichowymi ogrodniczkami. Miał przewieszoną przez ramię linę, do której, gdy

znalazł się przy kominie, przymocował metalową szczotkę i obciążył ją żeliwną kulą na łańcuszku. Pstryk! Maksymilian mierzył do pana Tomka z teleobiektywu, a pan Tomek męczył się z przepychaniem komina. Po kilkunastu minutach wyszedł z dwoma workami pełnymi sadzy oraz z sadzą na twarzy, we włosach, między zębami, wszędzie. Pstryk!

Po co mu te zdjęcia? Po co to wszystko? Maksymilian może do końca życia siedzieć w krzakach i patrzeć, jak tamci jedzą, paplają, czyszczą kominy, jak się starzeją i odchodzą z tego świata w wyniku zaawansowanej arteriosklerozy, chyba że wcześniej to on umrze z nudów. Pan Tomek bierze prysznic. Ryczy pod natryskiem, ale do Maksymiliana docierają pojedyncze frazy nieznannej mu piosenki:

– Pi razy drzwi, to ja i ty, coś tam coś tam sny, coś tam zapominamy gdy, coś tam znowu my.

Maksymilian próbuje sobie przypomnieć rozwinięcie liczby π . Nigdy nie pojął, czym różni się całkowanie od wyznaczania pochodnej, więc żeby w razie potrzeby popisać się przed matematycznymi mózgowcami, nauczył się pierwszych pięćdziesięciu cyfr po przecinku. Teraz wysiada przy dwudziestej, bo nie wie, czy po 3,14159 26535 89793 2384 jest 5 czy 6, raczej 5, ale nie postawiłby na to nawet porcji owsianki, to okropne, nic nie pamięta. Owsianka, oj tak, powinien coś zjeść, detektyw powinien mieć układ trawienny węża, jeść raz na pół roku i mieć święty spokój. Maksymilian zastanawia się, w jaki sposób jedna myśl przyciąga drugą, jak się przesuwają bez końca, dlaczego nie może się od nich uwolnić, kołowrotek, karuzela, kołowrotek, chociaż na chwilę przestać myśleć, pomyślał, a po chwili powiedział pod nosem do pana Tomka: „Aleś się odpicował”, bo przed domem w stylu niemalże podhalańskim pan Tomek zaprezentował tani garnitur w kolorze jasnej śliwki, seledynową koszulę i wzorzysty bordowy krawat. Odpicowany pan Tomek stanął w słońcu, ziewnął i rozprostował kości. Wygląda jak zabiedzony Russell Crowe. Rzeczywiście, można uznać, że jest przystojny, pomyślał Maksymilian. Przypomniało mu się, jak Dziniusia opowiedziała mu o odpowietrzaniu kaloryferów i jak zastanawiała się, dlaczego pan Tomek ma taką paskudną żonę.

Jest nie tylko przystojny, ale też romantyczny, pomyślał, gdy pan Tomek zabrał się do zrywania kwiatów, od których roilo się między domkiem a wędzarnią. Może też powinienem zerwać trochę zielska dla Mileny?

Po kilku minutach pan Tomek zebrał już spore naręcze jaskrów, ale wbrew przypuszczeniom Maksymiliana, nie wrzucił ich do samochodu, żeby zawieźć je Magdusi, lecz ruszył żwawo w stronę rzeki. Maksymilian podniósł się i pobiegł za panem Tomkiem, klnąc pod nosem na zeszywniałe stawy. Pan Tomek szedł tak szybko, że właściwie wolno biegł, zgrabnie pokonując wystające korzenie i powalone konary, jakby był cyborgiem, którego jedynym zadaniem jest

pokonywanie leśnych ostępów. Ale Maksymilian nie zmniejszał dystansu. Gdy zadyszany dotarł do skraju lasu, zobaczył dziarsko płynący siny Bug i skubiące trawę krasule rasy simentalskiej. Pan Tomek klęczał pod stojącym samotnie między lasem i rzeką dębem. Wyglądał, jakby się śmiał. Maksymilian oparł się o lepką od żywicy sosnę i zaczął strzelać do niego z teleobiektywu. Złota rączka sięgnął do kieszeni spodni i wyciągnął chusteczkę, którą przyłożył do oczu i nosa, po czym przeżegnał się, wstał i ruszył w stronę lasu.

Maksymilian chciał się wycofać, ale zaplątał się w pęd jeżyn, stracił równowagę i ściskając mocno canona przed sobą, upadł na plecy. Jęknął, gdy coś chrupnęło mu w okolicy prawego łokcia, którym uderzył z całej siły o zwalony konar. Szwagier panny Marple mógłby usłyszeć cały ten harmider, gdyby detektywowi nie przyszła w sukurs krowa rasy simentalskiej. W tej samej chwili, w której Maksymilian zawył z bólu, krasula poczuła głęboki *weltschmerz* i przełknawszy smakowity kęs trawy, zamuczała wniebogłosy.

Gdy pan Tomek minął go i zniknął w głębi lasu, Maksymilian lewą ręką sięgnął do prawej kieszeni spodni, żeby wyjąć telefon.

– Wszystko mnie boli – poskarżył się Milenie. – Napisałem ci w esemesie, że zadzwonię, kiedy się stąd ruszę, ale dzwonię, bo właśnie nie mogę się stąd ruszyć. Mam chyba złamaną rękę, kolce w dupie i rozwalony nos. Przyjedziesz?

– A dlaczego nos? – zapytała go Milena.

– Bo canon. Nos, bo canon. Uderzył mnie, bo go wypuściłem, padając na plecy.

– No dobra. Wezmę samochód od ojca i przyjadę.

Wykrwawię się na śmierć albo umrę z pragnienia, pomyślał Maksymilian. Spróbował poruszyć prawą ręką. Podniósł ją lekko do góry i zawył z bólu. Ręka bolała go tak bardzo, że z pudełka po Fisherman's Friend wyjął dwa xanaxy i popił je resztką wody. Nie jadł xanaxu od czasów ostatniego samobójstwa, które zaprowadziło go na pustynię Mojave, ale nie miał przy sobie nic przeciwbólowego, no a benzodiazepiny też uśmierzają nieco ból.

Czekał na pomoc i rozczulał się nad sobą. Był pokłuty przez jeżyny, obolały, a do tego jeszcze przepłacił za pączki. I to co najmniej dwa razy. Pączki. Kwiaty.

Pączki.

Pączki kwiatów.

Kwiaty.

No właśnie, przecież pan Tomek wracał spod dębu bez kwiatów. Maksymilian wziął lornetkę i spojrzał w stronę samotnego drzewa. Bukiet stał w słoju po ogórkach tuż obok pnia.

Kilka chwil później Maksymilian doczłapał się do dębu. Słój stał na kwadratowym kawałku deski. Żeby ją obejrzeć, Maksymilian delikatnie odsunął nogą prowizoryczny wazon i – jak ujęłaby to żona Maksymiliana – szeroko

otworzył oczy ze zdumienia.

– Kiedy zatrzymasz się przy audi, okrąż las i idź w stronę rzeki. Byle szybko. Czekam nad rzeką, pod dębem – powiedział do Mileny, która zadzwoniła, że jest już na miejscu.

Oparł canona o kolano i sfotografował zebrane przez pana Tomka kwiaty. Potem zrobił zdjęcie kawałkowi deski, na którym ktoś napisał czarnym flamastrem „Dziniusia”. Podniósł go z ziemi i wpadł w jeszcze większe osłupienie. Pod ruszoną świeżo kwadratową darnią Maksymilian odkrył sekret.

Sekrety, nazywane też czasem widoczkami lub skarbami, robiło się w dzieciństwie. Trzeba było wykopać dołek w ziemi, wyłożyć go sreberkiem albo złotkiem, włożyć do środka piórka, kamienie, kwiaty, kolorowe papierki i co tam kto sobie wymyślił. Potem należało przykryć to wszystko szkiełkiem i przysypać ziemią.

Sekret pana Tomka był nieco zmodyfikowany. Zamiast sreberka, w wykopanym dołku tkwiła puszką po jubileuszowych pralinkach E. Wedel, a zamiast piórek i kamieni, Maksymilian znalazł dwa bilety do kina z zeszłego roku, rachunek za lunch w restauracji Ryżowe Pole (dwa zestawy z futomaki, tempura, wino śliwkowe), płytę *Greatest Hits* Eurythmics, granatową apaszkę w białe groszki i zdjęcie z Żelazowej Woli sprzed muzeum F.F. Chopina. Żona Maksymiliana stoi z dłońmi przyklejonymi do torebki koktajlowej od Prady i szeroko się uśmiecha. Powinienem to zostawić policji, pomyślał, wydłubując puszkę z ziemi.

– Co znalazłeś? – zapytała Milena, stając nad Maksymilianem.

Rozdział trzydziesty szósty

Mordercę.

– Jakiego mordercę?

– Prawdziwego mordercę. Znalazłem prawdziwego mordercę! – wrzasnął Maksymilian do słuchawki.

– Ale dlaczego dzwoni pan z tym do mnie? Ja się zajmuję zaginięciami, a nie zabójstwami – powiedział podinspektor Neuman.

– Moja żona zaginęła, zanim została zamordowana.

– No to niech pan dzwoni do komisarza Puca, który prowadzi pana sprawę.

– Do diabła, nie jest pan ciekaw?!

– Czego?

– Kto jest mordercą!

– A pan jest ciekaw, gdzie jest teraz Piotr Forski?

– A kto to jest Piotr Wojski?

– Nie Wojski, tylko Forski.

– Kto to jest ten Forski?

– Chłopaczek. Szesnaście lat, oczy niebieskie, włosy długie, jakieś metr siedemdziesiąt wzrostu, znaków szczególnych brak.

– Opis pasuje do jakichś trzech milionów chłopaczków. Wciąż nie wiem, kto to jest.

– Mój ostatni zaginiony. Właśnie oglądam jego teczkę. Wyszedł z domu dwa tygodnie temu i dotąd nie wrócił. Jest pan ciekaw?

– Tak, ale...

– Niech pan nie pieprzy. Co pana obchodzi jakiś obcy gówniarz?

– No dobrze, ma pan rację. Niewiele. Zwłaszcza teraz, kiedy właśnie wpadłem na...

– No widzi pan. Co mnie obchodzi jakiś morderca? Zwłaszcza teraz, kiedy muszę znaleźć Piotra Forskiego, lat szesnaście, znaków szczególnych brak. Powiem panu. Gówno mnie obchodzi ten pański morderca. Pan również mnie nie obchodzi. Obchodziła mnie pańska żona, ale ona też już mnie nie obchodzi, bo jakiś czas temu się odnalazła.

– Rozumiem. Ma pan numer do komisarza Puca?

– Nic pan nie rozumie. Komisarz Puc też mnie nie obchodzi. Niech pan dzwoni na 112.

– Słyszałaś? – Maksymilian spojrzał na Milenę z niedowierzaniem. – Ołał mnie.

– Nie bierz tego do siebie – odpowiedziała.

– A do kogo mam wziąć? Do Annie Lenox?

– Potwornie ci spuchła. Boli cię? – zapytała Milena, przyglądając się jego

ręce.

- Jak cholera.
- Jedźmy na pogotowie.
- Zwariowałaś? Muszę to pokazać policji!
- No to dzwoń.
- Przecież cały czas dzwonię. Masz szpinak na bucie.
- Ojej, rzeczywiście. Dawno się tak nie porzygałam, przepraszam.
- Jesteś bardzo dzielna.
- Nie jestem.

– Jesteś. Halo! Chciałbym zgłosić znalezienie zwłok. A właściwie fragmentu zwłok mojej żony. A właściwie mojej byłej żony, która została zamordowana trzy miesiące temu... – Maksymilian kucał oparty o pień drzewa nad wykopanym z ziemi słoikiem z napisem „Peklowana wieprzowina 2003” i opowiadał dyspozytorce o znalezisku. Że najpierw wydłubał z ziemi sekret, pamięta pani, w dzieciństwie się takie zakopywało w ziemi, dyspozytorka nie pamiętała, no nieważne, spód tego sekretu to było wieczko, w każdym razie to jest dowód w sprawie morderstwa, więc proszę tu przysłać wydział zabójstw i powiadomić komisarza Puca.

– Proszę podać adres – powiedziała dyspozytorka.

– Rzeka Bug. Brzeg rzeki Bug na południowy zachód od... Pod dębem. Może podam współrzędne?

– A nie ma tam jakiegoś adresu?

– Jestem w szczerym polu – wyjaśnił Maksymilian.

– Chwileczkę – powiedziała dyspozytorka. W końcu zrozumiała, że dąb nie ma adresu, że nie ma tu ulicy i numeru domu, który jest niezbędny do przyjęcia zgłoszenia. – No bo w formularzu jest pole ulica i jest pole numer domu i numer mieszkania, ale przecież ojej, no jasne, zdarzają się wypadki na autostradach i autostrady też najczęściej nie mają numeru domu i mieszkania, przepraszam, dopiero się uczę. W najbliższych dwóch, góra trzech godzinach ktoś przyjedzie.

– Trzech?!

– No bo nie ma bezpośredniego zagrożenia życia, to trzech. Tak tu pisze.

– Jak to: góra trzech? – zapytała Milena, gdy Maksymilian streścił jej rozmowę. – Za trzy godziny twoja ręka zamieni się w zeppelin.

– Wytrzymam.

– Jak myślisz, dlaczego pan złota rączka ją zabił?

– Pewnie z miłości. Skoro jej zrobił ten ołtarzyk z zakopanym słoikiem, musiał ją kochać. Ale wypadł z łask, jak każdy, z kim romansowała dłużej niż miesiąc, powiedziała mu, że to już koniec, bo miała ochotę na świeżą krew, źle zniósł nagłą odstawkę, więc się na nią zdenerwował i najzwyczajniej w świecie ją pokroił.

– No a mąż administratorki? Był przecież w tej kafejce internetowej.

– Pomagał mu. Pan złota rączka poprosił pana trzmiela, żeby pojechał do kafejki i wpisał na blogu, że ją zabije. Pan trzmiel nie odmówił, bo przecież to rodzina albo był mu coś winien, a za tę przysługę pan rączka przeczyścił mu dziś komin. Pewnie posadzą trzmiela za współudział, a wtedy panna Marple umrze z głodu i świat głęboko odetchnie – powiedział Maksymilian. – Wciąż jesteś zielona.

– Bo wciąż mnie mdli – powiedziała Milena, kładąc głowę na jego kolanach.

– Czy w tym twoim czerwonym szwajcarskim szczyryku nie ma przypadkiem szczoteczki do zębów i pasty?

– Nie ma. Ale jest za to przyrząd do zdejmowania izolacji.

– A może masz gumę do żucia?

– Skończyły mi się, bardzo mi przykro.

– Trudno, pożuję sobie trawę – powiedziała, przejeżdżając językiem po zębach. – Pocałuj mnie. Będzie to kamienny dowód twej miłości do mnie. Żartowałam, ha, ha, ha. Ale śmierdę!

– Nie śmierdzisz – skłamał Maksymilian.

Mogłem za nim pobiec. Gdyby nie ręka, pobiegłbym za nim przez las, dopadłbym go przed domkiem Marple'ów, wyciągnąłbym srebrnego Walthera i krzyknąłbym: „Stój!”, a on by się odwrócił, zbladł, padł i zaczął skomleć: „Nie chciałem jej zabić, przysięgam, przecież ją kochałem!”, wyobrażał sobie Maksymilian.

Nic do ciebie nie mam, powiedziałaby do zapłakanego pana Tomka, w końcu mnie od niej uwolniłeś, chętnie bym cię teraz puścił wolno, ale sam rozumiesz, nie będę za ciebie dawał dupy kryminalistom. Wtedy pan Tomek spojrzałby mu w oczy i powiedział: „Zastrzel mnie, nie mogę żyć ze świadomością, że ją zabiłem”. Maksymilian odpowiedziałby: „Nic z tego, pójdziesz siedzieć. Chcesz papierosa? Zapalmy sobie i poczekajmy na komisarza Puca”. I pogadali by o imponderabiliach, czyli o tym, o czym Maksymilian nie miał najmniejszego pojęcia. W czasie rozmowy na ułamek sekundy straciłby czujność, a wtedy pan Tomek wytrąciłby mu srebrnego Walthera z dłoni i rzucił się na niego z pięściami, Maksymilian zręcznie by odskoczył, uderzyłby go kantem dłoni w szyję i kopnął w jaja. Obezwładniony pan Tomek padłby na ziemię, Maksymilian by go związał, w końcu pamiętał jeszcze parę węzłów z czasów Panny Supełek, więc tak by go skrzępował, żeby każdy ruch sprawiał ból. Maksymilian siedziałby przed nim, paląc papierosa i patrzył z lekkim uśmieszkiem...

– Z czego się śmiejesz? – zapytała Milena.

– Cieszę się, że już po wszystkim – powiedział, bawiąc się jej włosami. – Ale jestem głupi!

– Dlaczego?

– Powinienem być się wcześniej domyślić. Kiedy moja żona powiedziała, że szwagier administratorki odpowiedział kaloryfery w naszym mieszkaniu, nie sądziłem, że użyła wyszukanej metafory. Chyba mam gorączkę. Ile minęło od rozmowy z dyspozytorką?

– Wydaje mi się, że co najmniej ćwierć wieku.

– No to już powinni tu być. Myślisz, że można umrzeć na złamanie ręki?

– No pewnie! Tak samo jak na lekko zadrapany nos – powiedziała Milena, siadając. – Popatrz, idą.

Rozdział trzydziesty siódmy

Rozpędzony tir zaryczał jak spadająca w otchłań bestia. Kierowca ciężarówki nadepnął z całej siły hamulec, włączył wszystkie światła i klaksony, ale nie mógł zrobić nic więcej. Gdyby zjechał na przeciwległy pas, zderzyłby się czołowo z autobusem i posłał do nieba kilkadziesiąt dusz, a nie dwie. Wskoczył z kabiny i w zgniecionym do cna samochodzie, który z szutrowej drogi wjechał mu prosto pod koła, dostrzegł coś, co jeszcze przed chwilą mogło przypominać kobietę i mężczyźnę.

– Komisarz Puc – przedstawił się obleśny facet w przepeconej koszuli, machając mu przed nosem srebrną odznaką. – Nie jesteś ranny? Dawaj gaśnicę! – zawołał do drugiego oblecha, który grzebał w bagażniku nieoznakowanego radiowozu. Zatrzymany tuż za ciężarówką granatowy passat mrugał włączonymi światłami awaryjnymi i postawionym na dachu błyskającym kogutem.

– Mamy dwa trupy. Przyślijcie asfaltów, czerwonych i karawaniarzy! – wrzeszczał do słuchawki komisarz Puc, a kiedy skończył, położył dłoń na ramieniu tirowca.

– Marnie wyglądasz. Jesteś w szoku?

– To nie moja wina – powiedział tirowiec.

– Spokojnie, nic ci nie będzie. Najwyżej asfalty wjebią ci za nadkilometry. Jechałeś za szybko?

– Nie.

– Jesteś pewien?

– Nie.

– Nie bój nic, asfalty zmierzą. Kurwa, co tak śmierdzi? Rogal, zrób wreszcie porządek z tym butem.

– Świnie wiozę przecież – wyjaśnił tirowiec.

– Szkoda ich – westchnął komisarz.

– A kto to był?

– Zwierząt szkoda. Zanim się tu posprząta, trochę czasu minie.

– Pobrudził się pan krwią.

– Nie pobrudziłem się, gościu. To moja krew. Dostałem w ryja. No i masz, pokarało go.

– Kogo?

– Tego, co mi dał w ryja.

– Czyli kogo?

– Tego, co go skasowałeś. Chociaż raz sprawiedliwość zadziałała jak należy.

– Jeszcze dziesięć minut temu jechałem, a oni żyli.

– A ja za nimi goniłem po tym wypizdowie. To byli źli ludzie, jeśli cię to pocieszy. Należało im się.

- Nie. Nie, to nie tak. To nie moja wina.
- Rogal, daj mu fajkę. I zadzwoń na komendę, niech ścigają tego złotą rączkę-rzeżączkę w dupę jebanego.
- Tak jest. Ale fajki mi się skończyły.
- Nie pierdol. Zawsze ci się kończą, a masz. Cholerny Salamon.
- Nie palę, ale aż zapalę – powiedział tirowiec, gdy Rogal wyciągnął paczkę, w której jak zwykle miał dwa ostatnie papierosy. Gdy zniknęły, uzupełniał pudełko kolejnymi dwiema fajkami z paczki ukrywanej przed stadem policyjnych sępów, więc zawsze miał dwie ostatnie. – I co teraz?
- Nic. Czekamy. Tylko tych świń to rzeczywiście szkoda.
- Wodę mają, nic im nie będzie.
- Nic im nie będzie, aleś chlapnął! A co? Nie wiesz ich do rzeźni, tylko na wywczas do Krynicy?
- To nie moja wina. Nie lubi pan schabowych? Świńska rzecz, żeby trafić pod nóż.
- A ludzka, żeby pod tira.
- No nie wiem. O Jezu! – załkał nagle kierowca ciężarówki, siadając na rozmięczonym asfalcie.

Nie wiem, co one w nim widzą, tamta pokawałkowana była ładna, przynajmniej na zdjęciach, a ta jest jeszcze ładniejsza, jak to jest, że do takiego frajera kleją się takie dupy?, pomyślał komisarz Puc, mizdrząc się do Mileny. Rogal też się mizdrzył, ale, jak zauważył Maksymilian, robił to mniej ostentacyjnie, może dlatego, że najwięcej uwagi poświęcał obuwiu, bo gdy tylko znalazł się na pastwisku, wszedł niebacznie w świeżuteńkie, monstrualnych rozmiarów simentalskie gówno i od kilku minut bezskutecznie próbował przywrócić lewemu półbutowi dawną świetność, rzecz jasna przy wielkodusznym założeniu, że kupione na bazarze obuwie ze sztucznej skóry kiedykolwiek miało czasy świetności.

– No więc, co my tu mamy? – zagaił komisarz Puc, a wtedy Maksymilian odpowiedział, że brakującą część układanki. – A jak pan do tego doszedł? – zaczął się dopytywać skrupulatny policjant, więc Maksymilian mu wytłumaczył, ale Puca to nie usatysfakcjonowało, bo to, że pan Tomek kładł tu te kwiaty, nie znaczy wcale, że to on zakopał słoik. Może ktoś mu go podłożył? Może pan?

Więc Maksymilian pokazał mu zdjęcia, które zrobił canonem.

– Przecież to szwagier Wincentego. Tego faceta, który był wtedy w kafejce internetowej. Może przyjrzyście się temu tandemowi z bliska?

– Ale dlaczego dopiero teraz pan mi to mówi, że tamten był w kafejce, zamiast wcześniej, hmm?

Maksymilian odpowiedział, że sam chciał znaleźć dowody, że potraktował to jak sprawę osobistą, to chyba oczywiste, powiedział, no niezupełnie, na to Puc, na

przykład dla mnie nie jest to oczywiste, a dla ciebie, Rogal?

Rogal nie odpowiedział, bo wciąż walczył z krowim łajnem, więc komisarz zapytał Maksymiliana, gdzie znajdzie tego rączkę i resztę w postaci szwagra i szwagierki, a wtedy Maksymilian powiedział, że Wincenty z żoną zaraz powinni tu być, bo co piątek przyjeżdżają na działkę, a gdzie ta działka, Puc na to, a Maksymilian, że chodźmy, pokażę, a co z tą ręką taką spuchniętą, coś pana pogryzło?, zapytał Rogal, który najwyraźniej chciał tego wieczoru być dobrym policjantem, da pan radę z nami iść?

Komisarz Puc spojrział gniewnie na Rogala i wrzasnął:

– A ty dokąd?! Masz tu zostać i pilnować dowodów, aż wrócimy, zadzwoń po ekipę! – Po czym zwrócił się do Maksymiliana: – Dotykał pan słoika? A pani? To dobrze, że przez chustkę, bardzo dobrze. No widzisz, Rogal, ci państwo wiedzą, jak się zachować.

Rogal bardzo się ucieszył, że ma zostać. Gdy tylko tamtych połknął las, pobiegł do rzeki, żeby wreszcie w spokoju wyczyścić lewy but.

– Widzę, że zguba się znalazła – zauważył komisarz Puc, który szedł za Maksymilianem, choć zdecydowanie wolałby iść za jego dziewczyną, ale gdy wchodzili do lasu, tamci wzięli go w środek, choć komisarz chciał wziąć Milenę na przeczekanie i ustawić się na końcu, ale to Milena w końcu wzięła go na przeczekanie, więc przegrał i szedł w środku.

– Jaka zguba? – zapytał Maksymilian.

– Ta słynna wiatrówka. Wystaje panu ze spodni.

– To nie jest ta słynna wiatrówka. To jej replika. Kopia – odpowiedział Maksymilian, wkładając srebrnego Walthera pod T-shirt.

– Po co pan nosi przy sobie tego niby-gnata, co?

– Czy to zabronione?

– Nie.

– No to dlaczego pytasz, komisarzu?

– Z ciekawości.

– Dzięki niby-gnatowi czuję się jak niby-detektyw. Czy ta odpowiedź cię zadowala?

– Tak, usatysfakcjonowuje – odpowiedział komisarz Puc, by pokazać, że zrozumiał. I że jeśli tylko chce, potrafi używać trudnych wyrazów.

– To jest ich letnia rezydencja – wyjaśnił Maksymilian, gdy stanęli przed uchyloną bramką posiadłości panny Marple i jej męża.

– Skoro jest otwarte, wchodzimy. Rzucę okiem tu i tam, żeby zabić czas do przyjazdu gospodarzy – powiedział komisarz Puc i zmrużył oczy, chcąc wyglądać bardziej profesjonalnie.

– O co chodzi? Czego tu? Wynocha, ale już, bo zadzwonię na policję! – krzyknęła panna Marple, gdy tylko wygramoliła się z dwunastoletniej corsy.

Wincenty nic nie mówił, ale wyglądało na to, że w każdej chwili może coś powiedzieć. Na razie stał obok żony i bladł, przeczuwając nadciągające kłopoty.

– Nie trzeba dzwonić na policję, już to zrobiłem – powiedział komisarz Puc.

– A pan to kto i jakim prawem? Bo tamtego zwyrodnialca to ja znam – warknęła panna Marple.

– Tak się rozglądam tu i tam. Ładny domek. Imponująca działka – powiedział komisarz Puc.

– Ja się nie pytałam o pańskie wrażenia z mojej bezprawnie wtargniętej działki, tylko o to, kim pan do cholery jesteś?!

– Komisarz Puc, wydział zabójstw.

– Marilyn Monroe, Hollywood – przedstawiła się panna Marple.

– Słucham?

– Słucham, słucham? Co słucham? – przedrzeźniała go administratorka. – A skąd mam wiedzieć, że pan to pan? Pokaż mi pan wręście legitymację.

– Poszukuję pani szwagra – powiedział Puc, podsuwając odznakę pod nos panny Marple.

– Ale o co się rozchodzi tak w ogóle? Może by pan powiedział? – zapytał Wincenty, który uznał, że w końcu przyszedł czas, żeby się odezwać.

– Nie wtrącaj się, Wicusiu! – skarciła go żona, po czym zmrużyła oczy i syknęła do Puca: – Masz pan nakaz, żeby mi tu włązić?

– Się zrobi.

– To jak się zrobi, to wtedy pan przyjdzie, a teraz do widzenia mi stąd. I niech pan zabierze z mojej ziemi tego kryminalistę i jego flamę, bo nie ręczę za siebie, no naprawdę.

– Niech się pani uspokoi – powiedział komisarz Puc, który najchętniej zakneblowałby skrzeczącego babsztyla.

– Ja jestem bardzo spokojna. Jeszcześ mnie, człowieku, nie widział, jak jestem niespokojna. I lepiej dla ciebie, żebyś nie zobaczył, bo pożałujesz. Wynocha!

– Posłuchaj, kobieto, na razie staram się być miły jak mogę, ale jak nie zmienisz tonu...

– To co mi zrobisz?

– To cię skuje i zaknebluje.

– Te, poeta, tylko głowa nie ta, nie strasz, nie strasz, bo się zesrasz, jak mawiała moja ciotka.

– Co wiecie o słoiku?

– O jakim słoiku? Pijanyś pan czy co? – zapytała panna Marple.

– O słoiku ze szczątkami żony obecnego tu...

– Zwyrodnialca. No skoro jest zabójca i jest słoik, to chyba wszystko jasne – oznajmiła panna Marple, wyciągając z przerzuconej przez ramię torebki pęk

kluczy.

– Kiedy po raz ostatni widzieliście szwagra?

– Parę dni temu – wyrwał się Wincenty.

– Zamknij się wreście, Wicusiu! – wrzasnęła panna Marple.

– To ciekawe – włączył się Maksymilian.

– Ty się już lepiej nie pogrążaj, degeneracie – poradziła mu administratorka.

– To ciekawe, bo nie dalej jak dziś rano pan Tomek odebrał od was klucze, a potem przyjechał tutaj, żeby przeczyścić komin – zrelacjonował Maksymilian.

– A nawet jeśli, to co z tego? – zapytała panna Marple.

– To po prostu ciekawe – powiedział komisarz Puc. – Ta wasza amnezja jest interesująca.

– Potem pan Tomek poszedł nad rzekę i położył kwiaty nad sekretem. To też jest ciekawe – przypomniał Maksymilian.

– Co nie znaczy, że to on zakopał ten słoik! – zniecierpliwił się Wincenty, rzucając reklamówki na trawnik.

– Nikt tu nic nie mówił o zakopywaniu słoika – zauważył komisarz Puc.

– Dobra już, koniec, żegnam! – wrzasnęła panna Marple.

Komisarz wyminął ją i ruszył w stronę Wincentego.

– Co pan robił w kafejce internetowej w centrum handlowym Arkadia w dniu... który to był dzień, pamięta pan? – zapytał, odwracając głowę w stronę Maksymiliana.

To był błąd.

Mąż panny Marple musiał poczuć się dotknięty do żywego pytaniem o kafejkę. Trudno bowiem inaczej wytłumaczyć jego reakcję, którą postronni świadkowie uznaliby za mocno przesadzoną. Oto bowiem w tej samej chwili, w której komisarz Puc odwrócił głowę w stronę Maksymiliana, Wincenty pochylił się i podniósł z trawy półmetrowy kabaczek, który wypadł mu z torby, zamachnął się jak rasowy bejsbolista i przymierzył w okolice obleśnego wąsika Puca. Miał zamiar udusić kabaczek wraz z innymi warzywami i kielbasą, by zaskoczyć żonę aromatycznym leczo, jednak zamiast trafić do gigantycznego stalowego garnka, surowy kabaczek wylądował na policzku komisarza Puca. Siła uderzenia była tak potężna, że policjant odleciał na jakieś dwa metry do tyłu. Gdyby Wincenty walnął kabaczką nie w twarz Puca, a w piłkę bejsbolową, przy odrobinie szczęścia trafiłby w siedzącego pod dębem Rogala, który zajmował się suszeniem przemoczonego buta, machając nogą w powietrzu.

– Wsiadaj, Martusiu! – krzyknął Wincenty, ładując się do samochodu.

– Stać, bo strzelam! – zawołał Maksymilian i wyciągnął zza paska srebrnego Walthera.

– W dupę se strzel! – odpowiedziała panna Marple, zatraskując za sobą drzwi corsy. Maksymilian chwycił Walthera za lufę i rzucił nim w kierunku

cofającego się auta. Ku swojemu zdziwieniu trafił w sam środek przedniej szyby, która zamieniła się w szklaną pajęczynę.

Wyjeżdżając tyłem z działki, Wincenty grzmotnął o rant bramy, co na chwilę opóźniło ucieczkę. W chwili, w której oszołomiony komisarz Puc wyciągnął z kabury swojego Glocka 17, Wincenty mocował się ze skrzynią biegów. Maksymilian i Milena stali jak zakłęci. Puc wystrzelił dwukrotnie w górę, ale Wincenty nie zareagował, więc komisarz opuścił lufę i próbował przestrzelić oponę. Nic z tego nie wyszło, ale za to strzały poderwały spod dębu Rogala.

– Zatrzymajcie ich! – zawołał komisarz Puc, podnosząc się z trawnika.

– Ale jak? – zapytał z wyrzutem Maksymilian. – Mamy ucześcić się zderzaka?

– Do dupy taka robota – podsumował filozoficznie Puc, gdy Wincenty wyjechał za bramę. Do zakrwawionej twarzy przyłożył telefon, żeby wezwać Rogala. Ale Rogal już biegł w stronę radiowozu.

– Nigdy cię nie ma, kiedy cię potrzebuję! – wrzasnął komisarz, wsiadając do passata.

– Przecież kazałeś mi pilnować słoika.

– Fakt. Do dupy taka robota – powtórzył Puc. – Co tak śmierdzi?

– To chyba ja. Biegając do radiowozu, leżało gówno, w które znowu wdepnąłem. Co robimy?

– A jak myślisz? No chyba spróbujemy ich dogonić.

Wincenty przejechał kilkaset metrów, po czym się zatrzymał, żeby usunąć popękaną szybę, przez którą ledwo co widział.

– Niezłego bigosu narobił ten nasz Tomuś, no naprawdę – powiedziała panna Marple, gdy Wincenty wrócił do samochodu. – A i ty nie lepszy! Durne te chłopcy, no naprawdę.

– Może trzeba go jakoś ostrzec? – zapytał Wincenty.

– Teraz to ty się lepiej martw, co będzie z nami.

– Martwię się, ale nic mi do głowy nie przychodzi.

– To nic nowego. Na razie uciekamy. Zaraz coś wymyślę.

– Sądzisz, że nam się uda, Martusiu?

– No pewnie, że tak. Zawsze nam się udaje – powiedziała panna Marple, głaszcząc go po udzie.

– Tyle jedzenia się zmarnowało – westchnął Wincenty. – Miałem dla ciebie aż trzy niespodzianki. Cholerni gliniarze!

– I jeszcze ten Pojeb z Czwartego.

– Pies z nim tańczył – powiedział Wincenty, patrząc w lusterko. – Coś za nami jedzie!

– No to wdepnij mocniej – doradziła mu panna Marple.

– Nie da się mocniej po tych wertepach – obruszył się Wincenty. – Chwyć

kierownicę, bo nic nie widzę! – krzyknął, gdy dojeżdżali do asfaltówki.

– Co się stało? – krzyknęła panna Marple.

– Mucha albo coś mi wleciało – odpowiedział, trzymając się za oko.

Panna Marple zacisnęła dłoń na kierownicy i wrzasnęła:

– Hamuj!

Gdyby nie ta mucha albo coś, Wincenty może by nie pomylił hamulca z gazem. Chyba że nie pomylił, lecz doszedł do wniosku, że tym razem jednak im się nie uda...

– E tam, pierdolenie o Szopenie – powiedziałaaby panna Marple, gdyby tir nie wjechał jej prosto w śledzionę.

Rozdział trzydziesty ósmy

Ludzie bez zasad są jak bezdomne psy. Choć wydaje im się, że mogą pójść, gdzie tylko chcą, to przez całe życie stoją w miejscu, bo umiały się tylko kręcić wokół własnego ogona, tyle im daje cała ta ich wydumana wolność, powtarzała często matka Martusi i Magdusi.

Nawet teraz kłapie jęzorem, pomyślał pan Tomek, patrząc na wiszące nad telewizorem zdjęcie nieboszczki teściowej. Od kiedy zaczął pić, a pił od rozstania z Dziniusią codziennie, miał wrażenie, że unosząca się nad telewizorem nieboszczka teściowa nieustannie porusza wargami.

– *Waterloo*, ABBA – powiedziała Magdusia, patrząc w stronę mamy.

– *Waterloo*, ABBA – powtórzyła nieboszczka.

– *Waterloo*, ABBA – powiedział wyposażony w bokobrody uczestnik teleturnieju *Jaka to melodia?*, ulubionego programu żony pana Tomka.

– *Dancing Queen*, Halina Frąckowiak – powiedziała Magdusia przy następnym zestawie trzech nutek.

– *Dancing Queen*, Halina Frąckowiak – powtórzyła nieboszczka.

– *Stan pogody*, Anna Jurksztowicz – powiedział Bokobrodziarz.

– Ty pieprzony debilu! – krzyknęła mocno poirytowana Magdusia.

– No, no, tylko mi tu bez takich! – fuknęła na nią nieboszczka ze zdjęcia.

– Słoń ci na ucho nadepnął, ty głuchy pieńku?! – zagotowała się żona pana Tomka, gdy przy kolejnej muzycznej zagadce Bokobrodziarz powiedział: – *Crazy*, Gnarls Barkley.

– Przecież to *Across the tenth street*, Bobby Womack!

– To dla mnie za trudne, akros co? – zapytała świętej pamięci mamusia.

– Tak, to *Crazy*, znakomicie! – pochwalił Bokobrodziarza prowadzący.

– Niech was szlag trafi, cholerni oszuści – syknęła Magdusia. I patrząc z wyrzutem na drzemiącego w fotelu męża, zapytała: – Kto ma dzisiaj dyżur?

– Kamilka – odpowiedział, ziewając.

– A ty co? Znowu po nocach się nie wysypiasz? Jakąś nową kurewkę znalazłeś na mieście? Kamilka miała dyżur wczorej. Dziś chyba Kamilek.

– No przecież powiedziałem, że dzisiaj jest dyżur Kamilka.

– Nie, powiedziałaś, że Kamilka ma dyżur.

– Skoro wiesz lepiej, to po co się pytasz, do ciężkiej cholery? – burknął, pociągając łyk piwa.

– Chlej tak dalej, zapij się na śmierć! Jesteś żaloszny, no naprawdę. Kamilek! – wrzasnęła tak, że aż Ziemia przestała się na chwilę kręcić wokół własnej osi. A sekundę później, gdy pulchny piętnastolatek stanął na baczność przed jej fotelem, zapytała: – Kto ma dzisiaj dyżur?

– Ja – powiedział zadyszany Kamilek.

– No to naprawdę nie wiem, na co jeszcze oczekujesz – rzuciła, patrząc wymownie na zastawiony brudnymi naczyniami stół.

Była wściekła. I nie tylko dlatego, że pomyliła piosenkę Gnarls Barkley z kawałkiem Bobby’ego Womacka. Była podwójnie wściekła, bo przecież teleturniej *Jaka to melodia?* to najważniejszy telewizyjny show, więc ogląda każdy odcinek, bo podoba jej się prowadzący i lubi te ładne, wpadające w ucho utwory muzyczne, lubi rywalizację, więc nie opuściła żadnego z tysiąca czterystu osiemdziesięciu dziewięciu odcinków, więc ten też wcześniej musiała oglądać, bo przecież od czerwca do września puszcza ją w telewizji powtórki.

– Lato to koszmar, dlaczego ci debile w telewizji uważają, że latem ludzie wolą chodzić na grzyby albo leżeć na plaży, niż oglądać swoje ulubione programy? Trzeba być naprawdę skończonym idiotą, żeby zapychać dziury na wizji powtórkami, kto pierwszy wpadnie na to, że szlus, żadnych powtórek, tylko same premiery w pieprzonym czerwcu, cholernym lipcu i przeklętym sierpniu, kto pierwszy na to wpadnie, będzie miliarderem – powiedziała do nieboszczki matki.

No więc skoro oglądała wszystkie odcinki i skoro z miłości do programu ogląda również wszystkie powtórki, to wstyd, że pomyliła piosenkę Gnarls Barkley z kawałkiem Bobby’ego Womacka, ale na swoje usprawiedliwienie ma to, że jest trochę rozkojarzona, bo jeszcze całkiem niedawno jej mąż pierdolił nimfomankę z osiedla Lazur III, na którym pracował jako konserwator, pał sześć, a nawet siedem i osiem, że ją pierdolił, to w końcu dałoby się przeżyć, ale ten złamany kutas zakochał się w niej, zakochał się do tego stopnia, że pewnego dnia wszedł do pokoju telewizyjnego i powiedział, że odchodzi, że już się przebrała miarka, odchodzę, kocham inną.

– A co ze mną? – zapytała. – A co z dziećmi?

A on na to, że będzie płacił, wiadomo, takie jest prawo. No to ona, że lepiej niech pomyśli o rodzinie i nie wygaduje głupot, bo nie ma na świecie nic ważniejszego niż rodzina, w końcu przysiągł w kościele, że jej nie opuści aż do śmierci, a on wtedy wzruszył ramionami i powiedział:

– Zmieniłem zdanie. A poza tym sama wiesz, jak to jest z męską stałością. Mamy to w genach.

I powiedział to wszystko w czasie teleturnieju. Jakby nie mógł poczekać kwadrans, pozbawiony honoru i przyzwoitości jebaka. Może właśnie tamtego dnia, gdy jej wiarołomny mąż powiedział, że już nie chce być jej mężem, leciał ten Gnarls Barkley i dlatego mogła nie usłyszeć, że Bokobrodziarz mówi Gnarls Barkley, bo gdyby usłyszała, toby pamiętała, pamięta każdy odcinek teleturnieju *Jaka to melodia?* i prawie każdą nutkę, więc kiedy ten skurwysyn wzruszył ramionami i powiedział: „Zmieniłem zdanie”, poczuła, jak krew zalewa jej oczy i jak gotują się w niej podroby, więc wzięła ze stołu talerz z frytkami i rzuciła nim o podłogę, ale na podłodze leżał dywan z Kowar, a talerz był z duraleksu i się nie

rozbił, więc krew zagotowała się w niej jeszcze bardziej.

– Już ja ci się odwdzięczę, chuju złamany – wrzasnęła, a wtedy nieboszczka matka bardzo się zasępiła, bo dobrze wiedziała, co w ustach jej córki oznacza słowo wdzięczność. W końcu sama ją nauczyła, że rodzina to rzecz święta. A świętość karmi się krwią.

Bliźniaczki często powtarzały po mamusi to zdanie. Było w nim całe ich życie: karmienie i umiłowanie zasad, czyli rzeczy święte. Człowiek głodny jest słaby. Nie tylko słaby fizycznie, ale i wewnętrznie słaby. Wystarczy spojrzeć na męża Magdusi. Gdyby więcej jadł, nie latałby z fiutem po kweście. Wiedziałby, co robić i jak żyć.

Ludzie z zasadami wiedzą, co robić i jak żyć. Dlatego Magdusia, kiedy mąż powiedział jej, że odchodzi, postanowiła bronić domowego ogniska. Ona, Hestia, zapakowała się do autobusu i pojechała do siostry, Hery, żeby stworzyć plan naprawczy jej związku. Hestia i Bestia usiadły nad delikatną cielęcina w sosie kurkowym, pożyły, jadłem popłyły na męską naturę i ladacznice, które kradną mężów, a potem wzięły się do roboty i wymyśliły, jak pozbyć się problemu, a na końcu wymyśliły dwanaście prac, którymi złota rączka wymaże małżeńską hańbę. Obowiązkiem ludzi z zasadami jest powiedzieć ludziom bez zasad, co mają robić, bo ludzie bez zasad, a tacy dzisiaj stanowią większość, potrzebują wyraźnych drogowskazów, by nie pogubić się w całej tej przerażającej wolności. Najpierw żyją, jak chcą, robią, co chcą, ale w końcu, złamani i pogubieni, ludzie bez zasad przychodzą do ludzi z zasadami i pytają:

– Co robić?

Tylko dzięki ludziom z zasadami ten świat w ogóle jeszcze dokądś zmierza.

– A coś ty się, Wicuś, tak dzisiaj rozfilozofował, co? – zapytała panna Marple, gdy kończyli wieczorną naradę. – Ładnie mówisz, ale trzeba robić, a nie gadać, gadać to każdy potrafi. Zaparz nam meliski, no!

I wtedy Magdusia odzyskała pewność siebie i spokój.

– *The Final Countdown, Europe* – powiedziała nieboszczka.

– *The Final Countdown, Europe* – powiedział Bokobrodziarz.

– Tak, to już pamiętam. Za chwilę będzie Demis Roussos – powiedziała Magdusia.

– *Follow Me, Demis Roussos* – powiedział Bokobrodziarz.

– A nie mówiłam? Kamilek, zobacz, kto to, do cholery! – krzyknęła do zmywającego naczynia synka, gdy dwukrotnie zadzwonił dzwonek do drzwi. – I nikogo nie wpuszczaj – dodała.

Mogli to być tylko Świadkowie Jehowy albo akwizytorzy. Poza nimi wszyscy wiedzieli, że gdy leci *Jaka to melodia?*, nie wolno nawet zbliżyć się do mieszkania Magdusi i jej rodziny.

– Kamilek!

- Mamusiu, ja zmywam. Niech Kamilka otworzy!
- Kamilek! Ty masz dzisiaj dyżur!
- No dobra.
- Ja ci dam no dobra! Poszłeś w końcu czy nie?! – krzyknęła, nie odrywając wzroku od telewizora. Z przedpokoju dobiegł ją szcęk zamka i jakieś obce głosy. A po chwili usłyszała wołającego Kamilka:
 - Tato, dwaj panowie do ciebie!

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Pan Tomek przyznał się, że ukradł siedemdziesiąty drugi słoik i zakopał go pod nadbużańskim dębem. Chciał mieć swój prywatny grób jedynej kobiety, którą w życiu kochał.

– Nogi ci z dupy powyrywam, jeśli cię kiedyś zobaczę przy mogile tej dziwki – ostrzegła go żona, a po tym, co się stało z miłością jego życia, wiedział, że wyrwanie nóg z dupy nie jest tylko metaforą, więc nazajutrz po tym, jak z Wincentym znieśli laptop i zapakowaną Dzinusię do jej własnej piwnicy, włamał się powtórnie i wszedł w posiadanie siedemdziesiątego drugiego słoika.

Pan Tomek nie wiedział, w jaki sposób szwagier i szwagierka zwabili Dzinusię do samochodu. Trudno też zgadnąć, kiedy ją zabili i jak. Czy zrobili to w wędzarni na działce, czy wcześniej, w samochodzie? Na pewno pokroił ją Wicek. Nikt tak nie kroił jak Wicek. Wyćwiczył się na tych świniach. Może mógłbym dostać browarka? Łatwiej by mi się gadało, bo w gardle mi zaschło na pieprz.

Jak się szwagier ze szwagierką dowiedzieli, że mam z nią romans, to zaczęli ją śledzić. Zobaczyli, że ciągle chodzi z innymi. Dopadli jednego z nich i go postraszyli, bo też był żonaty, no to im powiedział, że poznał ją w internecie.

To była piękna kobieta. Każdy by się zakochał, nie ma co kryć.

Szwagierka wymyśliła, żeby zrobić pana Maksa. Widzieli go na osiedlu, na przykład córka kuzyna mojej żony i szwagierki, Ula, która tam pracuje na stanowisku niani, patrzyła, jak chodzi z pistoletem po domu, ona widziała, sąsiedzi. I wiedzieli wszyscy, że raptus jest, krzyczy z byle powodu, a i pogotowie też ciągle tam przyjeżdżało. Na karetkę nie pisze, że z psychiatryka, ale wszyscy wiedzieli, o co chodzi. No to kto lepiej pasował na mordercę?

Po co szwagierka ukradła tą wiatrówkę? Jak poszła pod tym pretekstem pomalowania śmietnika na przespiegi, żeby się rozejrzeć, to usiadła we fotelu na tym pistolecie i jak Dzinia, to znaczy żona pana Maksa, poszła zrobić coś do picia, jakąś tam herbatę, to go wyjęła spod tyłka i schowała do torebki. Żeby zmylić tropy, że niby pan Maks wyrzucił ten pistolet albo ukrył razem ze zwłokami.

Kazała mi napisać ten napis na śmietniku, to napisałem. Ten napis był też po to, żeby pokazać, że pana Maksa do reszty porąbało. Kto się czepia, że ktoś mówi jakoś nie po polsku i to Bogu ducha winnych niań, które ciężko pracują jak wół? Wariat. Jak się doczepił Uli, to ona już wtedy wiedziała, ta moja szwagierka nieszczęsna, że mu nie popuści. A kiedy się jeszcze dowiedziała o tym fackie mojego romansu, to powiedziała, że upiecze dwie pieczenie na jednym ogniu, że to się nawet dobrze składa, bo obydwójce, pan Maks i jego żona, zawinili przeciw jej rodzinie. Ona ma bzika na tym punkcie. Miała. Oni mnie szantażowali, kazali odpracować winę. A to im ogrodzenie musiałem pomalować, a to komin

przeczyścić. Nie miałem życia.

A czemu tam? Wiedziałem, że zawsze będzie pretekst, żeby pojechać na działkę. No i taka piękna okolica, że sam bym chciał tam być pochowany. Nikt tam prawie nie chodził. Gdyby nie pan Maks, to nikt by nawet nie wiedział, co robię nad rzeką. Z tym, że szwagier mnie raz namierzył, jak szłem z kwiatami, to żeśmy się napili i mu o wszystkim powiedziałem, a on, że w porządku, nikomu nie powie. Nie był z niego zły człowiek.

W sumie całe szczęście z tym tirem.

– Kara musi być – powtarzała moja szwagierka. No to wykrakała jak wrona – powiedział Rogalowi pan Tomek w czasie przesłuchania.

– Wszystko wygadał po kolei, ładnie, jak w konfesjonale – powiedział komisarz Puc, wytrzępując kamyki, które dostały się między białe skarpetki a podróbki sandałów Scholla. Komisarz Puc siedział na ławce obok Maksymiliana przed pomnikiem F.F. Chopina w Łazienkach.

– No to jesteś wolny – poklepał Maksymiliana po plecach.

– Widzę, że znowu przeszliśmy na ty.

– Tak jakoś wyszło – uśmiechnął się Puc.

– A może pan złota rączka zwałił wszystko na Marple'ów? – zasugerował Maksymilian.

– Tamten włos w ustach twojej... w ustach denatki, to był włos Wincentego. Tomuś za bardzo kochał tą twoją żonę, żeby ją ukatrupić w taki sposób.

– Dziwak.

– Czemu dziwak?

– No że się w niej zakochał.

– Jak się ktoś przesiada z cinquecento do fabii, to mu się wydaje, że jedzie mercedesem.

– On się raczej przesiadł z buldożera do piętnastoletniego poloneza.

– Nie przesadzaj, ładna była.

– Wiesz, że jego kopia stoi w Japonii?

– Czyja kopia?

– Tego pomnika.

– Po mojemu coś tu nie gra – stwierdził komisarz Puc, przyglądając się rzeźbie Chopina.

– Co?

– Ta wierzba, pod którą siedzi, wygląda, jakby za chwilę miała odlecieć, a ten siedzi sobie jak gdyby nigdy nic. Nawet mu włos nie pofaluje. Nie mówiąc już o tej koszuli nocnej.

– Nigdy tak na to nie patrzyłem.

– A widzisz. Uważnym trzeba być w życiu. Co z ręką?

– Trochę swędzi pod gipsem. Całe szczęście, że obu nie połamałem. Za

każdym razem, gdybym się chciał odlać, musiałbym kogoś prosić, a to...

– No – odpowiedział komisarz Puc, który miał już dość Maksymiliana. Gdyby jeszcze gościu przyszedł z tą swoją dupą, może by i chciało mu się strzepić jęzor, ale tak? – Lecę, bo właściwie to już wszystko ci powiedziałem.

– Jesteś pewien?

– Tak, a co?

– Mógłbyś mnie przeprosić. W końcu mnie pobiliś.

– Takie były okoliczności. No dobra, przepraszam. Muszę lecieć, a ty?

– Ja tu sobie jeszcze chwilę posiedzę.

Miał jeszcze czterdzieści minut. Umówił się z Mileną, że przyjedzie po niego o 17.00. Mógłby się przejść do ogrodu botanicznego obok i obejrzeć dorodne korciki, ale nie zamierzał dać się doić, płacąc za czterdzieści minut tyle samo, ile się płaci za cały dzień.

Mógłby pójść do Pałacu na Wodzie, przy którym często karmili z Zofią mądre karpie i głupie kaczkę, ale kiedy wyobraził sobie, że będzie się objął o spacerujące tyralierami rodzinie szczęśliwych, uprzejmych i pachnących nadwiślańców, zrezygnował i usiadł z powrotem na ławce.

Nic mu się nie chciało. Czuł się jak człowiek, który dopiero co wyszedł z kina. Jeszcze przed chwilą skakał po ścianach wieżowców, strzelał pajęczyną i ratował świat przed zagładą, a teraz znów jest tym samym leniwym nieszczęśnikiem, który niespiesznie myśli, co zrobić ze swoim życiem, albo myśli, co zrobić, żeby przestać myśleć o tym, co zrobić ze swoim życiem. Maksymilian obiecał sobie, że gdy będzie już po wszystkim, wymyśli, co zrobić ze swoim życiem. Jest już po wszystkim, pomyślał. I kompletnie nie wiedział, co robić.

– Zrób coś pożytecznego, smutny wdowcze – zaproponował Fryderyk Franciszek Chopin, który wstał spod wierzby i rozprostował kości. – Może też byś mnie podrapał?

– A co cię swędzi? – zapytał Maksymilian, który grzebał zawzięcie leszczynowym patykiem pod gipsem. Od matki Dzinusi dostał rano esemesa o treści: „Przyjdźcie z Zosią na pomidorową”, więc nic już nie było go w stanie zdziwić. Nawet gadający pomnik geniusza w koszuli nocnej.

– Muchy mi często na wyniosłym siadają nosie. Komary mię gryzą, lecz to mniejsza, bo nie w nos. To co, podrapiesz?

– Sam się podrap, skoro już wstałeś.

– Stary człek jestem, a właściwie widmo, mara, duch...

– To tak jak ja.

– Nie opowiadaj, murgrabio. Masz w końcu tyle lat, com ja miał, gdy mnie kostucha z padołu tego łez zabrała. Lecz choć choroba zdążyła nawyrabiać swoje, dręcząc me ciało i gniotąc duszę, nie miałem ci ja idej w dniu śmierci czuć się starcem. Koniec z tymi trochejami i śmiesznym frazowaniem. Rusz się! Skoro ja

mogłem, to i ty... A niech to, cholerni japońscy paparazzi! – powiedział Fryderyk Franciszek Chopin, naciągając koszulę z brązu na głowę.

Dwa plutony uzbrojonych po zęby turystów ruszyły do natarcia. Ziomkowie Kazunariego z Jokohamy trzaskali bez opamiętania zdjęciami i filmowali gestykulującego nad Maksymilianem mistrza.

– Kawał z ciebie niewdzięcznika! Taki szczęściarz z ciebie, a ciągle psioczysz – zawołał metalicznym głosem spod koszuli nocnej F.F.

– Co masz na myśli?

– Nie możesz się pozbyć niewiasty, której masz dość, wyręcza cię w tem znienawidzone małżeństwo z nadwagą. Miejsce po małżonce długo nie pozostaje puste. W zamian dostajesz młodszą, nadobniejszą i z posagiem jak marzenie. Tracisz pracę, ale dzięki nowej partii masz wszystko, czego potrzebujesz. Trafiasz za kraty – jest kaucja. Potrzebujesz canona z przyzwoitym obiektywem – *voilà!* Przestajesz wierzyć we własną męskość – panna robi ci z kutasa pałę Priapa. Całe życie się bałeś, ale pewnego dnia postanawiasz napić się koktajlu psychotropowego i po strachu. Podpisałeś cyrograf czy co?

– Tak, mistrzu, on jest nasz – powiedziała cycata pogodynka, która wyszła zza pleców Fryderyka.

– A gdzie niewyrośnięty nikotynista? – zapytał Maksymilian.

– Jestem, nie martw się – powiedział chłopiec z cygarem wielkości cukinii, który wyszedł zza pleców pogodynki.

– No i jak się teraz czujesz, nasz bohaterze? – pogodynka pochyliła się nad Maksymilianem, pośliniła palec i z kącika ust usunęła mu resztkę keczupu.

– Kłopot w tem, że nic nie czuje, niczego nie chce, nie wie, co zrobić z własnym życiem, biedaczysko – powiedział Fryderyk.

– Powinieneś mi współczuć. – Maksymilian zrobił minę Pierrota i założył nogę na nogę.

– Może zabierzesz się z nimi do Kobe? – zapytała pogodynka, wskazując na dwa plutony japońskich turystów. – Skoro już się nie boisz, wsiądź w samolot i zobacz kawał świata, Lizbonę, Wielki Mur, Mały Mur, naprute eukaliptusem misie, Kamczatkę...

– No nie wiem – powiedział Maksymilian.

– Może chcesz pójść z nami na kebab? – zapytała przytulona do męża Lipska.

– Chyba nie.

– Chłopie, przed tobą całe życie, weź się w garść – powiedział Kręcioła, właściciel najbardziej przekręconego licznika w mieście.

– Ile trzeba mieć lat, żeby ludzie przestali ci mówić, że przed tobą całe życie? – zapytał Maksymilian.

– Myślę, że z sześćdziesiąt – powiedziała pielęgniarka-stewardesa.

- Ale skąd to przekonanie? – spytał Romuald.
- Nie wiem. Po prostu tak myślę. Czy to nie wystarczy?
- A ja myślę, że z osiemdziesiąt. Po prostu tak myślę. I kto ma rację? – droczył się Romuald.
- Zostaw panią w spokoju. Prawda zawsze leży pośrodku – powiedziała była teściowa Maksymiliana.
- A ja myślę, że dwadzieścia pięć – powiedziała Ula. I patrząc na Fryderyka, dorzuciła: – Masz prawie taki sam nos jak ja, ja cię kręcę.
- A ty tu czego? – zapytała Panna Supełek.
- A bo co? Wolne miałam, więc przyszłam. Wolno mi.
- Gdzie reszta? – spytał Maksymilian.
- Jaka reszta? – odparli wszyscy chórem.
- Na przykład panna Marple i jej mąż?
- No nie, oni tu nie przyjdą – powiedział chłopiec z cygarem, drapiąc się pod pachą. – Zaraziłem się od ciebie tą śwędzawką, Fryderyku.
- A ja od niego – powiedział Fryderyk, wskazując na Maksymiliana.
- No dobrze, ale nie odbiegajmy od tematu, bo nasz Pan Pępek Świata poczuje się zaniepokojony – stwierdziła pogodynka.
- Wciąż nie wiemy, czego chcesz, Maksiu – powiedział chłopiec z cygarem.
- Może zapytamy wszechwiedzącego narratora? – zaproponował Jeszcze Brzydszy Kartezjusz.
- Dajcie mu spokój, ma chłop swoje problemy – powiedział Maksymilian.
- Następny z problemami, o ja pierdołę – westchnęła szefowa firmy szkoleniowej.
- Niech ktoś zdecyduje, co ma zrobić – powiedział tirowiec, który rozjechał pannę Marple i jej męża.
- Kto? – zapytał Jeszcze Brzydszy Kartezjusz.
- Kto co? – zapytał tirowiec.
- Kto ma zrobić – Maksymilian czy narrator? – zapytali wszyscy chórem.
- Nie wiem – odpowiedział tirowiec.
- A kto ma, do cholery, wiedzieć? – zawołali.
- Na pewno nie ja – odpowiedział tirowiec. – Odwaliłem za was czarną robotę.
- Rzeczywiście, facet zrobił swoje, dajcie mu spokój. Więc może ty zdecydujesz, co ma zrobić Maksymilian? – Jeszcze Brzydszy Kartezjusz zwrócił się do chłopca z cygarem.
- Drogi Maksymilianie, może ty po prostu chcesz już umrzeć? – zapytał chłopiec.
- Nie! – zawołali wszyscy chórem.
- A wy skąd to wiecie, do licha? Happy endu wam się zachciało?! –

zaoponował gówniarz w bejsbolówce.

– Większość chce happy endu, bez dwóch zdań – powiedział Romuald.

– A skąd pomyśł, że śmierć nie jest happy endem, he? – zapytał chłopiec.

– Gdyby była, to większość komedii romantycznych kończyłaby się zbiorowym samobójstwem – powiedział Hugh Grant.

– To nie jest komedia romantyczna, wypraszam sobie – powiedział wszechwiedzący narrator.

– Teraz to się łaskawie zamknij! – krzyknął Filip Holzgraber. – Cholerny grafoman!

– Maksymilianie, wszystko w twoich rękach – powiedział Romuald.

– Wszystko, tylko nie to, błagam! – zawołał Maksymilian. – Nie chcę, żeby wszystko było w moich rękach. To dopiero byłaby katastrofa! Niech ktoś za mnie zdecyduje – powiedział Maksymilian płaczliwie.

– Zawsze ktoś za ciebie decydował, w tym sęk – westchnął Fryderyk, siadając z powrotem na cokole.

– A inni to niby za siebie decydują? Nie rozśmieszaj mnie! – krzyknęła pielęgniarka-stewardesa. – Ja w każdym razie lecę do Kobe.

– Jeśli nikt nie chce zdecydować, to niech los zdecyduje – stwierdził podinspektor Neuman.

– O, widzę, że znów zacząłeś się interesować, co u mnie słyhać – powiedział Maksymilian.

– Służba nie drużba. Jeśli wypadnie orzeł, Maksymilian umiera na zawał w Łazienkach. Jeśli wypadnie reszka, żyje dalej – poinformował wszystkich podinspektor Neuman, wyrzucając w górę monetę.

– Jakim prawem ty decydujesz? – zapytała Ludmiła. – Tak à propos: może ktoś się zdecyduje na znakomity proszek bez fosforanów? Pierze już przy trzydziestu stopniach.

– Każdy dzisiaj pierze przy trzydziestu stopniach. Ale rzeczywiście, właściwie dlaczego to ty decydujesz? – zapytał Romuald.

– To nie ja decyduję, tylko moneta – odpowiedział podinspektor Neuman.

– Ale to ty zdecydowałeś, że decyduje moneta – zauważył Fryderyk.

– Jak się nikt nie może zdecydować, to decyduje ten, kto się zdecydował, i tyle. Jak myślicie, orzeł czy reszka?

